

MARTIN SCOTT

Thraxas tom 3

**Thraxas na
wyścigach**

Przekład Anna Czajkowska

Tytuł oryginału THRAXAS AT THE RACES

Wersja angielska 1999

Wersja polska 2000

Wychodzę z budynku sądu. Nadal leje deszcz, słychać łoskot gromu. Warczę zirytowany: – Świetnie. Na grzywną, którą nałożył sędzia, wydałem ostatnie pieniądze, trwa pora deszczowa, a teraz zaczęły się burze.

Niebo przybiera paskudny wygląd. Moja twarz również. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem w gorszym nastroju. Tym razem Rycjusz, były wicekonsul, naprawdę zdołał dobrać mi się do skóry. Jeśli kiedykolwiek spotkam go w ciemnej uliczce, nadzieję drania na zardzewiały sztylet. Uliczka nie musi nawet być ciemna. Każda będzie dobra. – Masz jeszcze trochę forsy – pociesza Makii. – Przegrałem nieco na wyścigach rydwanów poza miastem. – Nieco? To znaczy ile?

Potrząsam głową; Makri domyśla się, że wszystko, co mi zostało. Błyskawica rozdziera niebo i deszcz zaczyna lać jeszcze gwałtowniej. Z budynku sądu wynurza się niewysoki człowieczek o nieprzyjemnej twarzy; spod obrzeżonego futrem płaszcza wyziera biała toga. To senator Rycjusz, niegdyś wicekonsul Turai, i nadal szef Ochrony Pałacowej.

Towarzyszy mu ośmiu gwardzistów. Zastanawiam się, czy go jednak nie dźgnąć, ale się powstrzymuję.

Rycjusz zbliża swoją twarz do mojej:

– Miałeś szczęście, Thraxasie – mówi głosem pobrzmiwającym nienawiścią. – Sędzia okazał się zbyt pobłażliwy. Gdyby decyzja zależała ode mnie, już byłbyś niewolnikiem na galerze. – Co ty powiesz? Jeśli nie przestaniesz mi się naprzykrzać, szcurza gębo, będziesz musiał zwrócić togę na długo przed upływem kadencji. – Przestań mi grozić, grubasie – syczy Rycjusz. – Bo inaczej powędrujesz z powrotem na salę sądową tak szybko, że zakręci ci się w głowie. Nadal jestem szefem Ochrony Pałacowej. Jeśli choćby o krok wyjdiesz poza granice prawa, spadnę na ciebie jak zły czar. W Turai jesteś skończony. Radzę ci wyjechać, dopóki jeszcze możesz.

Patrzę na niego z nienawiścią. Jakiś czas temu nie przysłużyłem mu się. Zeszłego lata, gdy prowadziłem śledztwo, poważnie zaszkodziłem jego politycznym ambicjom.

Doprowadziłem do tego, że przegrał wybory na wicekonsula. Wspomnienie o tym nadal sprawia mi przyjemność.

– Nie wchodź mi w drogę – ostrzegam. – Jeśli przyjdzie mi chęćka, po prostu cię wypatroszę i twoi gwardziści mnie przed tym nie powstrzymają.

Sięgam ręką do miecza przy boku. Rycjusz wzdryga się nieznacznie. Wie, że mógłbym to zrobić. Szybko jednak odzyskuje fason i uśmiecha się szyderczo.

– Myślę, że masz zbyt wiele innych problemów, żeby jeszcze atakować lepszych od siebie – oznajmia.

Potem odchodzi, a gwardziści gęsiego maszerują za nim w strugach deszczu.

– Rzeczywiście potrafisz zdobywać sobie wpływowych przyjaciół – komentuje Makri.

Proponuje, że postawi mi piwo, ruszamy więc pospiesznie przez coraz intensywniejszą ulewę do tawerny w pobliżu sądu, gdzie oskarżeni dodają sobie otuchy przed czekającą ich rozprawą, a prawnicy po trudach sądenia wydają swoje zarobki.

– Jak długo miał trwać ten deszcz? – pyta Makri. Dopiero niedawno przybyła do Turai i nie przyzwyczała się jeszcze do naszych pór roku.

– Miesiąc. A teraz, kiedy zaczęły się już burze, będzie jeszcze gorzej. W zeszłym roku Gurd musiał podpierać ściany swojej tawerny workami z piaskiem.

Makri i ja mieszkamy w tawernie „Pod Mściwym Toporem”, w dzielnicy Dwanaście Mórz. Nasze mieszkanie trudno nazwać apartamentem, ale czegoś takiego i tak nie znajdzie się w tej niebezpiecznej okolicy niedaleko portu. Dwanaście Mórz to miejsce, do którego trafiasz, kiedy nie najlepiej ci się wiedzie – ot, choćby wtedy, gdy straciłeś dobrze płatną posadę starszego inspektora śledczego w Pałacu Imperialnym, rzekomo z powodu pijaństwa, niesubordynacji i czego tam jeszcze.

Moim przełożonym był wtedy Rycjusz. Już wówczas mnie nienawidził, a odkąd zeszłego lata podstawiłem mu nogę, zrobiło się jeszcze gorzej. Pomogłem wtedy księżniczce zachować dobre imię i uwolniłem od poważnych zarzutów syna jego przeciwnika.

Wkrótce potem Rycjusz przegrał wybory. Wiedziałem, że zacznie mi się dobierać do skóry, ale nigdy nie pomyślałem, że upadnie tak nisko, aby wykorzystać swoją pozycję w Pałacu dla ciągnięcia mnie po sądach za napad na przedstawiciela prawa.

– A co u diabła miałem zrobić? – narzekam. Wychylam do dna dzban piwa i oddaję go do ponownego napełnienia – Ten landus był mi natychmiast potrzebny. Przecież nie mogłem tracić czasu na grzeczne prośby! Zgoda, wyciągnąłem faceta i trochę go poturbowałem. Nie wiedziałem, że to asystent pretora, wykonujący tajną misję dla króla. Nawet nie miał na sobie urzędowej togi.

Zżymam się na tę niesprawiedliwość.

– Liczyłem na to, że przetrwam porę deszczową bez pracy. Nie znoszę prowadzić śledztwa w deszczu. A teraz jestem splukany i muszę wziąć się do roboty.

Gurd, starzejący się barbarzyńca, właściciel tawerny „Pod Mściwym Toporem”, to mój stary towarzysz broni. Walczyliśmy ramię w ramię, ja jako zwykły żołnierz, on jako najemnik. Niejedno musi tolerować, wynajmując mieszkanie prywatnemu detektywowi, czyli mnie. Zaledwie przed miesiącem budynek został zdemolowany, kiedy w barze na dole Bractwo, tutejszy gang, wzięło się za łby z grupą mnichów-wojowników. Gurd uważa, że przynajmniej powinienem płacić czynsz w terminie. I taki miałem zamiar – do czasu tej niemądrej przegranej na wyścigach. – Czy ty kiedykolwiek wygrywasz? – Oczywiście, wygrałem mnóstwo.

Makri prycha pogardliwie i oznajmia, że potrafiłaby lepiej ode mnie wytypować zwycięzców, gdyby po prostu rzuciła strzałką w spis. Wygłaszam uwagę, że jest niemądra, bo w jej żyłach płynie krew Orków i cywilizacja jest dla niej czymś tak nowym, że nadal ma trudności z używaniem sztuców. – Trzymaj się tego, w czym jesteś dobra, Makri. – Na przykład? – Na przykład zabijania. To twoja specjalność.

Makri przyjmuje komplement. Jest to zresztą prawda. Od czasu, gdy udało jej się uciec z orkijskiej stajni gladiatorów i ruszyć ku cywilizacji, dowiodła, że z mieczem w dłoni jest nie do pokonania. Bardzo mi się przydała w kilku przypadkach, kiedy śledztwo przyjęło niebezpieczny obrót. Co się często zdarza. Podczas napadu mnichów-wojowników Makri zademonstrowała swój kunszt siejąc takie spustoszenie, że kapitan Ralee tylko potrząsał ze zdumienia głową – a kapitan Ralee widział już niejedną walkę. – Niestety, nawet największe umiejętności bojowe nie mają żadnego znaczenia na torze wyścigowym. Sęk w tym, że ta gonitwa była ustawiona. Podczas takich mniej prestiżowych spotkań nie można ufać miejscowym magom. Zupełnie inaczej niż u nas, w Turai. Kiedy posadę maga na stadionie zajmuje Melusa bez Skazy, wiadomo, że wszystko odbędzie się jak należy. To praktycznie jedyna uczciwa osoba w mieście; pilnuje, żeby na Stadionie Superbiusza nie używano magii. A tamten wyścig był po prostu farsą.

Przysięgam, że zwycięski rydwan nie zdołałby nawet wytoczyć się ze stajni bez pomocy jakiegoś zaklęcia, które poprowadziłoby konie we właściwą stronę. Powinienem był się domyślić i niczego tam nie obstawiać. Aleja nie spodziewałem się nawet tego, że tydzień później Rycjusz zaciągnie mnie do sądu. – Mogło być gorzej – pociesza Makri, płacąc za trzecie piwo. – Mógłbyś teraz wiosłować na triremie. Ten Rycjusz naprawdę cię znienawidził. Czy na jego weselu rzeczywiście zachowałeś się tak okropnie? – Dość obcesowo – przyznaję. – Ale jeśli chciał, aby goście zachowywali się porządnie, nie powinien wystawiać tyle darmowego wina. To mocny trunek, sprowadzany z Wysp Elfów. A panna młoda nie powinna być tak skąpo ubrana. Ta sukienka nie wyglądała zbyt skromnie.

Ponuro patrzę w stronę baru. Od czasu tego niefortunnego zajścia na weselu przez kilka ostatnich lat nie najlepiej mi się powodziło. A teraz będą musiał wziąć jakąś sprawę i przeprowadzić śledztwo. Do diabła. Naprawdę nie cierpię pracować podczas pory deszczowej.

Na zewnątrz nadal leje, a z wysoka dobiega odgłos grzmotu. Spostrzegam, że zbliża się do nas mag, odziany w tęczowy płaszcz, dzięki któremu łatwo można go rozpoznać. Jest wielki, a w ręku trzyma różdżkę, na oko dosyć ciężką. Zatrzymuje

się przede mną i zrzuca kaptur, odsłaniając stalowe oczy i kwadratową szczękę. Serce podchodzi mi do gardła. To Gliksjusz Pogromca Smoków. Myślałem, że wyjechał z miasta. – Zamierzam cię zabić, Thraxasie – oznajmia swym głębokim głosem. – Co, już w tej chwili? A może kiedy indziej, gdy nie będziesz miał nic lepszego do roboty?

Przez sekundę lub dwie Gliksjusz mierzy mnie zimnym spojrzeniem swych stalowych oczu, potem odwraca się i odchodzi bez słowa.

Makri osłania oczy dłonią, jakby chciała dojrzeć coś na horyzoncie. – Co robisz? – Patrzę, skąd nadejdzie następny śmiertelny wróg. – Bardzo śmieszne. Najpierw Rycjusz, teraz Gliksjusz. Co za dzień.

Gliksjusz Pogromca Smoków to potężny mag. Ma powiązania z Towarzystwem Przyjaciół, drugą co do wielkości organizacją przestępczą Turai. Jemu również źle się przysłużyłem tego lata. To był sezon narażania się wpływowym ludziom.

Udaremniłem mianowicie jego spisek, który miał na celu kradzież Czerwonej Tkaniny Elfów. O ile dobrze pamiętam, dałem mu też w zęby, chociaż trzeba przyznać, że wyczerpały mu się wtedy wszystkie zaklęcia.

Nie możemy znaleźć żadnego landusa, drepczemy więc do domu na piechotę. Moje przygnębienie się pogłębia. Co za dzień. Państwo zabiera wszystkie moje pieniądze i grozami dwaj śmiertelni wrogowie.

– Nie byłoby tak źle, gdybym przynajmniej zarabiał przy tej robocie.

– Przecież zarabiasz – zauważa Makri. – Ale większość pieniędzy wydajesz na piwo, a resztę na hazard.

Makri to pracuś. Haruje jako barmanka „Pod Mściwym Toporem”, aby opłacić za naukę w Kolegium Gildii i lubi od czasu do czasu wypominać mi moje wady. Chociaż oczywiście i ona nie jest ideałem. Podejrzewam na przykład, mimo iż zawsze temu zaprzecza, że eksperymentuje z dwa, potężnym narkotykiem, który opanował połowę miasta.

Pożycz mi ten magiczny płaszcz przeciwdeszczowy – prosi.

– Nie ma mowy – odpowiadam. – Mnie potrzebny jest bardziej niż tobie. Jeśli mam zostać zaatakowany przez ochroniarzy z Pałacu i śmiertelnie niebezpiecznego maga, muszę się czuć swobodnie.

Zawijam się w płaszcz jeszcze dokładniej. Makri robi nadąsaną minę. Dziwna rzecz – w swoim krótkim życiu walczyła zwycięsko z wszystkimi znanymi odmianami bestii i kategoriami wojowników, gotowa jest bez zmrżenia oka rzucić się na przeważające siły wroga, ale kiedy moknie, jest wściekła.

– Cholerny deszcz. W stajni gladiatorów było przynajmniej sucho – mruczy. – Nienawidzę pory deszczowej. Jak może być jednocześnie gorąco, jak w piekle Orków i mokro, jak pod kocem Syreny?

Naciąga swój cienki płaszcz na gęstą grzywę włosów. Jeśli stara się wywołać u mnie poczucie winy, traci czas. Nie po to spędziłem tyle czasu na studiowaniu sztuk czarnoksiężskich dla wykonania magicznego płaszcza przeciwdeszczowego, aby go odstąpić pierwszej osobie, która o to poprosi. – Dokąd idziemy? – pyta Makri, kiedy prowadzę ją przez kręte uliczki. – Chcę odwiedzić Uczciwego Moxa. – Tego bukmachera? Przecież podczas pory deszczowej Stadion Superbiusza jest zamknięty. – W Juval odbędzie się wyścig. O tej porze roku jest tam sucho.

Juval to nieduży kraik należący do Ligi Miast-Państw, której członkiem jest również Turai, położony kilkaset mil od naszego miasta. Makri zastanawia się, jak mogę grać na wyścigach, które odbywają się tak daleko. Wyjaśniam jej, że tutejsi bukmacherzy opłacają czarownika, który nawiązuje magiczny kontakt z magiem zatrudnionym na stadionie w Juval.

Tamten przesyła mu spis zawodników, stawki, i wreszcie wyniki. Hazardziści w Turai nierzadko korzystają z tego systemu. Makri jest pod wrażeniem, wyraża jednak zaskoczenie, że magowie biorą udział w takich praktykach. – Myślałam, że oni wszyscy oddają się sprawom wyższym. – No, taką robotę biorą zazwyczaj młodzi czeladnicy. Gildia Magów w zasadzie tego nie popiera, ale cóż, w ten sposób mogą trenować przesyłanie wiadomości, co z kolei przydaje się podczas wojny. – Nie dosyć już przegrałeś? – Dlatego właśnie muszę się odegrać. Na taką sytuację mam co nieco w rezerwie.

Bukmacher Mox jak zwykle cieszy się na mój widok. Wypisał już kredą na tablicy wszystkie rydwany biorące udział w gonitwie w Juval. Z uwagą studiuję spis.

– Skąd wiesz, że magowie przekazują wszystko uczciwie? – pyta Makri.

Przyznaję, że to mnie niepokoi. Czarownicy zatrudnieni na wyścigach bywają nieuczciwi, jednak jest to ryzyko, które jestem gotów podjąć. Z wyścigami w Juval nigdy nie miałem żadnego kłopotu. To mały tor, w każdej gonitwie biorą zazwyczaj udział tylko cztery rydwany. Nie dostrzegam nikogo, kto mógłby pokonać faworyta, świetny rydwan z Samsariny zwany Wspaniałym Wojownikiem. Płacą za niego dwa do jednego, stawiam więc dwadzieścia guranów. – Wyrzucasz pieniądze w błoto – prycha Makri. – Tak? Zmienisz zdanie, kiedy będę odbierał jutro rano dwadzieścia guranów wygranej.

2

Idąc Bulwarem Księżycy i Gwiazd wreszcie docieramy do Dwunastu Mórz. W pobliżu budynku sądu deszcz rozpryskuje się na posągach dawnych królów i bohaterów Turai, i spływa po marmurowych chodnikach do dobrze utrzymanych rynsztoków. W bardziej eleganckich częściach miasta udogodnienia takie jak kanalizacja to cuda techniki. Inaczej u nas – tutaj ulewa zmienia w błoto pozbawione bruku ulice. Po dziesięciu dniach deszczu okolica już wygląda paskudnie, a przed nami jeszcze dwadzieścia. Dwanaście Mórz to piekło podczas pory deszczowej.

– Moja zmiana zaczyna się za dwie minuty, a ja jestem mokra jak koc Syreny – narzeka Makri i biegnie się przebrać.

Wdrapuję się na schody, które prowadzą bezpośrednio z ulicy Kwintensencji do mojego biura nad tawerną. Na drzwiach wisi tabliczka: „Najlepszy Magiczny Detektyw w całym Turai”. Deszcz zaczyna już zmywać farbę w miejscach, gdzie złuszczyła się palącym słońcu lata. Magiczny detektyw. Czysta kpina. Dawno temu byłem po prostu czeladnikiem u czarownika. Obecnie moje umiejętności są

najniższej klasy, zwykłe kuglarskie sztuczki w porównaniu z osiągnięciami wielkich magów Turai.

Powinienem coś zrobić z tą tabliczką. Widać, że to taniocha. Jestem najprawdopodobniej najtańszym magicznym detektywem w całym mieście, ale nie ma potrzeby się tym chwalić. Mam czterdzieści trzy lata i nadwagę, za to brak mi ambicji; często zdarzają mi się długie napady pijaństwa i zajmuję się sprawami, których nie chcą tknąć lepsi ode mnie. Pracuję dla klientów, których nie stać na detektywów z eleganckiej dzielnicy. Każę sobie płacić dziesięć guranów dziennie plus wydatki, co nigdy nie uczyni mnie bogaczem.

A szło mi już tak dobrze! Tego lata rozwiązałem kilka ważnych spraw, zgarnąłem sporo pieniędzy z nagród, poprawiłem swoją reputację w pewnych wpływowych kręgach.

Przy odrobinie szczęścia mógłbym się wydostać z dzielnicy Dwanaście Mórz i wrócić w dobre towarzystwo. Teraz jednak, kiedy trafiłem do sądu pod zarzutem ataku na królewskiego urzędnika, tym samym wróciłem do punktu wyjścia: zero pieniędzy i zero reputacji.

Jest duszno. Gorąca pora deszczowa jest nie do zniesienia. Ulica przypomina łaźnię parową. Gdybym nie miał magicznego płaszcza, nie wiem, jak bym sobie poradził.

Ponieważ moje umiejętności są tak marne, biorę ze sobą obecnie najwyżej dwa, trzy zaklęcia.

Zazwyczaj zabieram zaklęcie snu, dzięki któremu mogę pozbawić przeciwników przytomności. Przydaje się też czar wywołujący głośny wybuch, dla odwrócenia uwagi.

Dawno już minęły dni, kiedy potrafiłem stać się niewidzialny lub lewitować. W tej chwili jednak cały mój magiczny arsenał wykorzystuję do ochrony przed deszczem. Jeśli zdarzy się tak, że spotkam pięciu czy sześciu wrogów naraz, będę musiał polegać na swoim mieczu.

W moim biurze panuje straszliwy bałagan. Kopniakiem wrzucam pod stół jakieś śmiecie, wyciągam piwo z zapasu pod zlewem i rzucam się na kozetkę mamrocząc

przekleństwa na niesprawiedliwość życia. Walczyłem za to miasto podczas ostatniej wojny z Orkami. Pomagałem w odpędzeniu tych dzikich hord ze wschodu, które chciały nas zalać.

Nie wspominam już o nienagannej służbie podczas wojny z Niojańczykami, kiedy nasi wrogowie z północy przedarli się przez górskie przełęcz i o mało nie wepchnęli nas wszystkich do morza. A czy ktoś okazuje mi wdzięczność? Ani trochę. Do diabła z nimi wszystkimi.

Ktoś puka do zewnętrznych drzwi.

– Do diabła z wami wszystkimi! – krzyczę.

Pukanie rozbrzmiewa ponownie. Nie mam ochoty na towarzystwo. Wykrzykuję kolejne przekleństwo, kończę piwo i przygotowuję się do rzucenia butelką w drzwi. Te otwierają się i do środka wkracza senator Mursjusz, jeden z największych bohaterów Turai i mój dawny dowódca. Jest wysoki, wyprostowany, siwowłosy i niezwykle energiczny jak na pięćdziesięciolatka. A oprócz tego nieźle wkurzony.

– Co to ma znaczyć? – pyta głosem, którego dźwięk przenosi mnie natychmiast na plac defilad. – Nie jestem przyzwyczajony do tego, aby moi byli żołnierze odnosili się do mnie bez szacunku.

Gramolę się na nogi. Senator Mursjusz to ostatnia osoba, którą spodziewałbym się zobaczyć na progu mojego biura. Wielcy bohaterowie Turai nie mają zwyczaju mnie odwiedzać. Minęło już pewnie piętnaście lat od naszej ostatniej rozmowy; było to prawdopodobnie wtedy, gdy pluton pod dowództwem Mursjusza bronił wyrwy wybitej w murze przez oblegających nas Orków, ja zaś byłem jednym z nieszczęśników tworzących żywą tarczę, która miała powstrzymać napastników przed wtargnięciem do miasta.

Oczywiście widywałem go również później, w jednej z łóż zarezerwowanych dla senatorów w teatrze lub na Stadionie Superbiusza, ale wątpię, czy kiedykolwiek mnie zauważył. A teraz, kiedy już mnie dostrzegł, nie wydaje się zachwycony.

– Zawsze byłeś obrzydliwą karykaturą żołnierza – warczy. – Widzę, że z upływem czasu nie zmieniłeś się na lepsze.

Mursjusz jest potężnie zbudowaną mężczyzną, a biała senatorska toga dodaje mu majestatu. Ja jestem w bieliźnie, co zapewne nie poprawia sytuacji. W pośpiechu zakładam tunikę i uprzęgam jakieś śmiecie z krzesła. – Proszę usiąść, senatorze. – Bardzo przybrałeś na wadze – oznajmia Mursjusz, oceniając moje rozmiary tym samym pełnym dezaprobaty spojrzeniem, którym mierzył niewłaściwie ubranych rekrutów. – I nie powodziło ci się ostatnio zbyt dobrze.

Wie wszystko o moim upadku i żywi dla mnie współczucie. To żołnierz – nie ma cierpliwości do pałacowych rozgrywek politycznych. – Pałac to gniazdo żmij. Nigdy nie powinienesz być najmować się tam do pracy.

Dlaczego to zrobiłeś? – Dobrze płacili. – I popatrz, jak skończyłeś. Rozgląda się po obskurnym pokoju. – Czy Rycjusz oskubał cię w sądzie? Kiwam głową.

– Rycjusz to żmija. Nigdy nie stawiał czoła w potyczce z nieprzyjacielem. I taki człowiek rządzi teraz miastem. Rozumiem, że szukasz pracy.

Znów kiwam głową.

– Potrzebuję usług detektywa. O ile wiem, sprawa nie jest skomplikowana.

Normalnie zatrudniłbym kogoś z okolicy, ale pomyślałem sobie, że być może potrzebujesz zajęcia.

Pytam, dlaczego mu to przyszło do głowy, on zaś odpowiada, że obserwuje wszystkich, którzy walczyli pod jego komendą.

– Tego dnia przy murze sprawiałeś się całkiem nieźle, Thraxasie. Zmartwiłbym się, gdybyś umarł z głodu – chociaż widzę, że zajęłoby to trochę czasu. Powiedziano mi, że masz opinię dobrego detektywa... gdy jesteś trzeźwy. Jak długo potrafisz zachować trzeźwość?

– Wystarczająco długo, kiedy sprawa rzeczywiście tego wymaga.

W tym momencie rozlega się stukanie do wewnętrznych drzwi, prowadzących na dół, do tawerny. Drzwi otwierają się same, zanim zdążyłem do nich podejść. Makii nie ma szacunku dla cudzej prywatności. Trzeba jej to darować. Bądź co bądź, dorastała wśród niewolników.

Po raz pierwszy Mursjusz okazuje niejakię zdziwienie. Widok Makri to rzeczywiście niespodzianka dla nieprzygotowanych. Chociaż zaledwie nieco

wyższa od przeciętnej kobiety z Turai, chodzi wyprostowana jak wojownik, a przy tym jest szczupła i silna jak dziki kot czagra z simnijskiej dżungli. Ma duże ciemne oczy, prawie czarne, gęstą szopę czarnych włosów i uderzająco atrakcyjną twarz; jednakże cechą, na którą przede wszystkim zwraca uwagę każdy, kto odwiedza tawernę, „Pod Mściwym Toporem” po raz pierwszy, jest jej figura. Makri ma piękne kształty, których nie sposób nie zauważyć, bo jako barmanka zakłada tylko skąpe bikini z kolczugi. Nosi je, aby otrzymywać napiwki od pracowników portowych, żeglarzy i najemników, z których w większości składa się klientela Gurda.

Ludzie zwracają też zazwyczaj uwagę na rdzawy, ciemny odcień jej skóry. Makri jest w jednej czwartej Orkiem, a to oznacza kłopoty. Jest również w jednej czwartej Elfem, co stanowi atut w Turai, gdzie wszyscy lubią Elfy. Jej orkijska krew powoduje jednak różnego rodzaju trudności. Turajczycy nienawidzą Orków. Chociaż zawarliśmy pokój, podpisaliśmy nawet traktat i wymieniliśmy ambasadorów, nie trzeba odznaczać się wyjątkową pamięcią, aby wspomnieć dni, kiedy oblegali nasze miasto.

Dlatego Makri miewa problemy. Stali bywalcy tawerny już się do niej przyzwyczaili, ale nadal nie wpuszczono by jej do wytwornej restauracji w lepszej dzielnicy i różnych urzędowych budynków. Na ulicach często obrzucana jest obelgami. Martwiłbym się o nią bardziej gdyby nie to, że jest zapewne najbardziej niebezpiecznym wojownikiem w Turai, jeśli nie w ogóle na Zachodzie. Większą część życia spędziłem walcząc i nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek spotkał kogoś groźniejszego w walce na miecze, topory czy cokolwiek, co jej wpadnie w ręce.

Senator Mursjusz patrzy na nią zaskoczony i zapada niezręczna cisza. – Mam też spiczaste uszy-oznajmia Makii. To prawda, chociaż zazwyczaj zakrywa je wielka szopa włosów. – Pani wybaczy – przeprasza senator i zerka na miecz u jej boku.-
Wyrób Orków?

Makri kiwa głową.

– Przywiozłam go ze sobą.

Mursjusz ogląda miecz z zainteresowaniem. Jako zawodowy żołnierz zawsze interesuje się bronią. – Świetna robota – mówi z uznaniem. – Olkowie mają doskonałych zbrojmistrzów, niezależnie od tego, co ludzie gadają. Równie dobrych, jak najlepsi wśród naszych. Mówisz, że przywiozłaś go ze sobą? – Z orkijskiej stajni gladiatorów. Walczyłam tam. To było wtedy, zanim zabiłam Orka, który był moim właścicielem, zaszlachtowałam jego świtę, uciekłam po gładkiej skalnej ścianie i zatrudniłam się tutaj jako barmanka. – Ciekawe. Twój strój nie wydaje się jednak przystosowany do walki. – Ma pan rację – potwierdza Makri. – Tylko głupiec walczyłby w bikini. Ale dzięki niemu zdobywam napiwki. Kiedy jestem w pracy, chowam miecz za barem.

Później wychodzi i wraca na dół. – Bardzo interesująca kobieta – komentuje Mursjusz. – W połowie Ork? – W jednej czwartej. Oprócz tego w jednej czwartej Elf. A w połowie człowiek, chociaż nie wpływa to na jej zachowanie.

Senator przypatruje mi się z zainteresowaniem. Zastanawia się zapewne, czy powinien zatrudnić detektywa, który żyje z kobietą, która jest w jednej czwartej Olkiem.

Nie musi się martwić. Nie żyję z Makri ani z nikim innym, jeśli już o to chodzi. Nie miałem nikogo od dłuższego czasu. Odeszła mi ochota na kobiety, kiedy kilka lat temu żona zostawiła mnie dla młodego czarnoksięskiego czeladnika. Zamiast tego zacząłem pić. Tak naprawdę zacząłem pić jeszcze zanim odeszła, ale później miałem na to o wiele więcej czasu.

– Co mogę dla pana zrobić?

Senator informuje mnie, że w jego wiejskim domu na wybrzeżu, w pobliżu Ferai, dokonano kradzieży. Jak każdy bogaty obywatel, senator ma jeden dom w mieście i drugi na wsi, dokąd wyjeżdża, kiedy pogoda staje się zbyt dokuczliwa.

– Nie poniosłem większych strat. W willi nie było dużo pieniędzy, zginęły jednak różne dzieła sztuki i chciałbym je odzyskać. Szczególnie pragnę, abyś znalazł pewien obraz, dla mnie bardzo cenny.

Wspominam tego Mursjusza, którego znałem dawniej, przebijającego się przez szeregi Orków z zakrwawionym mieczem w dłoni. Nigdy bym nie przypuszczał, że

jest wielbicielem sztuki. Ale z tymi arystokratami różnie bywa. Mężczyźni z pokolenia Mursjusza uznawali służbę wojskową za coś oczywistego i dzielnie walczyli, zdobywali jednak również obycie towarzyskie. Wśród arystokracji modna była wówczas teoria, że należy wzbogacać każdy aspekt swojej osobowości. Ale wówczas Turai było inne. Odkąd kopalnie złota na północy zaczęły przynosić wielkie zyski, a handlarze narkotyków przywieźli z południa dwa, miasto stało się jednocześnie bogatsze i o wiele bardziej zepsute. Dziś młodzi arystokraci spędzają czas na rozpuście i dzięki łapówkom wymigują się od służby wojskowej. – Co zrobiła w tej sprawie Straż Obywatelska? – Nie poinformowałem ich.

Unoszę brew. Normalnie w takich wypadkach wzywa się strażników – chyba że sprawa miała jakiś delikatny aspekt, którego Mursjusz nie chciał ogłosić publicznie.

Spodziewałem się tego. Ludzie zazwyczaj przychodzą do mnie dopiero wtedy, gdy znajdą się w rozpaczliwej sytuacji. – Nie poinformowałem ich – powtarza Mursjusz. – Mam bowiem mocne podejrzenia, że za kradzieżą stoi moja żona. – Pańska żona?

Senator wyraża pewien niepokój wywołany poufną naturą swych wynurzeń.

Zapewniam go o mojej dyskrecji. Mam wiele wad, ale nigdy nie plotkuję o klientach, nawet jeśli z tego powodu kończę w więzieniu. Co się zdarza, i to nazbyt często.

Na zewnątrz deszcz bije w okiennice, zagłuszając inne odgłosy ulicy. To jest jedyna zaleta pory deszczowej. Ulewa zmusza do pozostania w domu większość hałaśliwych bachorów pałętających się zazwyczaj po ulicach.

– Od jakiegoś czasu odsunęliśmy się od siebie. Nadal mieszkamy razem, bo nam to odpowiada. Jestem pewien, że rozumiesz.

Rozumiem. W mieście tak niemoralnym jak Turai, gdzie niemal każdego można kupić, opinia publiczna przywiązuje wyjątkowo dużą wagę do moralności osób publicznych.

Gdyby senator dał się wciągnąć w skandaliczną sprawę rozwodową, mogłoby to znacznie zaszkodzić jego karierze i całkowicie odebrać mu szansę wdrapywania się

dalej po drabinie sukcesu, poprzez stanowiska prefekta, pretora, wicekonsula i wreszcie samego konsula. Tacy ludzie na ogół nie ogłaszają publicznie swoich problemów i pilnują, aby nie dostały się one do gazet. Ich żony zazwyczaj zgadzają się na to. Bardziej im odpowiada pozostawanie u boku męża, dzięki czemu mogą zachować bogactwo i pozycję społeczną, niż ryzykowanie powrotu na małżeński rynek. – A po co miałyby pana okradać? – Moja żona często rozpaczliwie potrzebuje gotówki. – Nie daje jej pan pieniędzy? – Nie, jeśli ma je wydać na dwa.

Jasne, Nie na dwa. To miało sens. Odkąd ruszyły południowe szlaki handlowe, ten potężny narkotyk zaczął zalewać miasto, wywierając dramatyczny wpływ na ludność. Żebracy, marynarze, młodzi czeladnicy, dziwki, łaziki, dzieci bogaczy...

Najróżniejsi ludzie, którym wcześniej wystarczało topienie swoich smutków w piwie i od czasu do czasu wspomaganie się dawką o wiele słabszego narkotyku thazis, spędzali teraz dni zagubieni w potężnych wizjach dwa. Niestety, dwa jest drogie i uzależnia. Gdy weźmiesz dawkę, jesteś szczęśliwy jak Elf w drzewie, ale kiedy dojdiesz do siebie, czujesz się paskudnie.

Nałogowcy spędzający część życia w jego przyjemnych okowach zmuszeni są poświęcać resztę czasu na zdobywanie pieniędzy na kolejne działki.

Odkąd dwa podbiło Turai, przestępczość wyrwała się spod kontroli. W wielu częściach miasta strach chodzić w nocy po ulicach ze względu na napady. Miasto gnije.

Biedni wpadają w rozpacz, a bogaci w dekadencję. Pewnego dnia król Lamarchus z Nioj przybędzie z północy i rozbije nas w puch. – Czy jest poważnie uzależniona? – Bardzo poważnie. Próbowwała to rzucić, ale... Unosi ręce w bezradnym geście.

– Przez ostatnich sześć miesięcy mieszkała w willi. To był jej pomysł.

Powiedziała, że pomoże jej to w odstawieniu narkotyku. Służba donosi mi jednak, że jej się nie udało.

Prosiłem już o pomoc lekarzy, czarowników, ziołarzy, próbowałem wszystkiego. Nic nie pomaga – ona zawsze wraca do dwa. W końcu zacząłem odmawiać jej pieniędzy i wysyłałem do willi służących z żywnością,

– Aw rezultacie żona sprzedawała kilka rodzinnych skarbów, aby kupić narkotyki?

– Na to wygląda.

Rozsiadam się w fotelu i wyjmuję z szuflady pałeczkę thazis. Jedną oferuję senatorowi, ale ten odmawia. Thazis nadal jest formalnie nielegalne, jednak odkąd dwa podbiło miasto, nikt się tym nie przejmuje. Zapalam i wdycham dym. – Co konkretnie miałbym zrobić? – Odnaleźć moją własność. Szczególnie ten obraz. Bez wciągania w to strażników ani żadnych sensacji gazet.

Senator wyjaśnia mi szczerze, po męsku, że Tradycjoniści naciskają na niego, aby w przyszłym roku stanął do wyborów na stanowisko prefekta. Ma pięćdziesiąt lat, najwyższy czas rozpocząć polityczną karierę. Jako bohater wojenny, lubiany zarówno przez masy, jak przez króla, ma wybór w kieszeni. Oczywiście pod warunkiem, że jego imię nie zostanie splamione skandalem. Popularzy, potężna partia opozycyjna pod wodzą senatora Lodiusza, nie wzdragają się przed obrzucaniem błotem swoich przeciwników.

Zamyślam się. Musiałbym wyjechać z miasta, w deszczu, a to dość nieprzyjemna perspektywa, bo cała okolica zmieniła się w bagno, ale poza tym sprawa wydaje się bardzo prosta. W kradzież nie są zamieszane potężne gangi ani zwariowani magowie dybiący na moją głowę. Muszę po prostu odkryć, co kobieta zrobiła z łupem, i odzyskać go.

Potrafię tego dokonać. Potrzebuję pieniędzy. Biorę tę sprawę.

Senator podaje mi pozostałe szczegóły i wstaje z krzesła. Przy drzwiach zatrzymuje się i rozgląda po pokoju.

– Słyszałem, że straciłeś sporo pieniędzy na wyścigach rydwanów?

Marszczą brwi. Wiedziałem, że senator mnie sprawdził, ale nikt nie lubi, żeby straty, jakie poniósł podczas uprawiania hazardu, były powszechnie znane.

– Zdradzę ci, kto zwycięży w wyścigu ku czci Turasa. Zaintrygowany pochylam się do przodu.

– Mój rydwan bierze w nim udział – wyjaśnia senator. – Postaw na niego. Nazywa się Szturm na Cytadelę. Na pewno wygra.

Rozczarowany odchylam się do tyłu. Niezbyt wierzę w wartość tej rady.

– Pański rydwan wygra ten wyścig? Pan wybaczy, senatorze, wystawił pan w przeszłości parę dobrych zespołów, ale w tym roku w gonitwie bierze udział rydwan Elfów.

Wszyscy wiedzą, że wygra Rzeka w Świetle Księżyca. Bukmacherzy nie przyjmują już nawet zakładów.

Senator podchodzi do mojego biurka.

– Szturm na Cytadelę wygra – powtarza z naciskiem. – Jeśli chcesz się odegrać, postaw na niego wszystko, co masz.

Są to jego ostatnie słowa. Odchodzi. Biorę jedną monetę z zaliczki, jaką mi zostawił, i udaję się na dół do baru, gdzie kupuję u Gurda dzban najlepszego piwa i pogrążam się w rozmyślaniach o żonach senatorów i potężnych, uzależniających właściwościach dwa.

Próbowałem go, kiedy byłem młodszy, ale nie sprawiło mi to specjalnej przyjemności.

Prawdopodobnie nie miało odpowiedniej mocy. Szybko kończę piwo, wypijam następne, i zabieram trzeci dzbanek na górę do biura.

Na biurku znajduję wiadomość. Dziwne. Łamię pieczęć, otwieram list i czytam: „Thraxasie, twoja śmierć się zbliża”.

Gapię się na kartkę. Przyzwyczailem się do tego, że ludzie grożą mi śmiercią, ale to nie znaczy, że takie groźby sprawiają mi przyjemność. Sprawdzam zewnętrzne drzwi. Są zamknięte. Jestem pewien, że nikt nie wszedł tu po wewnętrznych schodach, kiedy byłem w barze. Delikatnie obwąchuję list, szukając oznak użycia magii. Czy wyczuwam leciutki ślad?

Być może.

Moja ręka automatycznie unosi się i dotyka talizmanu chroniącego przed czarami, który noszę na szyi. Jest nowy. Mam nadzieję, że działa.

Idąc do Moxa zachowują ostrożność, ale kiedy dowiaduję się, że mój rydwan wygrał i odbieram dwadzieścia guranów wygranej, zapominam o groźbach. Potem chwalebę się Makri: – Tak, człowiek może przegrać od czasu do czasu, ale jednak co klasa, to klasa.

Kiedy chodzi o typowanie zwycięzców, jestem mistrzem. A na jutro dostałem poufną wiadomość. Powinnaś się przyłączyć i wygrać trochę forsy, Makri. To łatwiejsze niż praca kelnerki.

3

Jakie są według ciebie szanse Szturmu na Cytadelę w wyścigu ku czci Turasa? – pytam Gurda, który przynosi mi następne piwo. Kiedy podaje mi je ponad barem, widzę, jak napinają się jego potężne bicepsy. Długie włosy barbarzyńcy prawie całkiem okryła już siwizna, ale nadal jest silny jak para wołów. – Żadne – odpowiada. – Elfy nie wysyłałyby rydwanu aż z Wysp Południowych, nie mając pewności, że wygra.

Kiwam głową. Tak właśnie myślą wszyscy w Turai. Senator Mursjusz wystawił w swoim czasie kilka niezłych rydwanów, ale nigdy nie pokona Elfów.

Wszyscy niecierpliwie oczekują wyścigów, które odbędą się w pierwszym tygodniu po zakończeniu pory deszczowej, podczas święta Turasa. Turas to legendarny założyciel Turai, który zwyciężył parę dzikich szczepów, dokonał różnych bohaterskich wyczynów, a potem zbudował nasze miasto. Jego święto zawsze poprawia nastroje obywateli przed nadejściem ostrej zimy. Tego roku będziemy świętować na większą skalę niż zwykle, ponieważ uroczystości zbiegają się w czasie ze świętem Złączenia Trzech Księżyców, co zdarza się tylko raz na piętnaście lat, czy coś koło tego.

Oczywiście opłacę kilka zakładów, nie zamierzałem się jednak hazardować podczas tej ostatniej i najbardziej prestiżowej konkurencji, wyścigu poświęconego pamięci Turasa.

Skoro Elfy przysyłają Rzekę w Świetle Księżyca, wynik w zasadzie już jest przesądzony.

Rydwan ten należy do Lisitha-ar-Moha, wielkiego elfijskiego możnowładcy i przyjaciela Turai. Piętnaście lat temu Lisith-ar-Moh poprowadził pułk elfijskich wojowników przez linie Orków na pomoc naszemu miastu i pojawił się właśnie wtedy, gdy napastnicy wybili wyrwę w murze, a grupa zdesperowanych żołnierzy,

ze mną włącznie, próbowała ich odeprzeć. Ten Elf ocalał wówczas miasto i nigdy o tym nie zapomnieliśmy. Od tego czasu odwiedzał nas kilkakrotnie, jako honorowy gość naszego króla, i właśnie z powodu swoich związków z miastem postanowił wysłać rydwan na wyścig ku czci Turasa.

Wszyscy bardzo się z tego cieszą. Każdy Turajczyk lubi Elfy. Problem jedynie w tym, że elfijski rydwan praktycznie uniemożliwi uczynienie z wyścigu prawdziwej rywalizacji. U nas nie hoduje się takich koni, jak u Elfów na Wyspach Południowych.

A jednak... Jak każdy hazardzista jestem zaciekawiony, gdy ktoś daje mi cynk.

Stałem obok senatora Mursjusza, kiedy Orkowie zrobili wyłom we wschodnim murze i widziałem, jak własnoręcznie walczył z dziką hordą gramolącą się przez gruzy i wdzierającą do miasta.

Gdyby nie było tam Mursjusza, nie wytrzymałibyśmy do przybycia Elfów. – To nie jest człowiek, który stawia na zawodnika bez szans – przypominam Gurdowi, również uczestnikowi tych walk, – To prawda. Ale właściciele rydwanów zawsze myślą, że wygrają – odpowiada barbarzyńca. – Już dość przegrałeś na wyścigach. Nie ma sensu znów wyrzucać pieniędzy w błoto.

Gurd i ja wspominamy wojnę. Ostatnio często nam się to zdarza. Nadchodząca wizyta pana Lisitha rozbudziła wspomnienia. Orkowie, smoki, mury walące się na ziemię pod wpływem magicznego uderzenia, płonące budynki, desperacka walka, odgłos trąb i nagle niespodziewane przybycie Elfów. Nawet wtedy niełatwo nam przyszło pokonać Orków.

Bitwa trwała przez cały dzień, całą noc i cały następny dzień. To było niezwykle doświadczenie, sądzę więc, że Gurd i ja mamy prawo przechwalać się naszym udziałem w tych wydarzeniach, niezależnie od tego, co mówią niektórzy, kiedy po raz kolejny zaczynamy nasze opowieści.

Gurd ma oczywiście rację w sprawie wyścigu. A jednak... Mursjusz jest chytry jak simnijski lis, kiedy w grę wchodzi wyścigi rydwanów. Odnosił niejednen sukces.

Czuję, że powoli dają się skusić. Odpędzam od siebie pokusę i wracam myślami do swego zadania, mianowicie odzyskania dzieł sztuki senatora. Gurd trzyma za tawerną kilka dobrych koni, każę więc stajennemu osiodłać dla mnie jednego, podczas gdy Tanrose, kucharka i obiekt barbarzyńskich uczuć Gurda, szykuje mi koszyk z prowiantem na drogę. Związuję swoje długie włosy w kucyk i wsuwam je pod tunikę, a potem otulam się płaszczem.

Właśnie kiedy wychodzę, do tawerny wkracza Makri.

– Jestem mokra jak koc Syreny – oznajmia. – Ależ to miasto ma głupi klimat. Jak nie za gorąco, to za mokro. A teraz jest i tak, i tak.

Muszę przyznać jej rację. Pogoda w Turai bywa często nieprzyjemna. Przez cztery miesiące pali nas słońce, przez miesiąc pada gorący deszcz, przez kolejny miesiąc trwa stosunkowo umiarkowana jesień, a potem przez cztery miesiące kasa nas okrutny mróz.

Później znów nadchodzi pora deszczowa, tym razem zimna, trwająca cztery tygodnie, aż wreszcie mamy miesiąc całkiem przyjemnej wiosny. – Z czego wynika, że tylko dwa miesiące w roku są znośne – warczy Makri. – Przynajmniej odbywa się to regularnie. – Po co, u diabła, zbudowano tu miasto?

– Dobra przystań. Blisko do głównych szlaków handlowych. Makri klnie po staroelfijsku. Uczy się właśnie tego języka na lekcjach w Kolegium Gildii i stara się go używać.

– Słyszałam jednak, że Elfy nigdy nie przeklinają deszczu – dodaje. – Podobno siedzą sobie na drzewach i myślą, że to kolejny piękny fenomen natury. Głupie Elfy.

Kiedy Makri przybyła do Turai, mówiła już płynnie w pospolitym narzeczu elfijskim.

Zakładam, że nauczyła się go od swojej babki-Elfa, ale nigdy nie pytałem, kim ona była, Makri zaś nigdy tego nie wyjaśniała. Nie opowiadała też o dziadku-Orku, a o niego nawet nie odważyłbym się pytać. Moja znajomość języków tych dwóch ras znacznie się poprawiła, odkąd poznałem Makri.

Pytani ją, dlaczego włóczyła się po deszczu. Wyjaśnia, że szukała roślin. – Po co? – Na lekcje botaniki w Kolegium Gildii. Profesor chce, abyśmy poznali kilka interesujących miejscowych roślin. – To może być trudne w naszej dzielnicy. Tu nic nie rośnie. – Wiem. Poszłam ich szukać w tym małym parku za Zaułkiem św. Rominiusza.

Niestety, park zniknął. Ktoś zbudował tam dom z mieszkaniami do wynajęcia.

Król Reeth-Akan wprowadził surowe przepisy dotyczące liczby parków dla swoich poddanych. Nawet w najbiedniejszych dzielnicach powinno się znaleźć nieco otwartej przestrzeni, gdzie obywatele będą mogli zażyć ruchu i na chwilę zapomnieć o swoich problemach. Niestety, prefekci sprawujący pieczę nad planowaniem przestrzennym w każdej dzielnicy gotowi są patrzeć przez palce na nowe budowy, jeśli dostaną łapówkę.

Doszło już do tego, że w Dwunastu Morzach nie pozostał nawet skrawek otwartej przestrzeni.

Ostatni prefekt, Toliusz, był przekupny jak rzadko. Niedawno, przyłapany na próbie przekazania części królewskiego złota do własnego skarbcza, został zmuszony do ucieczki z miasta.

Najwyraźniej Driniusz, jego następca, nie tracąc czasu zabrał się za wypełnianie własnej sakiewki. Imiona członków arystokratycznych rodów kończą się na – iusz, ale i bez tego można ich rozpoznać po zdumiewającej gotowości do przyjmowania pieniędzy za przysługi. „Łatwe jak przekupienie senatora”, mówi się u nas. Zupełnie inaczej, niż w przypadku porządnych, ciężko pracujących obywateli, którzy mają w imieniu ox lub ax. Jak Thraxas, na przykład. Tacy są uczciwi do szpiku kości.

– Wyruszam właśnie na wieś – mówię Makii – Pojedź ze mną i badaj roślinność.

Makri rozważa propozycję. Dziś ma już wolne i sądzi, że przydałoby się jej trochę ruchu.

– Dobrze, pojedę, jeśli będziesz mi pożyczał ten magiczny płaszcz przeciwdeszczowy – mówi ta spryciara. – Potrzebna mi jakaś interesująca roślina. Jeśli nie odrobię tej pracy domowej, profesor Toariusz spadnie na mnie jak klątwa.

Mówi to z nachmurzoną miną. Z jej częstych narzekań wiem, że profesor Toariusz należy do tych osób w Kolegium, które uważają, że byłoby o wiele lepiej, gdyby Makri stamtąd odeszła. To on zabronił jej przychodzić na lekcje w bikini z powodu zamieszania, jakie powodowała. Nie odczepił się nawet wtedy, gdy założyła na wierzch męską tunikę. – Powiedział, że za bardzo widać mi uda. Czy to jest zabronione w Turai? – Nie, po prostu odwraca uwagę młodych mężczyzn od studiowania filozofii.

Dlatego Makri, gdy idzie do szkoły, musi się teraz otulać grubym płaszczem, nawet wtedy, gdy leje się żar i jest gorąco jak w piekle Orków, czyli przez całe lato.

– Profesor Toariusz jest zimny jak serce Orka-narzeka Makri i biegnie na górę po topór.

Moja towarzyszka nie daje jednak za wygraną, Pracuje ciężko i w tawernie, i w szkole. Jej ambicją jest wstąpienie na Uniwersytet Imperialny. To oczywiście niemożliwe, co wielokrotnie jej powtarzam. Nie przyjmują tam kobiet, szczególnie takich, które mają w swoich żyłach krew Orków. Uniwersytet Imperialny to tak ekskluzywna instytucja, przeznaczona wyłącznie dla potomków arystokracji, że nawet bogatym kupcom niełatwo jest wprowadzić tam swoje dzieci. Jest on całkowicie podporządkowany rządzącej elicie, dlatego marzenie Makri staje się jeszcze bardziej niemożliwe do zrealizowania. Ale ona nie daje się zniechęcić.

– Do Kolegium Gildii również nie przyjmowali kobiet, zanim ja się nie uparłam – mówi. Trudno nie podziwiać jej wytrwałości.

Makri wraca z toporem, dwoma mieczami, nożem ukrytym w bucie i torbą pełną metalowych gwiazdek do rzucania, broni Cechu Zabójców, którą ostatnio eksperymentuje. – Makri, przecież szukasz tylko kilku roślin. Kogo u diabła spodziewasz się tam spotkać? – Nigdy nie wiadomo. Za każdym razem, kiedy pomagam ci w śledztwie, sytuacja okazuje się gorsza niż się spodziewaliśmy. Jeszcze nie zapomniałam, jak poszliśmy szukać zaginionego psa, a skończyło się na walce z piratami. A przypomnij sobie, co się wydarzyło wtedy, kiedy zmusiłeś mnie, abym nie brała topora. Dostałam strzałę z kuszy w pierś i ledwo mnie

odratowano. – Bardzo by nam wszystkim ciebie brakowało. Chodźmy. – Na schodach znalazłam list zaadresowany do ciebie. Rozrywam kopertę.

Wiadomość brzmi: „Nie przeżyjesz gorącej pory deszczowej”.

– Ktoś znowu grozi ci śmiercią?

Kiwam głową. Powinienem był zabić Gliksjusza Pogromcę Smoków, kiedy miałem okazję.

Na zewnątrz nadal panuje upał. Deszcz się nasilił i stara peleryna chroni mnie przed wilgocią przez jakieś trzydzieści sekund, podczas gdy Makri pozostaje sucha w moim magicznym płaszczu przeciwdeszczowym. – Deszcz nie wydaje się już taki straszny, kiedy człowiek się do niego przyzwyczai – oznajmia. – Dokąd jedziemy? – Ferias. Ekskluzywny kurort na wybrzeżu. – Wobec tego dlaczego nie kierujemy się w stronę zachodniej bramy? – Chcę zajrzeć do Moxa. Dostałem cynk.

Makri kiwa głową. Chociaż nie popiera hazardu, była pod wrażeniem, kiedy wróciłem do domu z dwudziestoma guranami wygranej.

Niewielkie, obskurne biuro Moxa pełne jest hazardzistów w wilgotnych, połatanych tunikach i płaszczach, typowym stroju biednych mieszkańców Turai. Większość przedstawicieli klas niższych, włącznie ze mną, ubiera się na szaro. Kilku bardziej odważnych młodzików od czasu do czasu błysnie kolorami, ale egzotyczne ciuchy nie mieszczą się zazwyczaj w budżecie zwykłych ludzi. Na biało ubierają się tylko arystokraci.

Od czasu do czasu przybywa posłaniec przynoszący najnowsze wieści od maga na stadionie w Jiwał, setki mil stąd. Jestem tutaj, aby opłacić zakład na pierwszą jutrzejszą gonitwę, na wypadek gdybym nie wrócił do miasta przed wieczorem. Chociaż bardzo uważam, aby się nie zdradzić, omal nie pękam z radości. Na ten wyścig czekałem od długiego czasu. To moja polisa ubezpieczeniowa.

Stawki na cztery rydwany biorące udział w wyścigu wynoszą: dwa do jednego, sześć do czterech, sześć do jednego i osiem do jednego. Jako poważny hazardzista nie mam zwyczaju marnować pieniędzy obstawiając nowicjuszy, jednakże

przypadkowo wiem, że Zabójca Trolli (sześć do jednego) ma duże szansę w tym wyścigu. Szepczę o tym do ucha Makii.

– Znam właściciela. Piłem z nim, zanim wyjechał na południe. Trzymał ten rydwan w rezerwie, w ukryciu. Powiedział mi, że nigdy jeszcze nie trenował lepszych koni.

Dlatego właśnie pojechał do Juval, gdzie go nie znają. Przy stawce sześć do jednego zrobi majątek, a ja razem z nim.

Mox jest nieco zaskoczony, kiedy pewnie stawiam na Zabójcę Trolli. Na zewnątrz zaczynam tańczyć w deszczu. – Dwieście czterdzieści guranów dla Thnucasa, wielkie dzięki! – A jeśli przegra? – pyta Makii, dosiadając konia. – Niemożliwe. Zaufaj mi. Wiem, co robię.

Burza przeszła, ale nadchodzący miesiąc przyniesie wiele podobnych. Teraz czeka nas dwugodzinna jazda wzdłuż wybrzeża do Ferias. Kiedy docieramy do murów miejskich moje zadowolenie z dobrze postawionego zakładu zdążyło już wyparować i zaczynam żałować, że wziąłem tę sprawę. W połowie drogi zaczynam poważnie rozważać powrót.

– Ale draka – pryham. – Mam chandrę niemal jak dziwka z Nioj. Nie byłem taki mokry od czasu, kiedy podczas wojny z Niojańczykami razem z Gurdem przepłynęliśmy pod tratwą nieprzyjaciół, aby zaatakować ich niespodziewanie. A wtedy byłem znacznie młodszy.

Zatrzymujemy się, żeby coś zjeść pod osłoną drzewa. Makri rozgląda się za jakimiś interesującymi okazami flory. – Muszę przynieść coś naprawdę wyjątkowego, a tutaj widzę tylko trawę i krzaki. – W ogrodzie wokół willi Mursjusza zapewne będą jakieś niezwykle rośliny.

Ukradnij jedną z nich.

Jedziemy dalej.

– Co zamierzasz zrobić, kiedy już tam dotrzemy? Czyjego żona nie obrazi się, jeśli po prostu wmaszerujemy i każemy jej mówić, co zrobiła z łupem?

Spoglądam na Makri z zainteresowaniem. Wątpię, czy w ogóle rozumiała, co to znaczy „obraza”, kiedy przybyła do Turai. Te lekcje musiały ją ucywilizować.

– Być może. Mursjusza to nie obchodzi. Ich związek wyszedł już z fezy wzajemnej uprzejmości. On chce po prostu dostać z powrotem swoje malowidła.

Deszcz nas smaga. Kilka razy przeklinam Rycjusza. Gdyby nie ciągał mnie po sądach, nie musiałbym tego robić. Dzięki Bogu nie jest już wicekonsulem. To stanowisko zajmuje obecnie Cycleriusz, który należy do Tradycjonalistów, partii popierającej króla.

Ostatnio stracili nieco poparcia na rzecz opozycji, Popularów, ale zwycięstwo Cycleriusza powstrzymało ten trend. Przyczyniłem się do tego zwycięstwa. Dzięki sprytnym działaniom z mojej strony Cycleriusz nie utracił dobrego imienia. Nie żebym specjalnie popierał Tradycjonalistów. Popularzy mają swoje dobre strony. Zwykłym ludziom przydałaby się jakaś część bogactw naszego miasta. Niestety, Popularom przewodzi senator Lodiusz, najbezwstydniej ambitny tyran, jaki kiedykolwiek nosił togę.

– Jak to się stało, że Cycleriusz nie użył swoich wpływów, aby ci pomóc w sądzie? – pyta Makri. – Bądź co bądź jest teraz wicekonsulem i coś jest ci winien.

Dotknęła czulego punktu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem kiedy zaczęły się kłopoty, było odwiedzenie Cycleriusza – ale on akurat musiał się okazać jedynym człowiekiem w Turai, który jest absolutnie nieprzekupny i przeciwny łamaniu prawa. Wyraził współczucie dla mojego nieszczęścia, ale odmówił użycia swoich wpływów dla odrzucenia oskarżenia. A to dlatego – jak mi wyjaśnił swym pięknie modulowanym głosem mówcy – ponieważ byłem winny, bo naprawdę wyciągnąłem królewskiego przedstawiciela z jego landusa i powaliłem go na ziemię. Faktu, że na gwałt potrzebny mi był powóz, nie można uznać – w jego opinii eksperta – za satysfakcjonujące usprawiedliwienie pobicia innego obywatela.

– To cały ty: kiedy wreszcie zjednasz sobie jakiegoś urzędnika, musi to być właśnie ten jedyny, który jest zbyt uczciwy, aby naginać prawo na twoją korzyść.

Zbliżamy się teraz do luźnego zgrupowania dużych wiejskich domostw, z których składa się Ferias. Posuwamy się wolno. Grunt jest błotnisty i nierówny; kilka strumieni wezbrało, trudno więc przebrnąć na drugą stronę. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz tu byłem. Kiedy pracowałem w pałacu jako starszy

detektyw, odwiedzałem to miejsce regularnie jako gość senatorów, pretorów i bogatych magów. Teraz witają mnie tutaj tak wylewnie, jak Orka na weselu Elfów.

Jest późne popołudnie. Nastrój mam coraz gorszy. Deszcz pada wielkimi kroplami.

Po dwóch godzinach każda kropla wydaje się kamieniem spadającym na moją głowę.

Oznajmiam Makri, że teraz moja kolej skorzystania z płaszcza przeciwdeszczowego, i wymieniamy się. – Gdybyś był lepszym magiem mógłbyś mieć dwa. – Gdybym był lepszym magiem, nie byłoby mnie tutaj. Siedziałbym bezpiecznie w wielkiej willi w Thamlinie, układając horoskopy dla księżniczek i dworaków, i ogólnie ciesząc się wygodnym życiem. Powinienem bardziej przykładać się do nauki, kiedy byłem czeladnikiem.

Wjeżdżamy na niewielkie wzgórze i w oddali widzimy willę Mursjusza. Nagle mój koń rży i staje dęba. Próbuję odzyskać nad nim kontrolę, ale mokre wodze wyslizgująmi się z rąk i spadam na ziemię. Z trudem staję na nogi, ślizgając się w błocie i obrzucając przekleństwami tę głupią bestię. A wtedy zza najbliższego drzewa bez ostrzeżenia wychodzą trzej wielcy Orkowie uzbrojeni w miecze.

To nie ma sensu. W Krainach Ludzi nie spotyka się Orków. Szczególnie w pobliżu bogatej miejscowości, takiej na przykład jak Ferias.

Olkowie są więksi od ludzi i zazwyczaj nieco silniejsi. Nie znam żadnego, który nie byłby dziki, chociaż oczywiście spotykałem ich wyłącznie na polu bitwy. Może ci mniejsi zostają w domu. Jednak wątpię. Większość ludzi uważa Orków za tępe zwierzęta, ja jednak wiem, że to nieprawda. Ich ambasadorowie, na przykład, często okazują się przebiegłymi negocjatorami, a Bhergaz Zaciekły, wielki wódz, który piętnaście lat temu zjednoczył wszystkie orkijskie nacje i powiódł je na Zachód, był błyskotliwym generałem.

Tylko dzięki kombinacji szczęścia, sztuki czarnoksiężskiej i determinacji połączone siły Elfów i ludzi zdołały ich pokonać.

Makii, chociaż nienawidzi Orków bardziej niż ktokolwiek inny, nie chce przyznać, że ludzie posiadają bardziej rozwiniętą cywilizację. Twierdzi, iż wbrew

przekonaniu panującemu na Zachodzie, Orkowie mają muzykę, literaturę i nawet rodzaj teatru, w którym przedstawienia są jednocześnie rytuałami religijnymi. Być może to prawda, żadne z tych osiągnięć nie jest nam jednak znane, za wyjątkiem dzikich melodii wojennych, które grają kiedy ruszają do walki i tej dziwacznej, piskliwej muzyki, wygrywanej przez kobziarzy siedzących na smokach. W przeciwieństwie do ludzi, Orkowie potrafią hodować i kontrolować smoki. Mają ciemną skórę, noszą długie włosy, fryzurę popularną tylko wśród niższych klas Turai, a ubierają się we włochate ubrania ozdobione frędzlami.

Lubią srebrną biżuterię, robią dobrą broń, nienawidzą wszystkich ludzi – a poza tym potrafią walczyć. Ja również potrafię, co się szczęśliwie składa, bo nie zabrałem ze sobą żadnych zaklęć.

Wyciągam miecz i sztylet, i przyjmuję pozycję bojową.

Trzej Orkowie ubrani są w stroje młodych wojowników – czarne hełmy i czarne tuniki, przy boku zaś mają broń. Jeszcze nas nie zaatakowali. Dziwne. Orkowie i ludzie to nieprzejednani wrogowie. Kiedy się spotykamy, nie tracimy czasu, tylko po prostu się zabijamy. Zastanawiam się, czy warto ich pytać, co tu robią.

Nie zdążyłem zapytać. Nienawiść, jaką Makri żywi wobec Orków, nie pozostawia miejsca na rozmowę. Bez wahania moja towarzyszka trąca jednego z nich i zeskakuje z konia, aby stawić czoło pozostałym. W rękach ma już topór i miecz; głowa pierwszego Orka stacza się z jego ramion, zanim jeszcze zdążył się poruszyć. Drugi próbuje wyciągnąć miecz, ale Makri patroszy go i Ork osuwa się martwy na ziemię. Nie należę do mężczyzn, którzy pozwalają swoim towarzyszkom walczyć za siebie, ale nie mam okazji się przyłączyć. Kiedy trzeci Ork gramoli się na nogi, Makri wyciąga z torby gwiazdkę i ciska ją z zabójczą celnością prosto w jego gardło.

W ciągu kilku sekund walka jest zakończona. Trzej martwi Orkowie leżą u naszych stóp. Siedem lat spędzonych w stajni gladiatorów, z czego pięć z mistrzowskim tytułem – to sprawia, że taką kobietę trudno pokonać.

Makri chodzi dookoła, rozgląda się podejrzliwie i węszy, szukając Orków, Chyba zabiła już wszystkich. Ale przecież w ogóle nie powinno ich tu być. Orkowie

mieszkają daleko na wschodzie i nie włączą się po Krainach Ludzi. Gdyby grupa Orków próbowała przekroczyć pustynię, która nas rozdziela, odkryliby ich magowie, którzy nieustannie przeszukują te tereny właśnie w tym celu.

Zastanawiam się, co tu robili. W ich zachowaniu było coś dziwnego.

Wsiadamy na konie i ruszamy w drogę. Willę Mursjusza otacza długi biały mur.

Frontu strzeże ciężka żelazna brama, za którą siedzi znudzony członek Gildii Ochroniarzy.

Podaję mu swoje imię, a on kiwa głową, jakby na mnie czekał. Otwiera bramę i wjeżdżamy do środka. Kiedy wspominam mu o Orkach, patrzy na mnie z całkowitym niedowierzaniem.

Zapewniam go, że to prawda.

– Trzej orkijscy wojownicy. Niedaleko, na wzgórzu. Załatwiliśmy się z nimi, arie lepiej namówcie miejscową straż, aby przeszukała teren na wypadek, gdyby było ich więcej.

Strażnik widzi, że nie żartuję, oddala się więc, aby podnieść alarm, podczas gdy Makri i ja ruszamy w stronę domu. Po wielotygodniowych deszczach wielkie ogrody willi znajdują się częściowo pod wodą, Dwaj służący odprowadzają nasze wierzchowce do stajni.

Mimo przygody z Orkami nie zapomniałem o naszej misji. Muszę zarobić na życie.

Według instrukcji Mursjusza mam porozmawiać z jego żoną i dowiedzieć się, co zrobiła ze sprzedanymi dziełami sztuki. Senator nie domagał się, abym był subtelny, i nawet nie zamierzam. Tylko kilka szybkich pytań, aby dowiedzieć się, gdzie są łupy, a potem je odzyskać.

Moje plany zostają pokrzyżowane już na wstępie, kiedy grzeczna młoda kobieta informuje mnie, że Sarija, żona senatora, nie może teraz nikogo przyjąć.

Macham ręką, – Przysłał mnie Mursjusz. – Wiem – pada odpowiedź. – Pomimo to nie możesz się z nią zobaczyć. – Dlaczego? – Jest nieprzytomna, bo zażyła dwa.

Gapię się ze zdumieniem na tą młodą kobietę. Oczekiwałem od niej więcej delikatności. Wzrusza ramionami.

– Taka jest prawda. Płacami tylko za opiekę nad nią, nie za kłamstwa.

Odnoszę wrażenie, że ma już zupełnie dosyć opiekowania się Sariją.

– Jeśli zechcecie zaczekać, najprawdopodobniej dojdzie do siebie za kilka godzin.

Możecie się osuszyć w pokojach gościnnych. Przyślę służącego, który przyniesie wam coś do jedzenia i picia.

Młoda kobieta ma na imię Carilis. Jest ładna, choć nieco bezbarwna. Wysławia się kulturalnie jak przedstawicielka turajskiej elity i ma na sobie jedną z tych drogich, długich białych sukien, za które na rynku trzeba zapłacić fortunę. Widok Makri wyraźnie wytrącił ją z równowagi. Zastanawiam się, dlaczego taka dama bawi się w pielęgniarkę żony senatora.

Wkrótce potem suszę się już przed kominkiem, a Makri grzebie w dużych skrzynkach na kwiaty ustawionych w szerokim wykuszowym oknie. Na stole stoi taca z jedzeniem i dzban wina. Czekamy sobie, a ja nie mam nic przeciwko temu. Płacą mi od godziny, i jeśli przez kilka z tych godzin będę sobie siedział jedząc i pijąc, nie zamierzam się skarżyć. Kiedy czuję, że naprawdę się już rozgościłem, drzwi się otwierają i do środka wchodzi jakaś kobieta. Jest blada jak trup i wygląda równie zdrowo.

– Jestem Sarija – mówi. – Najwyższy czas, abyście poszli w diabły z mojego domu.

Podnosi dzban wina. Przez chwilę myślę, że chce nim we mnie rzucić – żony senatorów znane są z przykrego usposobienia – ona jednak podnosi go do ust i pociąga niezły łyk. Potem gwałtownie kaszle, wymiotuje na drogi dywan i osuwa się nieprzytomna.

Gapimy się na jej ciało, rozciągnięte na podłodze w kałuży wina, wymiocin i potłuczonego szkła.

– Nigdy nie przyzwyczaję się do życia w wyższych sferach – oznajmia Makii.

Potrząsam głową.

– Te żony senatorów. Z każdym rokiem stają się coraz gorsze. Zastanawiam się, czy nie powinienem tej kobiecie jakoś pomóc, ale naprawdę nie jestem w nastroju.

Wychodzę na korytarz i wrzeszczę, aby ktoś przyszedł. Zza rogu wychodzi wojskowy w randze kapitana, a za nim ośmiu uzbrojonych mężczyzn. Tylu pomocników raczej nie oczekiwałem.

Towarzyszy im odźwierny.

– To on.

Kapitan ma na sobie czerwoną tunikę i srebrny pancerz. Jest bardzo zmoknięty i nie ma zbyt przyjacielskiej miny.

– Co to za pomysł, żeby wysyłać mnie na idiotyczne poszukiwania Orków? – pyta groźnie.

Wyjaśniam mu, że nie były one idiotyczne. Naprawdę spotkaliśmy Orków, a Makri ich pozabijała.

– Makri?

Wprowadzam go do pokoju. Na widok żony senatora rozciągniętej na podłodze i młodej kobiety w bikini, z toporem zawieszonym na ramieniu, kapitan denerwuje się jeszcze bardziej. – Co u diabła się tutaj dzieje? – Po prostu się rozglądam – wyjaśnia Makri z dość niewyraźną miną. – Nie martw się – pocieszam ją. – Nie przyszli z powodu roślin.

Kapitan zbliża się do Sariji. Zastanawiam się, czy nie będziemy musieli udzielać skomplikowanych wyjaśnień, ale na szczęście w tej chwili pojawia się Carilis.

Kapitan najwyraźniej ją zna i nie komentuje, kiedy młoda kobieta pochyła się nad żoną senatora.

Zamiast tego zwraca się do mnie: – No więc? – Przyjechaliśmy tutaj oficjalnie, na prośbę senatora Mursjusza. Po drodze natknęliśmy się na kilku Orków. Nie znalazł pan ciała?

Nie znalazł. Ani też żadnych śladów walki. Ani nawet śladów stóp.

– Musiał je zmyć deszcz. – Świetna wymówka. A czy deszcz mógłby zmyć również ich aurę? – Nie. – No właśnie, a my poszliśmy tam z czarownikiem. Bardzo znany miejscowy ekspert. Niezbyt ucieszył się z tego, że wojsko wyciąga go z domu w taki dzień jak dzisiejszy, podczas gdy właśnie usiadł sobie z kieliszkiem wina nad nową księgą zaklęć.

Wyjaśniliśmy mu jednak, że to ważna sprawa. Nagłe pojawienie się Orków. – Kapitan wbija we mnie ponure spojrzenie. – Mag nie znalazł żadnych śladów. Nawet najmniejszych pozostałości ich aury. Co macie do powiedzenia na ten temat? – Może wyszedł z wprawy? – Wyszedł z wprawy?! – ryczy kapitan. – Mówię o Kemlathu Zabójcy Orków! Na wojnie wykrył ich tyłu, że ich ciała wypełniłyby cały Stadion Superbiusza! – Poważnie? Kemlath Zabójca Orków? Nie miałem pojęcia, że tu mieszka. – Owszem, mieszka tutaj. I wcale nie jest zachwycony tym, że wyciągnięto go z willi w poszukiwaniu wyimaginowanych Orków. Dzięki wam w całej okolicy wrze, a ja spędziłem popołudnie po kolana w błocie, zamiast siedzieć sobie w ciepłym i suchym baraku.

Mówi jeszcze przez jakiś czas, często posługując się słowami, jakich naprawdę nie powinien używać w obecności młodej i dobrze urodzonej dworki. Jestem zupełnie pewien, że odda nas w ręce tutejszej Straży Obywatelskiej, choćby tylko po to, aby nam dać nauczkę. W końcu jednak traci zapał i po prostu mówi, abyśmy się wynieśli i nigdy nie wracali. – Jeśli znów was zobaczę w tej okolicy, pożałujecie. – A co z naszym śledztwem? – protestuje Makri. Kapitan odwraca się do sierżanta.

– Tak to właśnie jest w Turai w dzisiejszych czasach. Degeneracji. Zatrudniają jako detektywów Orków ubranych w bikini z kolczugi.

Przez chwilę boję się, że Makri wybuchnie. Szybko podnoszę magiczny płaszcz przeciwdeszczowy i rzucając go w jej stronę.

– Dobrze, panie kapitanie. Przepraszamy za kłopot. Już idziemy...

Wyciągam Makri z pokoju i dalej na podwórze tak szybko, jak tylko potrafię.

– Jeśli zaatakujesz ośmiu żołnierzy, tylko przysporzysz nam więcej kłopotów.

Odnajdujemy konie i ruszamy z powrotem ku Turai. Z nieba spływają potoki deszczu.

Makri jest w tak paskudnym nastroju po tym, jak kapitan nazwał ją Orkiem, że pozwalam jej zatrzymać magiczny płaszcz. Sam tymczasem jestem mokry jak koc Syreny. Co za strata czasu. Kiedy mijamy miejsce, gdzie wcześniej spotkaliśmy Orków, zatrzymuję się i węszę, próbując odszukać ślad ich aury. Z pewnością

pozostało mi dość czarodziejskich umiejętności, aby odkryć aurę Orków jeszcze jakiś czas po ich odejściu.

– Nic – mruczę. – Zniknęła. Ktoś ją magicznie usunął.

Ogromna błyskawica rozdziera niebo. Kolejna burza. Czeka nas jeszcze dwugodzinna jazda do domu. Najpierw długa podróż w ulewnym deszczu, a jaka potem spotyka mnie nagroda? Rzyga na mnie żona senatora.

– Cześć, Thraxasie!

Znam ten głos. Spod drzewa wychodzi mag; wygląda wspaniale, odziany w najpiękniejszy tęczowy płaszcz, jaki kiedykolwiek widziałem. – Nigdy nie nauczyłem się kontrolować pogody! – oznajmia donośnym, jowialnym głosem, którego nie słyszałem od piętnastu lat. – Kemlath! – Znasz się na pogodowych zaklęciach? – pyta Zabójca Orków. – Na żadnych się nie znam – przyznaję. – Po wojnie nie wróciłem już do nauki.

Przedstawiam mu Makri. Kemlath, który jest potężnym czarownikiem, oczywiście od razu poznaje, że jest ona w jednej czwartej Orkiem, ale tym razem to nie ma znaczenia. Mój stary druh to potężnie zbudowany, jowialny mężczyzna z wielką czarną brodą, obwieszony złotą i srebrną biżuterią. Niewątpliwie dobrze mu się wiodło od czasu naszego ostatniego spotkania.

– Kemlath i ja walczyliśmy razem podczas wojny z Orkami wyjaśniam Makri, zaskoczonej pojawieniem się tego wielkiego, kolorowego nieznajomego. Przydomek „Zabójcy Orków” Kemlath zdobył dzięki wspaniałej skuteczności swoich bojowych zaklęć.

Niejednemu Orkowi zgotował przedwczesną śmierć, a ich bojowe smoki postrącał na ziemię.

Później był w mieście bardzo szanowany i zajmował ważną pozycję w Gildii Magów.

Nie brakowało mu też odwagi i nie krył się za swoimi czarami. Kiedy skończyły mu się zaklęcia, co zdarza się w końcu każdemu czarownikowi podczas długotrwałego ataku, podniósł miecz i stanął u naszego boku podczas tej ostatniej desperackiej obrony.

– Co cię tu przywiodło?

Wyjaśniam mu, że załatwiam pewną sprawę dla senatora Mursjusza. – Nie wiedziałem, że przeniosłeś się do Ferias – dodaję. – Tak. Wybrzeże mi odpowiada. Pogoda jest tu łagodniejsza – pomijając ten przekłety deszcz – wybudowałem więc sobie willę. Kilka lat temu poczułem, że mam dosyć miasta. Nie jest już takie, jakie było.

Przyznaję mu rację.

– O co chodziło z tymi Orkami? – pyta mnie. Opowiadam mu całą historię.

Kemlath kiwa głową.

– No cóż, Thraxasie, gdybyś nie był moim starym towarzyszem broni powiedziałbym, że kłamiesz albo masz halucynacje, ale zbyt dobrze cię znam. Jeśli ty twierdzisz, że byli tu Orkowie, to mi wystarczy. Nie znalazłem jednak ani śladu, a przecież wykrywanie Orków to moja specjalność. Przysięgłbym, że gdyby pojawił się tu Ork, potrafiłbym go wyczuć, nawet wtedy, gdyby jakiś mag bardzo dobrze oczyścił okolicę.

Deszcz leje. Kemlath zaprasza nas do swojej willi. Odmawiamy, choć niechętnie, oboje bowiem musimy wracać do Turai. Czarownik obiecuje, że dokładniej zbada sprawę i zda mi raport, jeśli coś znajdzie. – Teraz już wiesz, gdzie mieszkam. Nie zapomnij mnie odwiedzić! – mówi na pożegnanie. – Jak na maga facet jest w porządku – podsumowuje Makri, kiedy odjeżdżamy. – Jeden z najlepszych – potwierdzam. – Zawsze go lubiłem. Kiedy pogoda się poprawi, przyjmę jego zaproszenie. Jako królewski mag mieszkający w Ferias musi być bogaty. Widziałaś, ile miał na sobie złota i srebra?

Późną nocą docieramy z powrotem do miasta. Nasze konie są zmęczone taplaniem się w błocie. Minęła już godzina, o której zamyka się bramy, ale znam odźwiernego, zostajemy więc wpuszczeni. – Pracujesz do późna, Thraxasie? – woła ze swego punktu obserwacyjnego. – I owszem. – Dobrze ci idzie? – Lepiej niż wiosłowanie na galerze.

Makri, jak zwykle, jest pod wrażeniem wielkiej liczby moich znajomości.

Większość ludzi mieszkających na południe od rzeki zna Thraxasa.

Konna jazda w mieście w nocy została zabroniona, ale jest tak mokro, a my czujemy się tak zmachani, że decydujemy się zaryzykować. W noc taką jak ta – kiedy grom nadal przetacza się po niebie, a deszcz leje się potokami – na ulicach nie widuje się zbyt wielu patroli Straży Obywatelskiej. „Pod Mściwym Toporem” nocne pijaństwo zaczęło się już na dobre. Towarzyszą temu hałaśliwe śpiewy, którym akompaniują Palax i Kaby, para ulicznych muzyków, mieszkających w konnym wozie za tawerną. Dnie spędzają śpiewając na ulicach, a noce na graniu i piciu. Gurd pozwala im pić za darmo w zamian za zabawianie gości, jestem więc nieco zazdrosny, kiedy zamawiam piwo, a on zapisuje to na moje konto. Jeśli nie posunę się naprzód w sprawie skradzionych dzieł sztuki, będę miał trudności z zapłaceniem rachunku pod koniec miesiąca.

Makri bierze piwo i siada przy moim stole.

– Co za strata czasu – wzdycham. Makri kiwa głową. – Przynajmniej udało mi się znaleźć to – mówi, wyciągając z torby jakieś nieduże roślinki. Mają drobne niebieskie kwiatki i zupełnie nie przypominają niczego, co dotąd widziałem. – Myślę, że są wystarczająco niezwykle. Zabrałam je ze skrzynki, kiedy żołnierze zmywali ci głowę.

– Dobra robota. Mam nadzieję, że profesor się ucieszy. Zastanawiamy się, co Orkowie robili w Ferias. Makri pyta mnie, czy zamierzam donieść o tym władzom. Potrząsam głową.

Nikt nie atakuje miasta, podejrzewam więc, że była to zapewne prywatna sprawa jakiegoś bogatego obywatela Ferias. Prawdopodobnie mająca związek z dwa. Dużo narkotyku dociera do nas ze wschodu. Nie pojmuję, po co ktoś chciałby sobie utrudniać życie, wciągając do interesu Orków, ale kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami w takich miejscach?

Biorę kolejne piwo i kilka ciastek, które Tanrose zostawiła z obiadu. Palax i Kaby robią sobie przerwę w muzykowaniu i przysiadają się do naszego stołu. Dzielą się z mną swoją thazis – oni zawsze mają najlepszą thazis w mieście. Mój nastrój zaczyna się poprawiać. Dzisiejsza wyprawa była stratą czasu, ale teraz

przynajmniej siedzę sobie wygodnie przy piwie w towarzystwie zadowolonych pijaków. Zazwyczaj kiedy prowadzę śledztwo bywa o wiele gorzej.

Makri przebrała się już w swoją męską tunikę. Jacyś marynarze wołają do nas, pytając o bikini. Makii odkrzykuje, że dzisiaj ma wolne. Marynarze mają rozczarowane miny. Makii dostrzega, że jestem zadowolony, chociaż dzień był ciężki. Wyjaśniam jej, że zawsze się cieszę, kiedy mam wkrótce wygrać dwieście czterdzieści guranów. Ona nadal odnosi się do tego sceptycznie. – Możesz przegrać. To nawet nie był faworyt. – Zabójca Trolli nie przegra, ciągle ci to powtarzam. Znam właściciela. To jest najlepszy rydwan biorący udział w tym wyścigu. Płacą za niego sześć do jednego, ponieważ w Juval jeszcze o nim nie słyszano. To największy pewniak, jakiego obstawiłem od lat.

Gdybyś miała trochę oleju w głowie, poszłabyś jutro rano i też na niego postawiła.

Makri najwyraźniej nie pochwała mojego zachowania. Tak to bywa z ludźmi, którzy ciągle pracują. Irytuje ich, że ktoś może zdobyć nieco grosza bez żadnego wysiłku.

Następnego dnia śpię do późna; budzą mnie dopiero jakieś hałasy w biurze.

Zajmuję tylko dwa pokoje – jeden do spania, a drugi do pracy. Mieszkanie jest małe, ale mam prawo do prywatności. Wstaję po cichu i z mieczem w dłoni skradam się do łączących pokoje drzwi.

Rzeczywiście ktoś tam jest. Wpadam do środka, gotów stawić czoło intruzom.

To Makii Najwyraźniej szuka czegoś pod kozetką.

– Co do cholery robisz pod moją kozetką? – pytam, niezbyt zadowolony, że zbudzono mnie po wczorajszym pijaństwie.

Makri zrywa się na nogi z twarzą wykrzywioną wściekłością. – Ty idioto! – wrzeszczy, a potem dodaje mnóstwo innych obraźliwych epitetów.

Nie rozbudziłem się jeszcze i trudno mi się w tym połapać. – Co takiego zrobiłem? – Straciłam przez ciebie pieniądze! – Jakie pieniądze?

– Te, które zbierałam dla Ligi Kobiet Wyzwolonych! Później rzuca jeszcze kilka obelg. Nie rozumiem, o co jej chodzi, dopóki nie wyławiam z tej tyrady nazwy

„Zabójca Trolli”. – Zabójca Trolli? Mówisz o tym wyścigu w Juval? – Oczywiście, że mówię o tym wyścigu. Twierdziłeś, iż Zabójca Trolli nie może przegrać! Ty i te twoje głupie rady! – Nie wygrał? – Nie, nie wygrał! – krzyczy Makri. – Na pierwszym zakręcie spadło mu koło! A ja poszłam dziś rano i postawiłam na niego wszystkie pieniądze!

To przytłaczająca wiadomość. Załamany, opadam na kozetkę.

– Jesteś pewna?

Makri jest pewna. Była u Moxa, patrzyła, jak hazardziści, którzy postawili na faworyta, odbierają swoje wygrane, i nie jest zbyt zadowolona. Oszołomiony straszną wieścią staram się bronić przed jej oskarżeniami. – Nie zmuszałem cię, abys stawiała, prawda? Już i tak mnie to dobiło, nie musisz jeszcze dokładać swoich trzech groszy. Zabójca Trolli pokonany! Nie mogę w to uwierzyć.

Polegałem na tym rydwanie. Na pewno stoi za tym jakieś magiczne oszustwo. – Jedyna rzecz, która za tym stoi, to twoja nieumiejętność wybrania zwycięzcy!

Nie powinnam była cię słuchać. I co teraz zrobię? Jestem splukana, a potrzebuję pięćdziesięciu guranów – na dzisiaj!

Zaczynam dostrzegać sens zachowania Makri. Pod kozetką mam ukryte pięćdziesiąt guranów. To moja rezerwa na czarną godzinę i sądziłem, że nikt o tym nie wie. – Czy dlatego właśnie grzebałaś pod moją kozetką? – pytam. – Tak. – Myślałaś, że po prostu zabierzesz sobie pieniądze, podczas gdy ja będę spał? – Tak. – Dlaczego? – Ponieważ to z twojej winy przegrałam, a natychmiast potrzebuję pieniędzy.

Obiecałam je Lidze na dzisiaj.

Jest to stwierdzenie tak bezczelne, że prawie zapiera mi dech w piersiach. – Obiecałaś je Lidze? Lidze Kobiet Wyzwolonych? Obiecałaś temu stadu wiedźm moje pięćdziesiąt guranów? – Nie akurat twoje – odpala Makri. – Jakikolwiek pięćdziesiąt guranów. Ale potrzebne mi są na dzisiaj. A one nie są stadem wiedźm. Nie masz nic przeciwko temu, żebym pożyczyła te pieniądze, prawda? Wiesz, że zwrócę. Tyle przynajmniej możesz zrobić w tych okolicznościach. – Te pięćdziesiąt guranów to moja rezerwa na czarną godzinę! – ryczę, odciągając Makri

od kozetki. – Zbliż się do nich tylko, a zabiję cię jak psa. Już jesteś mi winna czterdzieści, które ci pożyczyłem na opłaty egzaminacyjne w zeszłym semestrze.

Makri jest teraz bardziej wściekła niż rozszalały smok. Ja też. – Jak śmiesz rabować moje biuro! Myślisz, że mam ochotę podarować resztę pieniędzy jakiejś stukniętej kobiecej organizacji? Czyś ty oszalała? – Po prostu chciałam je pożyczyć – protestuje Makri, wycierając kurz z kolan. – Po co właściwie masz dawać Lidze pięćdziesiąt guranów? – To pieniądze, które dla nich zebrałam. Zajęło mi to dwa miesiące. Wiesz, jakie to trudne w Dwunastu Morzach. Wszyscy są biedni, a mężczyźni i tak nic nie dadzą.

Musiałam poruszyć niebo, ziemię i trzy księżyce, żeby choć tyle uzbierać. Łatwiej mi szła walka ze smokami.

– Nie opowiadaj mi o walce ze smokami – wybucham. – Ja walczyłem z nimi jeszcze przed twoim urodzeniem!

Chyba zacząłem odbiegać od tematu, wracam więc do rzucania obelg na Ligę Kobiet Wyzwolonych, która, choć nie jest nielegalna, nie cieszy się dobrą opinią wśród dużej części mieszkańców miasta – a mianowicie mieszkańców płci męskiej.

Król jej nie lubi, Prawdziwy Kościół rzuca na nią klątwy z ambon, a Senat potępił ją jako wywrotową. Założona w celu podniesienia statusu kobiet w naszym mieście, z początku rozwijała się powoli, ale później zaczęła zdobywać coraz więcej poparcia ze strony najbardziej wpływowych osób. Członkostwo nie jest podawane do publicznej wiadomości, ale przypadkiem wiem, że Ligę popiera księżniczka Du-Akai, a także kilka potężnych czarownic.

Gildia Magów przyjmuje kobiety. Większość pozostałych cechów – nie, i ten właśnie stan rzeczy Liga zamierza zmienić. Na lepsze lub na gorsze, w zależności od punktu widzenia. Postawiła sobie ona za pierwszy cel uzyskanie oficjalnego statusu i wejście do Czcigodnej Federacji Gildii, ale to kosztowny proces, bowiem co krok potrzebne są opłaty i łapówki. Jak mi się zdaje, Makri wspominała o sumie pięćdziesięciu tysięcy guranów. – To jak, możesz mi pożyczyć? – Oczywiście, że nie. Jeśli obiecałaś te pieniądze Lidze Kobiet Wyzwolonych, nie powinnaś była wydawać ich na hazard. To nieetyczne.

– Nie rób mi wykładów z etyki, ty oszuście! – ryczy Makri. Wybucham śmiechem.

Nie mogę się powstrzymać.

– No tak. Przegrałaś pieniądze na wyścigach. Bardzo śmieszne. Mistrzyni skromnego życia straciła na hazardzie. Królowa racjonalnych zachowań wyrzuca pieniądze na wyścigach.

Makri niezbyt się to spodobało.

– To twoja wina, ty kochanku Orka! Nigdy nie postawiłabym na ten rydwan, gdybyś nie twierdził, że to pewniak.

Makri jest na mnie wściekła za niefortunną radę, ale jeszcze bardziej złości się na siebie za to, że straciła pieniądze. Musiała bardzo się starać, aby zyskać szacunek tutejszych kobiet biznesu, które wspierają Ligę, a ta wpadka może jej tylko zaszkodzić.

– Do południa muszę zanieść pieniądze piekarce Minarixie! Musisz mi pomóc!

Lekceważąco macham ręką.

– Wybaczę ci próbę obrabowania mojego biura. Złożę to na karb młodzieńczej bezmyślności. Ale niech to będzie dla ciebie cenna nauzka. Nigdy nie wydawaj ostatnich pieniędzy na wyścigi.

Makri mierzy wzrokiem mnie, a ja ją.

– Naprawdę ciężko się napracowałam podczas tej kwesty. Kiedy cię sądzono, przysłałam i służyłam ci wsparciem. Zwrócę ci te pieniądze.

Potrząsam głową. – Bądź człowiekiem, Thraxasie. To nie w twoim stylu być skąpym jak pontyfik. – Te pieniądze są mi potrzebne – wyjaśniam. – Po co? – Aby się odegrać u Moxa. A teraz idź. Muszę zostać sam, aby pogodzić się ze złą wieścią o Zabójcy Trolli.

Rozlega się stukanie do zewnętrznych drzwi. Makri wychodzi przygnębiona.

Potrząsam głową. Miałbym oddać moje ostatnie pięćdziesiąt guranów Lidze Kobiet Wyzwolonych? Kiepski dowcip.

Stukanie rozlega się ponownie, gniewne i natarczywe. Moje drzwi są zazwyczaj zamknięte za pomocą magii. To pospolite zaklęcie, które można wykorzystać bez

konieczności uczenia się go za każdym razem na nowo, tak jak w przypadku zaklęć wyższego rzędu, ale też może go używać każdy posiadający choćby najmniejszą znajomość sztuk mistycznych. Choć stosunkowo skuteczne przeciwko drobnym złodziejaszkom, nie powstrzyma przed wejściem kogoś, kto jest naprawdę zdeterminowany. Kilka miesięcy wcześniej Hanama, Mistrzyni Zabójców, przyszła do mnie bez zaproszenia, a zaklęcie nie powstrzymało jej nawet przez sekundę. Mamrocze odpowiednie formułki i drzwi się otwierają.

Okazuje się, że to Carilis, owa niezbyt przyjacielska dworka opiekująca się Sariją, którą spotkaliśmy wczoraj w Ferias. Jej wytworne czarne buty są całkiem ubłocone, a z eleganckiego niebieskiego płaszcza kapie woda.

Podchodzi do mnie i rozgląda się z dezaprobatą. – Co za bajzel. – Gdybym wiedział, że przyjdiesz, trochę bym posprzątał.

– Jak możesz mieszkać w takim brudzie? To obrzydliwe. Mierzą ją gniewnym wzrokiem, bo sam zaczynam odczuwać obrzydzenie. – Czy przyszłaś tu tylko po to, aby udzielać mi pouczeń odnośnie stanu mojego biura? – A nie wszyscy tak robią? – Niektórzy są na to zbyt uprzejmi. Reszta ma za wiele problemów, żeby się tym przejmować. – No cóż, mnie wydają się to odstręczające. Powinieneś coś z tym zrobić. – I zrobię. Wyrzucę cię na zbity pysk, jeśli nie przejdiesz do rzeczy. Czego chcesz?

Kobieta patrzy na mnie tak, jakbym był robalem, który właśnie wypełzł z jakiejś dziury, ale powstrzymuje się od dalszej krytyki i przechodzi do rzeczy. – Dzieła sztuki Mursjusza. – Co z nimi? – Zatrudnił cię, abyś je odnalazł? – Być może.

Carilis pochyla się nad biurkiem i kładzie przede mną skrawek papieru.

– Znajdziesz je, jeśli się pośpieszysz – mówi, a potem szybko wstaje i odchodzi; nawet się nie obejrzała.

Patrzę na papierek. Jest na nim zapisany adres. To jeden z tych starych magazynów w pobliżu portu.

Wyciągam swój magiczny płaszcz. Ta sprawa może się okazać łatwiejsza niż przypuszczałem.

Deszcz ustał i powiał gorący wiatr od morza; na ulicach unosi się para. Śmierdziuszki, małe czarne ptaszki, których pełno w mieście, decydują się na kilka ćwierknień i opuszczają swoje kryjówki wysoko na dachach domów. Podczas gorącej pory deszczowej są one zazwyczaj równie nieszczęśliwe, jak my wszyscy.

Kiedy jestem w połowie drogi, na ulicy Kwintesencji, zdaję sobie sprawę, że nie jadłem nawet śniadania. Czuję głód. Przypominam też sobie, że niedługo nadejdzie czas na modły. Z pośpiechem ruszam przez błoto, aby znaleźć się pod dachem przed Sabamem, wołaniem na modlitwę, które rozlega się nad miastem regularnie jak w zegarku każdego ranka. Prawo nakazuje wtedy wszystkim obywatelom uklęknąć i pomodlić się, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdują. Każdy, kto się do tego nie zastosuje i zostanie przyłapany, będzie oskarżony o bezbożność i nie można się od tego wymigać. Naturalnie większość obywateli stara się znaleźć w odpowiednim miejscu, ale jeśli przypadkiem usłyszysz wołanie na ulicy, musisz się modlić tam, gdzie jesteś. Trzy razy dziennie. To mnie dobija. Ale mogło być gorzej. W Nioj, gdzie obyczaje są surowsze, mają sześć wezwań do modlitwy dziennie.

Kiedy ostatnim razem byłem tam w związku ze śledztwem, kolana bolały mnie później przez miesiąc.

Docieram do przystani i kieruję się w stronę magazynu. Niestety, zanim zdążyłem do niego dojść, rozbrzmiewają dzwony najbliższego kościoła, muszę więc klęknąć i pomodlić się. Skręcam się z niecierpliwości. Takie prawo bardzo utrudnia życie detektywom. Jeśli w tym magazynie coś się dzieje, przestępca będzie miał dość czasu, aby zatrzeć ślady, zanim przyjdę.

Wszędzie dookoła pracownicy portowi klękają, nie mogę więc ryzykować zignorowania wezwania. Z pewnością ktoś by na mnie doniósł i zaciągnięto by mnie przed specjalny kapłański sąd za bezbożne zachowanie. Biskup Gzekiusz, głowa miejscowego Prawdziwego Kościoła, ucieszyłby się z okazji wysłania mnie na długą wyprawę więzienną galerą. Jeszcze mi nie wybaczył, że doprowadziłem do zakończenia pewnych podejrzanych machinacji, którymi zajmował się na początku tego roku.

Kiedy klękam, znów zaczyna padać deszcz. Dokładniej otulam się płaszczem i zastanawiam się, jak można oczekiwać od kogokolwiek, że będzie się modlił w takich okolicznościach. Wreszcie modlitwa się kończy. Pośpiesznie zbliżam się do magazynu i wchodzę do środka. Wewnątrz pełno jest przegród i koryt dla zwierząt, ale oprócz tego magazyn jest pusty. Idąc za podszeptem intuicji wkraczam na metalowe schody wiodące do pomieszczenia, które najprawdopodobniej jest biurem zarządcy. Odnajduję biuro, ale zarządcy nie ma. W ogóle nie ma tam nikogo.

Drzwi są zamknięte, wykrzykuję więc pospolite zakłęcie otwierające. Wchodzę do środka. Jest ciemno, przez okiennice przedostaje się jedynie wąski promień światła. Otwieram okno. Blask zalewa pomieszczenie, a ja rozglądam się dookoła. Pokój jest pełen dzieł sztuki.

Dziewięć czy dziesięć rzeźb, kilka obrazów i bardzo piękna antyczna komoda inkrustowana złotem i kością słoniową. Kiwam głową. Muszę przyznać, że jestem zadowolony z siebie.

Doskonały ze mnie detektyw. Zatrudniasz Thraxasa, żeby znalazł zaginione dzieła sztuki i jaki efekt? Dostajesz je z powrotem już następnego dnia.

Rzeczy wydają się cenne. Dostrzegam niewielką rzeźbę Panny Elfy, najprawdopodobniej dłuta Xixjasza, słynnego turajskiego rzeźbiarza z poprzedniego stulecia, którego prace osiągają teraz wysokie ceny. Zerkam na obrazy. Też wartościowe.

Jeden natychmiast przyciąga mój wzrok – to ten, który Mursjusz tak bardzo pragnął odzyskać.

Wyobrażono na nim grupę młodych mężczyzn, wśród których znajduje się sam senator.

Odziany w mundur kapitana stoi obok innych żołnierzy; wszyscy mają na sobie galowe mundury, miecze u boku i długie włócznie na ramieniu. Podpis na dole głosi: „Oficerowie Czwartego Królewskiego Regimentu, po udanej obronie Turai przed nacierającymi Orkami”.

Też tam byłem, brałem udział w obronie. Ale później nikt nie malował mojej podobizny.

Gdybym był przygotowany na taką ewentualność, zabrałbym ze sobą odpowiednie zakłęcie, dzięki któremu mógłbym przenieść to wszystko do domu. Ale nie jestem na to przygotowany. A to oznacza, że muszę znaleźć jakiś środek transportu, i to szybko.

Wychodzę z magazynu i rozglądam się. Pracownicy portowi rozładują skrzynie, najprawdopodobniej zawierające elfijskie wino, z niewielkiego statku zacumowanego przy przystani. Zbliżam się do majstra, którego znam, bo pija „Pod Mściwym Toporem” i pytam, czy mogę pożyczyć jego wóz.

Potrząsa głową. Wyjmuję dziesięć guranów. Majster znów potrząsa głową. Wyjmuję następne dziesięć. Majster mówi swoim ludziom, że czas na przerwę.

– Przyrowadź go z powrotem za pół godziny – nakazuje i wsadza dwadzieścia guranów do kieszeni. Niezła zapłata za wypożyczenie wozu, ale jestem pewien, że senator Mursjusz nie będzie kręcił nosem na takie wydatki. Kiedy prowadzę zaprzęg w stronę magazynu, nagle wyczuwam coś niezwykłego. Nie potrafiłbym tego nazwać – po prostu coś niezwykłego. Czary? Trudno powiedzieć, ślad jest zbyt nikły jak na moje możliwości. Huk gromu przerywa moje skupienie, ale uczucie powraca gdy tylko wchodzę do magazynu i szybko zyskuje na sile. Wszystko wydaje się takie samo, ale ja wiem, że coś się wydarzyło.

To miejsce aż śmierdzi czarami. Wyciągam miecz i po cichu skradam się po schodach.

Zatrzymuję się pod drzwiami biura. Moje zmysły szaleją. Biorę głęboki oddech i kopię drzwi z całej siły, a potem wpadam z uniesionym mieczem. W środku nie ma nikogo.

Pokój jest pusty. A kiedy mówię „pusty”, należy traktować to dosłownie. Ani śladu rzeźb i obrazów. Do diabła.

Klnę na głos. Podczas tych kilku minut, które spędziłem na zewnątrz, jakiś mag mnie przechytrzył. Wyladowuję swoją frustrację kopiąc w drzwi szafy. Te powoli się otwierają, pchane przez jakiś ciężar. Patrę z przerażeniem, jak jakieś ciało

przechyla się do przodu i zsuwa na podłogę u moich stóp. To senator Mursjusz. Krew sączy mu się z rany na plecach.

Nie żyje.

Stoję tam i gapię się głupio na trupa, próbując zrozumieć, co się stało, gdy na zewnątrz nagle rozlega się odgłos ciężkich butów. Ktoś wchodzi po schodach. Nie ma czasu na ucieczkę i nie ma gdzie się ukryć. Do biura wpada pluton Straży Obywatelskiej. Gdy tylko dostrzegają mnie stojącego obok ciała, grupują się dookoła z wyciągniętymi mieczami.

Kapitan pochyla się i ogląda zwłoki.

– To senator Mursjusz! – wykrzykuje.

Aresztują mnie od razu. W chwilę później siedzę już w krytym wozie jadącym do głównego posterunku Straży w Dwunastu Morzach.

– Masz poważne kłopoty – mruczy jeden ze strażników. Senator Mursjusz to bohater Turai. Nie taeba być geniuszem, żeby się zorientować, że jestem głównym podejrzanym o jego zamordowanie. Wpadłem w niezłe tarapaty. Kiedy wyprowadzają mnie z wozu i prowadzą do celi, kolejna błyskawica rozdziera niebo.

Miałem rację. Śledztwa, które prowadzę, zazwyczaj pechowo się kończą. A to skończyło się wyjątkowo źle.

Na posterunku wrzucają mnie do piwnicznej celi, która jest gorąca jak orkijskie piekło i śmierdzi jak szambo. Wszyscy strażnicy mnie znają, żaden jednak nie będzie gotów wyświadczyć mi przysługi za wyjątkiem młodego Jevoksa, a jego nigdzie nie widzę.

Gwardziści nie lubią detektywów, a już szczególnie nie darzą sympatią mnie.

Straż Obywatelska pozostaje pod kontrolą prefekta. Poprzedni prefekt Dwunastu Mórz, Galwiniusz, był tak skorumpowany, że powinienem dostać medal za pomoc w wykurzeniu go z miasta, jednakże strażnicy nie cenią sobie detektywów, którzy odcinają im źródło łapówek. Nie spotkałem jeszcze jego następcy Driniusza, ale wątpię, żeby okazał się lepszy.

Przez pewien czas przesłuchuje mnie jakiś sierżant. Wyjaśniam mu, że nie miałem nic wspólnego z morderstwem, a pełne zeznanie złożę, kiedy przybędzie mój prawnik.

Sierżant odpowiada, że to potrwa.

– Dlaczego zabiłeś senatora? – nie ustępuje.

Ze znużeniem potrząsam głową. Skoro dotychczas nie uwierzył w moje zaprzeczenia, wątpię, czy uwierzy mi teraz, milknę więc i czekam na przybycie kogoś innego.

Każdy więzień ma prawo do obrońcy z urzędu, co nie znaczy, że go dostanie. W Dwunastu Morzach nikt przesadnie nie respektuje swobód obywatelskich. Powinienem zatrudniać własnego prawnika, ale mnie na to nie stać.

Wydaje się oczywiste, że Carilis wrobiła mnie w morderstwo, ale nie mam pojęcia, dlaczego. Drzwi się otwierają i do celi wkracza prefekt Driniusz, w todzie z żółtą lamówką, która jest oznaką jego stanowiska. Driniusz to wysoki, chudy mężczyzna o orlich rysach i krótko przystrzyżonych włosach, nadal ciemnych. Jest ode mnie starszy, ale zapewne nie więcej niż kilka lat. O ile pamiętam, walczył podczas wojny, co daje mi pewne pojęcie o jego charakterze. Wielu urzędnikom państwowym udało się tego uniknąć. Ma pięknie modulowany głos arystokraty, który w szkole uczył się retoryki. – Czy zabiłeś senatora Mursjusza? – Nie. – Wyjaśnij mi więc, co tam robiłeś.

Ponownie żądam prawnika. Pod jego nieobecność niemądrze jest składać jakiegokolwiek oświadczenia. Poza tym wolałbym nie niszczyć reputacji Mursjusza, rozpowiadając o jego żonie. Chociaż senator nie żyje, nadal czuję się zobowiązany do ochrony dobrego imienia mego klienta.

Driniusz informuje mnie, że dostanę prawnika, kiedy on będzie gotów mi go dać. – Znam twoją reputację, Thraxasie. Sprawia ci przyjemność wtrącanie się w sprawy należące do Straży Obywatelskiej. Teraz, kiedy ja jestem u władzy, nie pozwolę ci się mieszać. – Powinien pan być wdzięczny. To stanowisko nie zwolniłoby się, gdybym nie ujawnił korupcji Galwiniusza.

Driniusz prawie się uśmiecha. – Być może. O ile wiem, sam konsul był zadowolony. Jednak – z czego niewątpliwie zdajesz sobie sprawę – nie przysporzyło ci to popularności u strażników. – Nigdy nie byłem wśród nich popularny. Staram się i staram, a oni nadal mnie nie lubią.

Driniusz przywołuje gestem skrybę.

– Zaprotokołuj, że więzień odmówił złożenia oświadczenia. Skryba zapisuje to.

Driniusz odsyła go razem z sierżantem. – Thraxasie, nie jestem człowiekiem, który pochopnie wyciąga wnioski. Być może potrafisz wyjaśnić, co robiłeś w tym magazynie, ale w tej chwili twoja sytuacja przedstawia się źle. Znalezione cię przy zwłokach Mursjusza, który był martwy od niedawna.

Mag straży, który sprawdził biuro, nie znalazł tam żadnych śladów bytności kogoś innego.

Nikogo. Tylko ty i Mursjusz. No więc? – Myli się. – Wątpię. Ponadto, nasz czarownik poinformował mnie, że nie używano tam magii.

Jestem zaskoczony. Nie oczekiwałem, że prefekt będzie próbował mnie podejść za pomocą tak oczywistego kłamstwa. Ten pokój wręcz śmierdzał czarami, które z pewnością można było wyczuć długo po moim odejściu. Driniusz dostrzega moje zaskoczenie.

– Twierdzisz, że używano tam czarów? Jeśli tak, kłamiesz. Nie odkryto żadnych śladów. Nasz mag jest tego całkiem pewien. Zostajesz więc tylko ty i senator Mursjusz – a on jest martwy. Czy chciałbyś teraz coś powiedzieć?

– Tak. Co zjedzeniem? Nic jeszcze dzisiaj nie jadłem. Driniusz wzrusza ramionami i wychodzi.

Strażnik zamyka celę i urąga mi przez zakratowane okienko w drzwiach.

– Dobrze nam się powodziło, kiedy Gaiwiniusz był prefektem. Potem ty podstawiałeś mu nogę. Teraz my cię powiesimy.

Nie wiem, jak ocenić Driniusza. Zakładałem, że to typowy skorumpowany prefekt, ale w rzeczywistości nie wydaje się tak nierozsądny. Dlaczego jednak kłamał, że w magazynie nie było śladów magii? W sądzie to się nie utrzyma. Mag Straży nie popełni krzywoprzysięstwa w takiej sprawie. Nawet kilka tygodni po

wydarzeniu naprawdę dobry czarownik zatrudniony przez mojego obrońcę mógłby udowodnić, że na miejscu zbrodni używano czarów. Mag Straży w sądzie wyszedłby na głupka, a Gildia Magów spadłby na niego jak klątwa za to, że nadużywa swoich umiejętności. Dziwne.

Drzwi się otwierają. Przyniesiono śniadanie. Chleb, ser i woda. Wszystko świeże.

Być może ten Driniusz nie jest taki zły. Gaiwiniusz pozwoliłby mi głodować.

Zastanawiam się, kto naprawdę zabił senatora. W zasadzie nie powinienem się tym przejmować. W końcu pracuję tylko wtedy gdy mi za to płacą. Mursjusz zatrudnił mnie, abym odnalazł skradzione dzieła sztuki. Znalazłem je. Potem znowu zniknęły. Ale teraz, kiedy on nie żyje, nie ma już nikogo, kto by mi zapłacił za ponowne ich odnalezienie, zatem moje zaangażowanie w sprawę w zasadzie się kończy. Chyba że rzeczywiście oskarżą mnie o to morderstwo i będę musiał oczyścić swoje imię. Wzdycham. W takiej sytuacji konieczna się stanie praca za darmo. Prywatny detektyw. Co to za życie.

Drzwi się otwierają i pojawia się w nich młody strażnik Jevox. Kiedyś mu pomogłem, jest mi więc coś winien. – Thraxasie – mówi pełnym przejęcia głosem. – Wpadłeś w poważne tarapaty. – Już mi to mówiono.

– Nie mogę tu zostać. Ale wysłałem wiadomość do tawerny „Pod Mściwym Toporem”.

Znika. Dzień robi się coraz bardziej upalny, a ja odczuwam coraz większą potrzebę piwa. Nad miastem rozbrzmiewa Sabap, wołanie na popołudniową modlitwę. Klękam i modlę się. Nie ma sensu dawanie im jeszcze jednego powodu, żeby mogli się do mnie dobrać.

Niedługo później drzwi się otwierają.

– Ktoś do ciebie.

Do środka wkracza Makii Drzwi zamykają się za nią. – Znowu wylądowałeś w celi, Thraxasie? Na jej drzwiach powinni już zawiesić tabliczkę z twoim imieniem. – Bardzo śmieszne. Jak się tu dostałaś? – Powiedziałam, że jestem twoją żoną. A

oni mi uwierzyli, co bardzo źle świadczy o twojej reputacji. I mojej, jeśli o to chodzi.

– No cóż, dzięki, że przysłaś. Chciałbym, żebyś... Makri przerywa mu. – Pozwól, że zgadnę. Śledztwo, które prowadziłeś, wpędziło cię w niezłe tarapaty.

Wkurzyłeś miejscowego prefekta, a co gorsze jesteś też głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. Potrzebujesz prawnika, ale oni nie przyprowadzili ci obrońcy z urzędu, chcesz więc, abym ci kogoś znalazła. Mam rację? – W każdym szczególe. – Śmieszne, że to zawsze tak się kończy – oznajmia Makri z szerokim uśmiechem.

Gurd i Tanrose mówili mi, że Makri ma bardzo ładny uśmiech. Ja sam jakoś tego nie dostrzegam.

– Widziałaś się z Gosaxem? Makri prychna pogardliwie.

– Z Gosaxem? Tym tanim kanciarzem? On radzi sobie nie lepiej niż eunuch w burdelu. – Być może, ale to jedyny prawnik, na którego mnie stać. Makri robi poważną minę. – Widziałam się z Kerkiem.

Kerk to narkoman handlujący dwa, który czasami przekazuje mi informacje zebrane podczas swoich podróży. – On twierdzi, że tym razem naprawdę masz kłopoty. – Wszyscy mi to mówią. A dlaczego Kerk tak uważa?

– Bo senator Mursjusz to bohater Turai, a strażnicy naprawdę sądzą, że go zabiłeś. W przeszłości trafiałeś do więzienia na podstawie sfabrykowanych oskarżeń, Thraxasie, ale tym razem oni wierzą, że to prawda. Zabiłeś go?

– Oczywiście, że nie! Po co miałbym to robić? Makri wzrusza ramionami. – Kto wie? Może ktoś ci zapłacił. Po tej wpadce z Zabójcą Trolli potrzebujesz pieniędzy na zbliżające się wyścigi. – Makri, znacznie bardziej mi się podobałaś, kiedy dopiero co przybyłaś do miasta i nie nauczyłaś się jeszcze wymądrzać. Nie mam pojęcia, kto zabił Mursjusza, ale kiedy byłem w magazynie, aż śmierdziało tam magią, Tymczasem teraz strażnicy twierdzą, że ich mag nie zdołał odszukać żadnych jej śladów. Albo więc kłamią jak najęci, albo w sprawę zamieszany jest ktoś posiadający czarnoksięską moc. I to tak wielką, że zdołał całkowicie usunąć wszystkie ślady swoich działań, co nie jest łatwe.

Makri ciągle sięga ręką do boku. Musiała zostawić miecz u strażnika, a bez niego czuje się nieswojo. – Powinieneś zatrudnić dobrego prawnika – radzi. – Makri, czy jest coś, czego mi nie mówisz? – Oczywiście, że nie. Po prostu martwię się o ciebie. Znajdę ci prawnika. A tak na marginesie, czy mógłbyś mi pożyczyć trochę pieniędzy?

Makri nie nauczyła się jeszcze dyplomacji. – Nie zdążyłaś ich dotychczas ukraść z mojego pokoju? – Nie – oznajmia Makri. – Zamierzałam to zrobić, ale potem zdałam sobie sprawę, że Samanatusz by tego nie pochwalił.

Samanatusz to filozof, który czasami wykląda w Kolegium Gildii. Zdobył już pewną sławę. Uczy za darmo i jest chyba autentycznym filozofem, w przeciwieństwie do tych szarlatanów, których się czasem u nas spotyka Makri go lubi. Ja czuję się przy nim nieswojo. – Powiedziałam Minarixie, że zebrane pieniądze pożyczyłam pewnej kobiecie w potrzebie i dostanę je z powrotem za kilka dni. Obiecałam jej sześćdziesiąt guranów. – Zdawało mi się, że byłaś im winna pięćdziesiąt. – Minarixa była bardzo rozczarowana, skłamałam więc i powiedziałam, że zebrałam jeszcze dziesięć.

Makri wyciąga spod tuniki jakiś papier. To spis rydwanów od Moxa. – Pożycz mi więc trzydzieści – prosi. – I tym razem wybierz lepiej. – Mam tylko dwadzieścia – przyznaję. – A co z twoim zapasem na czarną godzinę? – O nim właśnie mówię. – Wyczuwam, że Makri za chwilę wygłosi kazanie o przepijaniu gotówki, opowiadam jej więc o łapówce, którą musiałem wręczyć w porcie. – Na dodatek buty rozpadły mi się na deszczu. Wiesz, ile teraz kosztuje nowa para butów? W każdym razie mogę ci pożyczyć tylko dziesięć. Nie zapomniałem też o tych czterdziestu, które już mi jesteś winna.

Makri kiwa głową i przeczesuje palcami mokre, potargane włosy. – Czy znasz jakichś dobrych prawników? – Nie takich, którzy byliby gotowi wyświadczyć mi przysługę – przyznaję. – A Cycleriusz? – To wicekonsul. – Ale pizecież jest też prawnikiem. Jestem pewna, że na lekcjach prawa czytałam jakieś mowy, które wygłosił na sali sądowej.

Wyjaśniam, że Cyceriusz, skądinąd doskonały prawnik, nie jest człowiekiem, którego można ściągnąć do dzielnicy Dwunastu Mórz, aby wyciągał mnie z pudła. – On zajmuje się jedynie sprawami o znaczeniu ogólnopaństwowym. – No cóż, zobaczę, co da się zrobić – mówi Makri.

Przeglądam spis rydwanów, które wystąpią w Juval. Najlepszy zawodnik, jakiego widzę, to Zgniatacz Orków, dobry rydwan, na którym już w przeszłości zarobiłem.

Niestety to mocny faworyt i płacą za niego tylko pięć do czterech. Kiedy wyjaśniam Makri, że za każde pięć guranów, które postawi, dostanie tylko cztery, jest nieco zawiedziona.

Wyjaśniam, że żadnego innego rydwanu nie warto obstawiać, szczególnie teraz, kiedy naprawdę nie stać nas na ryzyko.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Thraxasie. Postawię swoje dziesięć guranów.

Nawet jeśli wygram tylko osiem, to już będzie jakiś początek.

Mówię jej, żeby za mnie postawiła taką samą sumę. Makri wali w drzwi, przywołując strażnika, który ją wypuszcza. – Jak to jest być mężem pół-Orka? – pyta strażnik, kiedy Makri odchodzi. – Ona jest Orkiem tylko w jednej czwartej – odpowiadam. – I tak pewnie lepiej już wisieć – mówi i zamyka drzwi.

Czekam w celi przez wiele godzin. Nikt nie przychodzi w odwiedziny. Zaczyna mi tak brakować towarzystwa, że ucieszyłbym się, gdyby znowu wezwali mnie na przesłuchanie, jednak pojawia się tylko strażnik o kamiennej twarzy, który przynosi mi więcej chleba, sera i wody. Może chęć, żebym się przyznał z nudów.

Wreszcie wraca Driniusz. Na jego arystokratycznej twarzy dostrzegam dziwny wyraz zaniepokojenia. Wpatruje się we mnie przez kilka sekund, a potem mówi: – Przybył twój prawnik. – Świetnie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że reprezentuje cię wicekonsul Cyceriusz.

Ja też nie. Nie mogę uwierzyć, że Makri zdołała go tu przyprowadzić. Nic dziwnego, że Driniusz jest zaniepokojony. Kiedy ktoś dopiero rozpoczyna swoją polityczną karierę w Turai, nie chce, aby wicekonsul przyłapał go na złym traktowaniu więźnia.

Cyceriusz ma w sobie niewiele naturalnego ciepła, ale bardzo pilnuje przestrzegania prawa.

Prefekt wychodzi, a zamiast niego pojawia się Cyceriusz, ubrany w togę z zieloną lamówką, która jest oznaką jego pozycji. Dostrzegam, że ma zupełnie suche sandały, chociaż na zewnątrz pada deszcz. No, oczywiście – taka ważna persona musiała przyjechać tutaj wozem, do drzwi zaś towarzyszył jej służący z parasolem. Może nawet rozłożyli specjalny dywanik, żeby ochronić jego stopy przed błotem.

– Rozumiem, że potrzebujesz prawnika – mówi Cyceriusz sucho.

Wicekonsul jest najlepszym mówcą w mieście i jako obrońca wygrał wiele sensacyjnych spraw. Nie stara się przypodobać tłumom, wszyscy jednak szanują go za nieposzlakowaną uczciwość. Chociaż jest ostoją partii Tradycjonalistów i zdecydowanym poplecznikiem rodziny królewskiej, nie wahał się bronić w sądzie przeciwników króla, jeśli byli niewinni. Jednak chociaż wszyscy ufają Cyceriuszowi, nie jest on zbyt lubiany. Ma zbyt surowy charakter, i zbyt mało ciepła w sobie, aby maszy naprawdę go pokochały.

Nie jest też wystarczająco dobrze urodzony, aby całkowicie zaakceptowała go arystokracja. Na dodatek doskonale zdaje sobie sprawę ze swego talentu i nie ukrywa tego. Sam doszedł do wszystkiego, co ma, szanowany przez całe miasto. Zastanawiam się, czy martwi go ten brak sympatii. Być może.

Dziękuję mu za to, że przyszedł, dodając, że z przyjemnością pomogłem tak szanowanej osobie wydostać się z niedawnych kłopotów. W odpowiedzi informuje mnie ostrym tonem, że nie jest mi nic winien i nie dlatego się zjawił.

– Otrzymałeś wystarczającą zapłatę za swoją pracę. Nie oczekuj więc ode mnie żadnych przysług, Thraxasie, bo się zawiedziesz.

Już jestem zawiedziony.

– Dlaczego więc pan przyjechał?

Odpowiada, że odwdzięcza się Makri za przysługę. Mrugam oczami. Przysługa wyświadczona przez Makri?

– Mój urzędowy wóz ugrzązł w błocie na Trakcie Królewskim. Jacyś chuligani z partii Popularów skorzystali z okazji, aby rzucać we mnie błotem i kamieniami.

Znalazłem się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Na szczęście pojawiła się twoja przyjaciółka Makri. Poradziła sobie z moim dręczycielami w bardzo przekonujący sposób.

Takie polityczne chuligaństwo jest w Turai powszechne. Kiedy zbliżają się wybory, zamiast kamieni pojawiają się miecze.

– W rezultacie przychyliłem się do jej prośby, abym ci pomógł. Zgodziłem się tym chętniej, że ostatnio dużo o tobie myślałem. Sądzę, że mógłbyś mi się przydać.

Jednakże to może poczekać. Najpierw muszę cię wydostać z tej celi. Zapoznaj mnie z okolicznościami twego aresztowania.

Opowiadam mu wszystko, niczego nie pomijając.

– W takim razie nic na ciebie nie mają. Oskarżenie opiera się wyłącznie na poszlakach.

Natychmiast każę cię zwolnić.

Wychodzi z celi i bezzwłocznie załatwia moje zwolnienie. Zostaję pouczony, żebym nie wyjeżdżał z miasta. Opuszczamy posterunek Straży. – Dziękuję panu. Co dalej? – Teraz jesteśmy umówieni z Makri „Pod Mściwym Toporem”. Chodź.

Prowadzi mnie do swego urzędowego wozu, który wiezie nas powoli przez błotniste ulice Dwunastu Mórz. – To interesująca kobieta – zauważy nagle Cycleriusz. – Kto? – Makri. To jej jedyne imię? – O ile wiem, tak. – Zamierzałem przedstawić projekt ustawy zabraniającej wstępu do miasta wszystkim osobom posiadającym w żyłach krew Orków. Tylko sprawiają kłopoty i rzadko są lojalnymi obywatelami. Ale może trochę z tym zaczekam.

Z jakiegoś powodu zupełnie mnie to nie dziwi. Makri ma rzadki talent zjednywania sobie ludzi, po których najmniej można by się tego spodziewać. Kiedyś składałem to na karb jej kształtów, niema] wrywających się z obcisłego bikini, ale chyba chodzi o coś więcej.

Cycleriusz nie jest człowiekiem, któremu potrafi zawrócić w głowie kobieca figura, a tymczasem najwyraźniej już ją polubił.

Zatrzymujemy się przed tawerną „Pod Mściwym Toporem”. Ponurzy sklepikarze nadal starają się sprzedać swe tandetne towary, a dziwki wciąż uprawiają swój

proceder, kusząc przechodniów, którzy byli na tyle odważni, aby stawić czoło pogodzie. Zebracy nie mają dokąd pójść, nadal więc siedzą w błocie, na próżno wystawiając na widok publiczny swoją nędzę – bezdomni, bezdziejni, kalecy, wzbudziliby współczucie w sercu każdego, za wyjątkiem mieszkańców Dwunastu Mórz, którzy widują ich codziennie.

Jestem zły, bo Kerk wybiera ten właśnie moment, aby mnie zaczepić. Kerk to handlarz dwa i zbyt często korzysta z własnego towaru. Ma około trzydziestki, jest wychudzony, o wielkich oczach; zapewne w jego żyłach płynie parę kropli krwi Elfów, pozostałość po odległym w czasie spotkaniu elfijskiego gościa i dziwki z naszej dzielnicy.

Zapewne nawet Elfy od czasu do czasu chcą się zabawić, kiedy nie siedzą właśnie na drzewach śpiewając o gwiazdach i tęczy.

Cyceriusz patrzy z dezaprobatą, gdy przemoczony Kerk staje przede mną. Wyjaśniam mu, że teraz nie mogę rozmawiać, ale gdyby natknął się na jakieś dzieła sztuki Mursjusza, z chęcią go wysłucham. Na pożegnanie daję mu małą monetę, na którą spogląda z pogardą, a potem odchodzi przez błoto i deszcz.

W tawernie czeka na nas Makri. Wygląda na zadowoloną z siebie.

– Dzięki za prawnika. Czy opłaciłaś zakłady?

Kiwa głową. Ja robię szybki wypad do baru. Wicekonsul wicekonsulem, ale przez cały dzień nic porządnego nie miałem w ustach. Chleb i ser nie wystarczą, aby zaspokoić zdrowy apetyt mężczyzny moich rozmiarów. Poza tym nie piłem piwa od tak dawna, że nawet nie chce mi się o tym myśleć. Zamawiam szereg pozycji z kolacyjnego menu Tanrose, do tego ogromny kufel piwa zwany „radością mistrza cechu” i wszystko to staram się pochłonąć tak szybko, jak tylko można.

Cyceriusz, bardziej przyzwyczajony do pomieszczeń Senatu i sądu, w publicznej tawernie w Dwunastu Morzach czuje się nieswojo. Wszyscy na niego patrzą, zastanawiając się, co tutaj robi taka ważna persona. W końcu żąda, abyśmy natychmiast udali się do mojego biura. Kiwam głową, ale zatrzymuję się po drodze, aby zabrać następny kufel piwa. Nie można oczekiwać, żebym normalnie funkcjonował, kiedy odmawia mi się piwa. To po prostu niemożliwe.

Biała toga Cycleriusza świeci jak latarnia na tle mojego obskurnego biura. – Do rzeczy – mówi. – Potrzebuję usług człowieka, który poznał mniej przyjemne aspekty tego miasta. Kogoś, kto zna się na wyścigach rydwanów i wszystkich procedurach z nimi związanych. Jak sądzę, odpowiadasz temu opisowi. – Absolutnie. – Od czasu naszego ostatniego spotkania, Thraxasie, przyjrzałem się twojej karierze.

Odkryłem, że byłeś niezwykle kiepskim uczniem magów, rzadko miałeś stałą pracę, lecz dobrze spisałeś się w wojsku. Sam senator Mursjusz wyrażał się bardzo pochlebnie o twoich żołnierskich umiejętnościach.

– Na nieszczęście... – ciągnie, przeszywając mnie wzrokiem, którym przeraża przeciwników w sądzie – w innych sferach swego życia nie przykładałeś się jak należy.

Okres, który spędziłeś jako zwierzchnik detektywów w pałacu nieustannie przerywały epizody pijaństwa i niesubordynacji, czego dowody widziałem osobiście. I dokąd cię doprowadziło takie zachowanie? – Gestem obejmuje moje obskurne biuro. – Nie masz nawet służącego, który by dla ciebie posprzątał?

Nie stać mnie na służącego, ale nie przyznam się do tego przed Cycleriuszem.

Zachowuję milczenie.

– No cóż, to twoja sprawa. Jeśli decydujesz się marnować swój talent, zamiast wykorzystywać go dla dobra naszego narodu, nikt nie może cię powstrzymać. Myślę jednak, że mógłbyś mi się przydać i chciałbym cię zatrudnić.

Potem zwraca się do Makri:

– Sądzę, że ty również mogłabyś mi się przysłużyć. Podobno płynnie mówisz w języku Orków i dobrze posługujesz się narzeczem używanym na terenach pustyni?

Makri mruży oczy na wzmiankę o Orkach i kiwa głową. Wicekonsul zwraca się do mnie: – Wiesz o tym, że w wyścigu ku czci Turasa weźmie udział rydwan wystawiony przez Elfa Lisitha-ar-Moha, który zawsze był wielkim przyjacielem Turai? – Oczywiście. Czekam na ten wyścig z niecierpliwością. Podobnie jak całe miasto. – Być może zdziwi cię informacja, że pan RezazCaseg również chce wystawić rydwan w tym wyścigu.

Marszczę czoło. – Rezaz Caseg? Nigdy o nim nie słyszałem. – Być może jest ci lepiej znany jako Rezaz Rzeźnik.

Ze zdumienia aż się zakrztusiłem. Piwo pryska na wszystkie strony.

– Rezaz Rzeźnik? Ten pan Rezaz? Przecież on jest Orkiem, dodiaska! Kiedy ostatnim razem tu zawitał, mało brakowało, a wymazałby Turai z mapy. Co to za bajka, że chce wystawić rydwan?

Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś tak oburzającego. Ork wystawiający rydwan w wyścigu ku czci Turasa! I to nie jakiś tam Ork, ale sam Rezaz Rzeźnik! Jeden z najbardziej zacieklej, żądnych krwi wojowników, jacy kiedykolwiek równali z ziemią ludzkie domostwa. Na dodatek, na nasze nieszczęście, jeden z najlepszych generałów, jacy kiedykolwiek niszczyli ludzkie armie. Był najlepszym dowódcą w wielkiej armii króla Bhergaza Dzikiego, który poprowadził na nas połączone siły wszystkich Orków.

Wala pięścią w stół.

– Nie musi pan mówić nic więcej, panie wicekonsulu. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić, i zrobię to. Nie pozwolę temu Orkowi nawet zbliżyć się do miasta.

Może pan na mnie liczyć!

Cyceriusz znów przeszywa mnie stalowym wzrokiem.

– Nie tego od ciebie wymagam. Nie chcę, abyś uniemożliwił mu dotarcie do miasta.

Wręcz przeciwnie – zatrudniam cię, abyś zajmował się Orkami, kiedy już tu dotrą.

Przewiduję, że będą próby sabotowania ich rydwanu. Potrzebny mi ktoś, kto by go przed tym chronił i przypilnował, żeby wszystko odbyło się uczciwie.

Rzadko się zdarza, żeby zabrakło mi słów, ale wypowiedź Cyceriusza odbiera mi mowę. Nie jestem nawet w stanie poruszać ustami. Stoję tylko i patrzę, zastanawiając się, który z nas oszalał. Makri też kiepsko sobie radzi. Wyciągnęła już miecz i rozgląda się wokół podejrzliwie, jakby za chwilę mógł tu wtargnąć jakiś Ork.

– Widzę, że jesteście zaskoczeni – przerywa milczenie Cycleriusz.

Jest mi słabo. Sięgam po piwo i próbuję sformułować jakąś odpowiedź.

Jednocześnie wysilam umysł, szukając śladów magii, na wypadek gdyby mój rozmówca nie był Cycleriuszem, ale jego magicznym sobowtórem przysłanym, aby się nade mną znęcał.

Wreszcie zdobywam się na kilka słów:

– Nie mówi pan poważnie. To niemożliwe, żeby Rezaz Rzeźnik wystawiał rydwan w wyścigu ku czci Turasa. A jeśli wystawia, nie może pan ode mnie oczekiwać, że będę się bawił w niańkę dla Oika! Szczególnie dla tego Orka. To on poprowadził atak, kiedy ten mur się zawalił. Byłem tam. Jego żołnierze zabili prawie wszystkich, których znałem. – Czasy się zmieniają-stwierdza wicekonsul. – Wiem. Ale nie aż tak. No dobrze, teraz jest pokój, ale na jak długo?

Ambasadorowie Orków nie pokazują się publicznie z obawy przed wywołaniem rozruchów.

A ten możnowładca chce wkroczyć prosto na Stadion Superbiusza i wystawić rydwan?

Dlaczego? A co o tym myśli król? – Król zdecydowanie popiera ten pomysł. Widzisz, Thraxasie, realia rządzenia miastem wciągają nas w najdziwniejsze alianse. Tak się składa, że w chwili obecnej w żywotnym interesie Turai leży utrzymywanie dobrych stosunków z panem Rezazem Casegiem. Czy zdajesz sobie sprawę, iż poszukiwania różnych minerałów na północno-wschodnich krańcach naszego terytorium posunęły się tak daleko, że mamy zamiar otworzyć kilka nowych kopalni miedzi? – Nie. – Poszukiwania trwały od kilku lat, a obecnie mamy zbierać ich owoce.

Doceniasz na pewno, jak ważne jest to dla miasta. Turai, choć niewielkie, potrzebuje tych bogactw dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Wiesz oczywiście, że od kilku lat prowadzimy spory graniczne z Nioj?

Nioj, nasz północny sąsiad, zawsze znajduje jakiś powód, aby rozpocząć spór o granice. Mamy już kopalnie złota na granicy z dwoma sąsiednimi państwami, które

bardzo chętnie położyłyby na nich łapę. Tuż przed wojną z Orkami Nioj napadło na Turai.

Tylko przybycie Orków położyło kres tej wojnie, bowiem my, ludzie, zmuszeni byliśmy zapomnieć o tym, co nas dzieli i zjednoczyć się, aby stawić czoło wspólnemu wrogowi.

– No cóż, po raz kolejny nasze prawa do tego terytorium zostały zakwestionowane.

Chociaż złoża miedzi znajdują się na terenach, które historycznie należą do Turai, Nioj wdziera się tam i być może niedługo uznaje za swoje.

Cyceriusz wyciąga spod togi mapę, rozpościera ją na stole i wskazuje na górzysty teren, gdzie północno-wschodnie krańce naszego terytorium stykają się z o wiele większym państwem Nioj.

– Następną krainą wzdłuż granicy to Carsan, zaludniony głównie przez koczownicze plemiona, ze słabą władzą państwową. Carsan znajduje się pod silnymi wpływami swego wschodniego sąsiada, Soraz, położonego na pustyni, która oddziela nas od Orków – a faktycznym władcą Soraz jest pan Rezaz Caseg. Powiem najprościej jak można: potrzebujemy wsparcia z Carsan, aby zatrzymać te kopalnie miedzi. A nie otrzymamy go, o ile nie pozwoli na to Soraz.

– Musimy więc być mili dla pana Rezaza Casega? Spoglądam na mapę. Soraz wydaje się bardzo odległe.

– Czy naprawdę potrzebujemy ich pomocy? A co z Ligą Miast-Państw?

Mniej więcej sto lat temu wszystkie niewielkie miasta-państwa tego regionu zjednoczyły się dla ochrony przed zaborcami takimi jak Nioj.

– Nie możemy już liczyć na wsparcie z jej strony. Wiedziałem o tym jeszcze zanim zapytałem. Od dziesięciu lat Liga rozpadała się, co należało przypisać pazerności jej członków, nie wyłączając samego Turai. – Teraz rozumiesz, dlaczego chcemy pójść na rękę temu Orkowi? – O tyle, o ile. Ale nie podoba mi się to. – Twoje uczucia nie obchodzą króla arii konsula. – Wiem o tym. Ale co to ma wspólnego z wyścigami rydwanów? – Najwyraźniej pan Rezaz Caseg jest

zapalonym hazardzistą. Ponadto dał nam do zrozumienia, kanałami dyplomatycznymi, że nie zapomniał Elfa Lisitha-ar-Moha.

Walczyli ze sobą pod murami Turai, ale rozdzieliła ich masa ciał, zanim któryś zdążył zadać śmiertelny cios. Ork powiadomił nas, że szanując pana Lisitha-ar-Moha jako żołnierza, z przyjemnością zmierzy się z nim również na stadionie.

Król sądzi, że Rezaz może mieć i inne powody. W Soraz naciska na niego rywal, księżę Kalazar, wspierany przez Makezę Gromowładcę, potężnego maga. Wspólnie udało im się uzyskać pewne poparcie. Wierzymy, że pan Rezaz pragnie zwiększyć swój prestiż, pokonując rydwan Elfów. Ponadto, kiedy rywal tak potężny jak księżę Kalazar czeka za kulisami, Rezaz nie może pozwolić na żadne naruszenie równowagi w tym regionie.

Jeśli to porozumienie umocni pokój, wszyscy na tym skorzystają.

Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek skorzystamy na współpracy z Orkami, ale Cyceriusza nie interesuje moja opinia. – Przybycie rydwanu Orków i ich zespołu wywoła pewne zaniepokojenie w mieście – ciągnie wicekonsul. – Możliwe, że podniosą się głosy sprzeciwu. – Głosy sprzeciwu? Wybuchną zamieszki. – Zamieszkami zajmie się rząd. Ty ochronisz rydwan przed sabotażem. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziesz miał szansę wykorzystania swych detektywistycznych talentów dla uratowania sytuacji. Król liczy na ciebie.

Cyceriusz zwraca się do Makri.

– Rozumiesz, dlaczego potrzebuję również twojej pomocy. Bardzo niewielu obywateli Turai zna język Orków tak dobrze jak ty. W połączeniu z twymi bojowymi umiejętnościami czyni to z ciebie idealną kandydatkę do pomocy Thraxasowi w tym potencjalnie trudnym zadaniu.

Makri, która stała przez cały ten czas bez słowa, teraz lekko unosi miecz (okropne naruszenie etykiety w obecności wicekonsula), a potem pluje na moją podłogę.

– Nie zgodzę się ochraniać Orka, choćbym miała zabić ciebie, króla i wszystkie jego dzieci.

Nie dałoby się chyba tego jaśniej wyrazić. Cycleriusz wydaje się zaskoczony. – Odczuwasz szczególną awersję do Orków? – Owszem – wybucha Makri. – Urodziłam się w orkijskim więzieniu dla niewolników. Żyłam jako niewolnik, dopóki rok temu nie zabiłam swego pana i większości jego domowników. A jeśli ty przyjmiesz tę robotę, Thraxasie, to ja się wynoszę. – Nie przyjmę – stwierdzam stanowczo. – Już teraz ludzie mówią, że obecność ambasadorów Orków w Turai przyniesie miastu pecha. Jeśli pojawi się tu więcej Orków, to za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie tak – od zbitego kieliszka po śmierć dziecka – ich będą za to winić. Popularzy senatora Lodiusza nie będą musieli zachęcać ludności do zamieszek.

W mgnieniu oka wszyscy wylegną na ulicę z własnej inicjatywy. Każdy, kto będzie się starał pomóc Orkom, wkrótce się zorientuje, że jego życie nie jest warte funta kłaków.

Stanie się najbardziej znienawidzonym człowiekiem w mieście. Chronić Orków? Co to, to nie.

Cycleriusz nachyla się ku mnie. – Tak, Thraxasie, ty będziesz to robił. W przeciwnym razie stracisz licencję detektywa. – To niesprawiedliwe! – Niesprawiedliwe? Wątpię, czy król się przejmie jakąś drobną niesprawiedliwością, kiedy jego życzenia są ignorowane. Ja sam nie poprę łamania prawa – ale zastanów się.

Niedawno skazano cię za napad na królewskiego urzędnika. Obecnie jesteś na wolności za kaucją, podejrzany o zamordowanie senatora Mursjusza. Zabranie ci licencji byłoby właściwe i wskazane. Niemniej jednak pozwolę ci ją zatrzymać pod warunkiem, że zrobisz to, o co proszę. Zostaniesz też sowicie wynagrodzony. – Nie martwi pana, że Orkowie to podstępne, nieuczciwe, mordercze zwierzęta, które najchętniej starłyby nas z powierzchni ziemi? – wściekam się. – Nie w tej chwili – odpowiada wicekonsul. – Potrzebujemy tej miedzi.

Pytam go, kiedy przybywają Orkowie.

– Rydwan przyłączył się do statku za jakiś tydzień. Pan Rezas już jest w mieście, podobnie jak woźnica rydwanu. Przywieźliśmy ich dyskretnie kilka dni temu. Nie wspominaj o tym nikomu.

Nie ma obawy. Na myśl o tym, że Rezas Rzeźnik jest w tej chwili w Turai, aż trzęsę się z gniewu. Cycecius zwraca się do Makri, – Jak się ma profesor Toariusz? – Co? – Makri jest zaskoczona. – Twój profesor w Kolegium Gildii. Rozumiem, że cię nie lubi. – Skąd pan to wie? – Wspomniał o tym, kiedy w zeszłym tygodniu jadł u mnie obiad.

Makri kręci się, trochę speszona; nie podoba jej się obrót, jaki przybiera ta rozmowa. – Toariusz nie jest zadowolony z tego, że jakaś kobieta uczęszcza do szkoły i wolałby, żebyś ją opuściła. Może cię oblać w każdej chwili i ma taki zamiar. – Ale ja jestem dobrą uczennicą!

– Nie wątpię. Niestety, to profesor podejmuje ostateczną decyzję. Bądź co bądź, swoim statusem akademickim przewyższa wszystkich nauczycieli w Kolegium Gildii.

Przeniesienie go do niej z Uniwersytetu Imperialnego było przysługą, jaką wyświadczył klasom niższym sam konsul. Kiedy on cię obleje, nie przejdiesz na następny rok.

A jeśli to się wydarzy, nigdy nie zdobędziesz kwalifikacji koniecznych, aby wstąpić na uniwersytet.

Makri postępuje jeden krok ku Cyceciusowi i mówi mu prosto w oczy, że nie lubi, kiedy się ją do czekolwiek zmusza za pomocą szantażu. Cycecius lekko wzrusza ramionami, dając do zrozumienia, że nie obchodzi go, czy jej się to podoba, czy nie. – Sugeruje pan, że pomoże mi się dostać na uniwersytet, jeśli to zrobię? – Nie. Uniwersytet Imperialny nie przyjmuje kobiet ani osób, w których żyłach płynie krew Olków. Tego więc nie mogę ci obiecać. Mogę jednak przekonać profesora Toariusza, aby cię nie oblewał, pod warunkiem, że twoje wyniki są na odpowiednim poziomie. Z różnych źródeł wiem, że tak jest.

Cycecius wstaje i zbiera się do wyjścia.

– Oczywiście, kiedy przyjdzie pora, być może dam się przekonać do wykorzystania swoich wpływów na uniwersytecie. Do tego czasu może będę już konsulem, a jestem dobrym przyjacielem profesora, który zajmuje się przyjmowaniem studentów. Kto wie, jak by się zachował, gdyby konsul obiecał mu dodatkowe fundusze. Żegnam. W ciągu następnych kilku dni przyślę tu mojego asystenta ze szczegółowym wyjaśnieniem, czego od was wymagam.

Po wygłoszeniu tej kwestii wychodzi z pokoju.

Makri wrzeszczy ze złości i ciska mieczem w moją kozetkę. – Odmawiam ochraniaania Orków! – krzyczy. – Ja tak samo – zgadzam się.

Zapalamy thazis, aby się uspokoić. Gramolę się pod biurko po swój zapas klee, miejscowego alkoholu. Są chwile, kiedy piwo nie wystarcza. Klee pali mi gardło.

Makri krzywi się, potem podstawia szklanę, żebym jej dolał. Siedzimy w milczeniu, przetrawiając wydarzenia tego dnia. Deszcz bije w drzwi i okna. Na zewnątrz robi się coraz ciemniej. Po chwili Makri przerywa milczenie: – Co zrobisz, kiedy zabiorą ci licencję? – Nie wiem. Co zrobisz, kiedy cię obleją? – Nie wiem.

Siedzimy jeszcze przez chwilę w milczeniu i palimy kolejne pałeczki thazis. – To niesprawiedliwe – mówi wreszcie Makri. – Nie chcę ochraniać Orka. – Ja też – wzdycham. – Ale wygląda na to, że nie zdołamy się wykręcić. Może nie będziemy musieli niczego robić. Jeśli Orkowie nie napotkają żadnych kłopotów, Cycleriusz obejdzie się bez naszych usług. – Czy to prawdopodobne? – Niezbyt – przyznaję. – Jak tylko przybędzie rydwan, całe miasto zerwie się na nogi.

Rezaz Rzeźnik zostanie porąbany na kawałki, a my będziemy musieli zająć się tą sprawą. Żadne z nas nie chce się w to mieszać, ale Cycleriusz nie pozostawił nam wyboru.

Nalewam jeszcze Mee. Makri wypija je i wstrząsa się, – Dlaczego kupujesz tę wodę ognistą? – Klee najwyższej jakości. Dobre i zdrowe. Wiesz, dawno już nauczyłem się, że trzeba być przygotowanym na najdziwniejsze wydarzenia. Ale nigdy się nie spodziewałem, że skończę jako niańka dla Orka podczas wyścigu ku czci Turasa. Jestem zmęczony.

Lepiej się prześpię, zanim zdarzy się jeszcze coś dziwnego.

Rozlega się lekkie pukanie do zewnętrznych drzwi. Za chwilę otwierają się i do środka wkracza wiotka, ciemno ubrana postać. To Hanama. Desperacko szukam miecza.

Hanama to trzecia co do znaczenia osoba w Cechu Zabójców. Kiedy jaostatnim razem widziałem, rzucała strzałką w opata zakonu mnichów-wojowników, wysyłając go do raję nieco wcześniej, niż się spodziewał. Przygotowuję się do obrony.

– Spokojnie, detektywie – uspokaja mnie swoim miękkim głosem. – Gdybym przyszła cię zabić, nie pukałabym.

Mierzeją gniewnym spojrzeniem, nie wypuszczając z dłoni miecza. – Czego chcesz? – Przyszłam odwiedzić Makri. – Zwykła wizyta towarzyska? – Dokładnie.

Hanama zerka na Makii Ta, choć trochę zaskoczona, wstaje i obie kobiety wychodzą do jej pokoju. Dziwne. Wydawało mi się, że zabójcy nie prowadzą zbyt bogatego życia towarzyskiego.

Ktoś gwałtownie otwiera drzwi. Obracam się szybko, aby stawić czoło intruzowi.

To Sarija, żona świętej pamięci senatora Mursjusza. Kobieta potyka się i upada.

Jest przemoczona do nitki, twarz ma ściągniętą i pożółkłą. I śmierdzi dwa, którego zapach łatwo można rozpoznać nawet wśród bezliku nieprzyjemnych woni docierających z ulicy poniżej. – Zatrudniam cię, abyś odkrył, kto zabił mojego męża – oznajmia, a potem traci przytomność w moich ramionach. Kładę ją na kozetce, podchodzę do drzwi, zamykam je, mamrocę zaklęcie, a potem jeszcze barykaduje je krzesłem. – Nie obchodzi mnie, kto jeszcze przyjdzie – mruczę. – Dziś już nikt tu nie wejdzie.

Dostrzegam, że pod drzwi ktoś wepchnął kopertę. Kiedy to się stało? Rozrywam ją i odczytuję wiadomość. „Będziesz martwy zanim skończy się pora deszczowa”, czytuję.

– Owszem, jeśli tak dalej pójdzie – mamrocę i wyrzucam list do kosza.

Wicekonsul zmusza mnie szantażem do pomocy znieawidzonemu wrogowi.

Niebezpieczna zabójczyni wpadła do Makri w odwiedzinie. Uzależniona od dwaj żona senatora Mursjusza właśnie zemdlajła w moim biurze, prosząc mnie najpierw, abym odkrył, kto zamordował jej męża, chociaż to ja jestem głównym podejrzanym. A teraz znów ktoś grozi mi śmiercią. Biegnę na dół po piwo.

W barze tłoczą się spragnieni pracownicy portowi, którzy odpoczywają po dniu pracy.

Przepycham się obok jakichś najemników śpiewających hałaśliwą pijacką pieśń i docieram do baru.

Gurd i ja znamy się od długiego czasu. Gdy tylko barbarzyńca mnie zobaczył, już wie, że jestem wzburzony. – Wyglądasz żałośnie jak dziwka z Nioj. Gwardziści nadal polują na ciebie z powodu senatora Mursjusza? – Znacznie gożej – odpowiadam i pochylam się, aby wyszeptać mu coś do ucha.

Otwiera szeroko oczy, kiedy opowiadam o Cyceriuszu, i rzuca barbarzyńskie przekleństwo. – Lepiej przygotuj się na przeprowadzkę do innego miasta. Czy są jakieś, w których nie jesteś poszukiwany przez prawo? – Kilka. Ale żadne mi się nie podoba. Ten wicekonsul jest zimny jak serce Orka. Jak on śmie tak mnie szantażować?

Tanrose miesza zupę w kotle. Pytam ją, czy może pójść na górę i zerknąć na Sariję.

Tanrose jest nie tylko doskonałą kucharką, zna się również na ziołowych lekach i dobrze sobie radzi z drobnymi dolegliwościami dnia codziennego. Odkąd dwa zalało miasto, nauczyła się również radzić sobie z przedawkowaniem.

W korytarzu spotykamy Makri i Hanamę. Hanama jest drobna, blada, i wygląda tak dziecinnie, że trudno jest pogodzić ten wygląd z jej reputacją. Jednak wszystkie te historie są prawdziwe. Ludzie nadal opowiadają sobie szeptem o pewnej drobnej, anonimowej osóbcie, która wyniknęła się setce simnijskich żołnierzy i przeczolągawszy się po krokwiach prywatnej sali bankietowej konsula wystrzeliła strzałkę w serce simnijskiego ambasadora dokładnie w chwili, kiedy rozpiął swój magiczny płaszcz, aby się podrapać. Ambasador starał się ochronić na wiele

sposobów. Nadal pracowałem wtedy w pałacu i przysięgłbym, że nie dałoby się go tknąć. Wiele osób – szczególnie Simnianie – zadawało dociekliwe pytania, ale nikogo nigdy nie skazano za to morderstwo. Król przysięgł Simnianom, że odnajdzie zabójcę, ale ponieważ to jego agenci dyskretnie zatrudnili Hanamę do wykonania tej roboty, śledztwo nie posunęło się zbyt daleko.

Hanama jest męcząco dobra w zabijaniu ludzi. Nie mam dla niej ani krzty sympatii.

Po prostu nie lubię zabójców i już. Zimni mordercy, zadający śmierć za pieniądze. Od jakiegoś czasu podejrzewałem, że Makri może być bliżej związana z Hanamą niż się do tego przyznaje, a ta wizyta zdaje się to potwierdzać. Zapewne ma to coś wspólnego z Ligą Kobiet Wyzwolonych, którą Hanama, jak sądzę, popiera w tajemnicy. Tacy właśnie są zabójcy – zupełnie nieprzewidywalni. Nie można odczytać ich uczuć i motywacji. Nauczono ich, aby ich nie ujawniali.

Makri żegna się z Hanamą i idzie za mną z powrotem do biura, gdzie Tanrose obraca Sariję na bok, aby nie udusiła się własnymi wymiocinami. Marszczę czoło.

Niewiele mnie obchodzi, czy ona się zadusi, czy też nie, ale wolałbym, żeby nie wymiotowała w moim biurze. I bez tego jest tu bałagan.

Moja ostatnia klientka, bogata kobieta o imieniu Soolanis, była beznadziejną pijaczką.

Teraz mam żonę senatora, która jest uzależniona od dwa. Co się dzieje z tymi kobietami z arystokracji? Wszystkie majątkne wille w Thamlinie i mnóstwo pieniędzy do wyrzucania w błoto. Wydawałoby się, że to im powinno wystarczyć.

Tanrose sądzi, że rano Sarija poczuje się lepiej, narzucam więc na nią koc i zostawiam na kozetce. Potem mówię Makri i Tanrose dobranoc, idę do sypialni, zamykam drzwi na klucz, dokładam zakłęcie i kładę się spać. Miałem dosyć wrażeń, jak na jeden dzień. Niestety śpię kiepsko. Męczą mnie koszmary, w których wielkie armie Orków pod wodzą Rezaza Rzeźnika brną przez Pustynię, aby złupić Turai.

Budzę się zlany potem w rozgrzanym przez upał pokoju. W głowie ciągle dźwięczą mi wrzaski towarzyszy broni padających pod mieczami Orków i na

skutek ich czarów. Byłem wtedy zwykłym żołnierzem. Obok mnie stał Gurd, który zaciągnął się jako najemnik. Wraz z Mursjuszem i garstką innych żołnierzy broniliśmy się zawzięcie, ale zaledwie sekundy dzieliły nas od śmierci. Do obrony wschodniego muru, zanim został on zburzony przez katapulty najeźdźców i ogniste oddechy ich smoków zebrano z różnych regimentów grupę obszarpańców, którym dotąd udało się przeżyć. Był z nami również Kemlath Zabójca Orków.

Choć młody, zdobył już wielką sławę ze względu na potęgę swych wojennych czarów, dzięki którym niejednen batalion Orków poszedł w rozsypkę i został zdziesiątkowany. Ale wtedy arsenał jego zaklęć już się wyczerpał, stał więc obok nas mając do obrony jedynie miecz, Nie brakowało mu odwagi i całkiem nieźle walczył jak na maga.

Pamiętam, jak kapitan Rallee, wówczas jeszcze młody szeregowiec ze złotymi włosami splecionymi w warkocz, podniósł kamień, ostatnią broń, jaką mógł się posłużyć.

Jego włócznia została bowiem złamana, a miecz strzaskany podczas ostatniego ataku. Kiedy Orkowie szykowali się do natarcia, nagle rozległ się odgłos trąb Elfów, który przedarł się przez okropny hałas bitwy. Kiedy już porzuciliśmy wszelką nadzieję na ich przybycie, uratowały nas połączone siły Elfów z Wysp Południowych pod wodzą Lisitha-ar- Moha. Nocą prześliznęły się przez morską blokadę Orków i wylądowały tuż pod bramami miasta.

Kiedy Elfy natarły na tyły ich armii, Orkowie rzucili się do ucieczki. Elfy ścigały i zabiły wielu, większość obrońców miasta była jednak zbyt poraniona lub znużona, aby przyłączyć się do pościgu. Pamiętam tylko, że uratowałem z płonącej tawerny skrzynkę klee i tak się upiłem, że Gurd musiał mnie podtrzymywać, żebym się nie przewrócił, kiedy konsul przyszedł nam podziękować za wspaniały wysiłek.

A teraz Rezaz Rzeźnik i Lisith-ar-Moh wystawiają konkurujące ze sobą rydwany.

Dziwne czasy.

Nie mogę zasnąć. Kto zabił Mursjusza? I dlaczego? Z powodu tych skradzionych dzieł sztuki? Nie wydaje mi się to wystarczającą przyczyną. Co on w ogóle robił w tym magazynie? Być może udało mu się samodzielnie odszukać skradzione rzeczy i został zabity przez złodzieja, który nie chciał, aby go rozpoznano – ale to mnie nie przekonuje. A co się potem stało z jego rzeczami? Wiem, że usunięto je z magazynu za pomocą czarów, ale to nie ma sensu. Każdy mag, wystarczająco potężny, aby czegoś takiego dokonać, nie potrzebowałby zajmować się kradzieżą rzeźb i obrazów. Miałyby własną kolekcję.

Wśród mistrzów magii nie ma zbyt wielu rzezimieszków – na szczęście. Gildia Magów bardzo pilnuje swoich członków. Oczywiście jest jeszcze Gliksjusz Zabójca Smoków.

Ten działa poza prawem, kiedy jest mu wygodnie, chociaż na razie jeszcze nie oskarżono go o żadne przestępstwo. Podejrzewam, że to on groził mi śmiercią. To właśnie taka drobna złośliwość, która sprawiłaby mu przyjemność. Być może jest to zasłona dymna, która ma odciągnąć moją uwagę od jego podejrzanych machinacji. Traci czas. Nie mam zielonego pojęcia, jakimi machlojkami teraz się zajmuje.

Z zewnątrz dobiegają odgłosy deszczu. Za kilka dni ulice zaczną przypominać kanały i żaden pojazd kołowy nie będzie w stanie przez nie przebrnąć. Wstaję, zapalam lampę i podchodzę do drzwi. Sarija nadal śpi na kozetce. Obok stoi zamaskowany mężczyzna z mieczem i najwyraźniej zamierza podciąć jej gardło. Czegoś takiego się nie spodziewałem.

Rzucam w niego lampą. Unosi rękę, aby się osłonić, i lampa spada na podłogę.

Teraz w pokoju jest ciemno, a ja muszę stawić czoło uzbrojonemu przeciwnikowi. Zanim moje oczy zdążyły przywyknąć do mroku słyszę, że rzuca się na mnie, odskakuję więc w bok, wpadam na coś i ciężko przewracam się na podłogę.

W jednej chwili zrywam się na nogi i dostrzegam, że napastnik próbuje zająć mnie z boku. Pozwalam mu myśleć, że go nie zauważyłem. Chce mnie dźgnąć

mieczem, ale jestem na to przygotowany, usuwam się więc i łapię go za nadgarstek. Chrząka zaskoczony, a ja ciągnę go ku sobie.

– Jesteś lepszy, niż na to wyglądasz, grubasie – warczy nieznajomy, kopiąc mnie w łydkę. Boli, ale nie puszczam, przyciągam drania do siebie i walę go w twarz.

Wrzeszczy z bólu, bo strzaskałem mu nos. To mi się podoba.

Macha mieczem jak wariat, ale trudno mu się skupić. Ja zachowuję spokój i czekam na okazję. Znowu rzuca się na mnie. Przeskakuję zgrabnie nad ciałem nadal nieprzytomnej Sariji, a on potyka się o nią. Wtedy chwytam sztylet leżący na biurku i ciskam nim w napastnika. Sztylet zagłębia się w jego pierś i mężczyzna osuwa się martwy na ziemię.

Patrzę na martwe ciało. Nie był dobrym wojownikiem. Nie powinien był porywać się na mnie. Mam duże doświadczenie.

Makri, zaalarmowana hałasem, wpada naga do pokoju z mieczem w dłoni. – Kto to? – Nie mam pojęcia.

Zapalam lampę, żeby lepiej widzieć. Nadal nie wiem, kto mnie zaatakował. Jakiś anonimowy bandyta, którego nigdy przedtem nie widziałem. – Co się stało? – Przyłapałem go, kiedy próbował zabić Sariję.

Sarija jeszcze się nie obudziła. Dwa to potężny narkotyk. Może pomógłby mi usnąć.

Wyciągam trupa z pokoju i niosę go przez ulicę, a potem porzucam w alejce. Nie chcę informować o tej sprawie Straży Obywatelskiej, bo uznają to jedynie za okazję, żeby mi jeszcze bardziej utrudnić życie. Deszcz natychmiast zmywa ślady moich stóp – chociaż strażnicy i tak nie mają zwyczaju marnować zbyt wiele czasu na szukanie dowodów.

Gdy twoje martwe ciało zostaje znalezione w jakiejś alejce w Dwunastu Morzach, zazwyczaj jest to uznawane za normalną kolej rzeczy. Kiedy wracam, Makri ma już na sobie tunikę. – Nie mogłaś tego zrobić, zanim weszłaś tu po raz pierwszy? – Po co? – Tak się robi w cywilizowanych krajach. Tutaj młode kobiety nie wpadają do pokoi mężczyzn na golasa. – Nie mówiłbyś tak, gdyby było ich czterech i potrzebowalbyś mojej pomocy. – Pewnie nie. Czy nie zakładasz nic do

spania? – Nie. A ty? – Oczywiście. Spanie nago jest dla barbarzyńców. Podobnie jak jedzenie palcami. – A jak jesteś w łóżku z kimś? – To nie powód, żeby nie używać sztuców.

Makri mówi, że skoro już wstała, wykorzysta te kilka godzin przed świtem na naukę filozofii. Wysłuchała publicznego wykładu Samanatusza i od tego czasu rozmyśla nad wiecznymi ideami. – Czy według ciebie rzeczywiście gdzieś tam we wszechświecie istnieje jeden wielki, idealny topór, którego mój topór jest tylko bladym odbiciem? – Nie. – Samanatusz twierdzi, że to prawda. A on jest najmądrzejszym człowiekiem na zachodzie. – Kto tak twierdzi? – Wszyscy.

Chcę zażartować, ale gryzę się w język. Makri bardzo się zaangażowała w naukę filozofii i złości ją, gdy się z niej nabijam. Skoro wpadła do pokoju, aby mnie ocalić, sądzę, że powinienem być dla niej uprzejmy przez jakiś czas. Pyta mnie, czy zamierzam przyjąć zlecenie od Sariji. Odpowiadam, że owszem, jeśli Sarija kiedykolwiek się obudzi. – Potrzebuję pieniędzy. Poza tym chcę się dowiedzieć, kto zabił senatora Mursjusza.

Był moim dowódcą. Jestem mu coś winien. Czego chciała Hanama? – Rady w sprawie hazardu. – W sprawie hazardu? Hanama? Po co? – To sprawa prywatna – odpowiada Makri. – Dlaczego pytała o to ciebie? – Czemu nie? W końcu jestem kobietą, która właśnie wygrała osiem guranów stawiając na Pogromcę Orków.

Rydwan wygrał bez problemu, a Makri i ja zyskaliśmy dzięki temu po osiem guranów każde.

– Mam więc osiemnaście guranów – mówi Makri. – Na co powinnam teraz postawić?

Widzę, że Makri nie powie mi nic więcej o Mistrzynie Zabójców Hanamie, daję jej więc na razie spokój. Makri bierze spis rydwanów występujących w dniu następnym i rozkłada go na biurku. – Nagle bardzo się zainteresowałaś wyścigami. – Nie mam wyboru. Jeśli wkrótce nie zbiorę sześćdziesięciu guranów, narobię sobie wstydu w Lidze Kobiet Wyzwolonych. To wszystko twoja wina.

Obiecuję zastanowić się nad jutrzejszymi wyścigami.

Sarija budzi się o świcie. Jak na kobietę, którą stać na najlepsze jedzenie, kosmetyki i usługi fryzjerskie, jakie może zaoferować Turai, jest całkiem zaniedbana.

Próbuję ją namówić na śniadanie, ale nie ma apetytu i z trudnością zjada kromkę chleba. Jajem za dwoje i wypytuję o szczegóły sprawy.

– Znajdę zabójcę. Muszę. Jestem głównym podejrzanym. Sarija pyta, czy go rzeczywiście zabiłem. Zapewniam ją, że nie. Chyba mi wierzy.

– Kogo podejrzewasz?

Przyznaję, że nie mam jeszcze podejrzanego. Być może oprócz samej Sariji. – Dlaczego ja? – Najwyraźniej wam się nie układało. On nie chciał ci dawać pieniędzy, żebyś nie wydawała ich na dwa. W rezultacie ty sprzedajesz kilka dzieł sztuki, a on zatrudnia detektywa, żeby je odzyskał. To mi nie wygląda na szczęśliwe ognisko domowe.

Sarija przyznaje mi rację, zauważa jednak, że nie miała powodu zabijać Mursjusza.

To niezupełnie prawda, wyjaśniam. Gdyby Mursjusza już nie było i przestałby się wtrącać, wszystkie pieniądze rodziny znalazłyby się pod kontrolą jego żony, co dałoby jej nieograniczony dostęp do dwa. Narkotyki nieraz stały się już motywem zbrodni w Turai.

Pytam ją, gdzie była, kiedy zabito Marsjusza. – W Ferias. Służący mogą to potwierdzić. – Służący zazwyczaj potwierdzają wszystko. Czy widział cię jeszcze ktoś, nie związany z waszym domem?

Potrząsa głową. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że w ogóle można by ją podejrzewać. – Z pewnością każdy czarownik mógłby oczyścić mnie z zarzutów? – Być może. Potężny mag, na przykład stary Hasjusz Wspaniały z Domu Sprawiedliwości, potrafi czasem spojrzeć w przeszłość i zobaczyć, co się wydarzyło. Ale to nie jest proste. Wszystko zależy od tego, czy księżycy były odpowiednio ustawione zarówno w momencie popełnienia przestępstwa, jak i w chwili przeprowadzania badań. W większości wypadków nie można na to liczyć.

Dlatego właśnie nadal potrzebni są ludzie tacy jak ja, którzy chcą dociec prawdy. Czy wiesz, dlaczego wczoraj przyszła do mnie Carilis?

Na dźwięk tego imienia Sarija krzywi się. – Nie mam pojęcia. – Nie lubisz jej? – Została przysłana przez mojego męża, aby pilnować, żebym nie mogła zdobyć dwa. Oczywiście, że jej nie lubię. Myślę też, że miała ochotę zająć moje miejsce.

– Twoje miejsce? Jako żona Mursjusza? Sarija kiwa głową.

– Dlatego właśnie nadal byłam w stanie kupować dwa. Carilis miała temu zapobiegać, ale ona zawsze patrzyła przez palce, mając nadzieję, że umrę z przedawkowania, aby mogła wkroczyć do akcji. Doszła do wniosku, że nadszedł już czas na małżeństwo z kimś zamożnym. Pochodzi z dobrej rodziny, ale jej ojciec stracił wszystko w jakimś skandalu związanym z handlem ziemią. Jest kuzynką Mursjusza, dlatego on ją przygarnął.

Teraz rozumiem. Zastanawiałem się, dlaczego taka arystokratka jak Carilis pracuje jako pielęgniarka. – Myślałaś kiedyś o tym, żeby rzucić dwa? – Każdego dnia. To nie jest takie łatwe. Rozmawiam z nią jeszcze przez chwilę.

Teraz, kiedy jej umysł się rozjaśnił, nie jest wcale taka nieprzyjemna. W zasadzie zaczynam ją nawet lubić, szczególnie kiedy opowiada mi o kłopotach, jakie miała z kuzynami Mursjusza po ślubie. Nie podobało im się, że Sarija pochodzi z niższego stanu niż senator. – Moja matka była tancerką w Simni, a ja podtrzymywałam rodzinną tradycję.

Pracowałam w tawernie „Syrena”. Wtedy było to paskudne miejsce. – I tak jest nadal. Najbardziej niebezpieczny lokal w dzielnicy Dwunastu Morzach.

Rozumiem, dlaczego krewni Mursjusza cię nie lubili. Jak się poznaliście? – Podczas wojny z Orkami. Wiesz, jak rozluźniły się bariery klasowe, kiedy Orkowie podeszli pod bramy miasta. Po służbie Mursjusz miał zwyczaj przychodzić do tej tawerny ze swoimi żołnierzami. Zakochaliśmy się w sobie. Po zakończeniu wojny wrócił do Dwunastu Mór, zabrał mnie swoim powozem i ożenił się ze mną. Nie oczekiwałam tego.

Przez jakiś czas było dobrze... – Rozkłada ręce. – Ale jego rodzina nigdy mnie nie zaakceptowała.

Wyrażam współczucie. Krewni mojej żony traktowali mnie podobnie. Pozycję klasową Turajczyka można poznać po jego imienia Imiona kobiet z wyższych sfer zazwyczaj kończą się na „is” – na przykład Carilis. Nikt nie wzięłby Sariji za arystokratkę, nawet gdyby się odpowiednio zachowywała.

– Masz piwo? Daję jej butelkę. Pije z przyjemnością.

– Wiesz, że w wyższych sferach pija się tylko wino? Od lat nie miałam w ustach piwa.

Nie wspominam jej o mężczyźnie, który chciał podciąć jej gardło. Może był to po prostu włamywacz o morderczych skłonnościach. Chociaż wątpię.

Sarija szybko wypija piwo i prosi o drugie. Zaczynam ją lubić. Każdy przyjaciel piwa jest także moim przyjacielem. Mam nadzieję, że nie zabiła Mursjusza. Rozmawiamy o nim jeszcze przez jakiś czas. Nagle kobieta zaczyna płakać. Nie histeryzuje, po prostu cichutko, rozpaczliwie łka.

Nienawidzę, kiedy moi klienci płaczą, szczególnie kobiety. Nigdy nie wiem, co robić.

Próbuję poklepać japo ręce. Niewiele to pomaga.

– Znajdę zabójcę – obiecuję jej.

Chyba trochę ją pocieszyłem, ale nie przestaje płakać.

Przybywa oficjalny posłaniec z Senatu. Rozwijam zwój i przeglądam go podejrzliwie. „Przybądź natychmiast na Stadion Superbuisza”, czytamy. Podpisano: Cycleriusz.

Podejrzewam, że stało się coś złego, ale cieszę się z wymówki, żeby uciec przed łzami Sariji.

Stadion Superbuisza leży za wschodnią bramą miasta. Jest ogromny – to największa arena we wszystkich miastach-państwach należących do Ligi, wyposażona w najdłuższy tor wyścigów rydwanów w tej części świata. Samsaryna ma oczywiście dłuższy, ale leży daleko na zachód i jest o wiele większa od Turai.

Idę przez Ogrody Rozkoszy w kierunku wschodniej bramy. Zazwyczaj cieszyłbym się z tego, ale ogrody w połowie znajdują się pod wodą i wyglądają żałośnie; poza tym martwię się, dlaczego Cyceriusz mnie wezwał. Sadzę, że niedługo spotkam się z Orkiem.

Ponadto jestem moki jak koc Syreny, bo wyszedłem z tawemy „Pod Mściwym Toporem” bez magicznego płaszcza przeciwdeszczowego. Całe swoje magiczne umiejętności wykorzystałem, aby wbić sobie w pamięć zaklęcie snu. Nieważne, że pan Rezaz przybył tu na zaproszenie króla – nie zamierzam stawać oko w oko z Orkiem bez jakiegoś zabezpieczenia.

Książę Frisen-Akan ma willę tuż przy stadionie i tam właśnie zatrzymał się Rezaz.

Jego obecność w mieście nie została jeszcze ujawniona publicznie. Strażnik prowadzi mnie do Cyceriusza. – Mamy problem – oznajmia wicekonsul. – Już? – Niestety tak. Chodź ze mną.

Wchodzimy do willi. Jest wspaniała, tak jak oczekiwałem, ale nie jestem w nastroju, aby podziwiać piękne meble. Nie zdążyłem się jeszcze odpowiednio przygotować, kiedy Cyceriusz wprowadza mnie do obszernego pokoju przyjęć. A tam, przy oknie, stoi ten sam Ork, którego ostatnim razem widziałem u podnóża walącego się muru piętnaście lat temu.

– Pan Rezaz Caseg – oznajmia Cyceriusz i przedstawia mnie.

Pan Rezaz jest wielki, nawet jak na Orka, i wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Może jest nieco bardziej umięśniony, ale trudno to ocenić. Orkowie zazwyczaj bywają bardzo muskularni. Pomimo swej wysokiej pozycji nosi zwykłą czarną tunikę orkijskiego wojownika. Na nią narzucił piękny czerwony płaszcz, a u boku ma złotą maczugę.

Towarzyszą mu jeszcze dwaj inni Orkowie, dość drobni jak na swoją rasę. Obaj mają ciemne kudłate włosy, co u Orków jest normalne. Jeden ubrany jest w czarny strój wojownika i wygląda na drania. Drugi nie jest uzbrojony i okazuje się woźnicą Rezaza.

Czuję się wyjątkowo nieswojo. Przebywam w jednym pokoju z trzema Orkami, a jedyny człowiek, który mógłby mi pomóc, to Cyceriusz, który nigdy nie był wiele wart jako wojownik, nawet w młodości. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że ci Orkowie, choć przybyli w misji dyplomatycznej, zaraz mnie zaatakują. Przygotowuję zakłęcie snu. – Pamiętam cię – zaskakuje mnie pan Rezaz. – Pan mnie pamięta? – Spod muiu. Walczyłeś tamtego dnia. Widziałem cię. Wtedy byłeś chudszy.

Jestem jeszcze bardziej zaskoczony i nieco zirytowany. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałem ze strony Rezaza Rzeźnika, są komentarze na temat mojej tuszy.

– Cieszę się, że człowiek przydzielony nam do pomocy to wojownik – oznajmia Ork.

Cyceriusz najwyraźniej jest przekonany, że zrobiłem dobry początek. Służący przynosi wino. Przed przybyciem tutaj byłem zdecydowany odmówić przyjęcia takich wyrazów gościnności. „Nie będę pił z Orkiem!” – powiedziałem Gurdowi. Teraz myślę: „Do diabła z tym!” i biorę kieliszek. Po co utrudniać sobie życie? – Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, na czym polega problem? – Sabotaż – oznajmia wicekonsul. – Już? Przecież rydwan jeszcze nie przybył. – Skradziono dywanik modlitewny mojego woźnicy – wyjaśnia pan Rezaz. – Bez dywanika nie pojedzie.

Gapię się na niego. – Dywanik modlitewny? – Zanim orkijski woźnica weźmie udział w wyścigu, musi położyć sobie pod stopami dywanik modlitewny. Bez tego nie może jechać. Wczoraj skradziono dywanik mojego woźnicy. – Nie można mu dać innego?

Najwyraźniej nie można. Okazuje się, że Ork dostaje swój dywanik modlitewny od kapłana, kiedy osiąga pełnoletność, i zgubienie go to poważna sprawa. Nowy można otrzymać tylko z orkijskiej świątyni, a najbliższa taka świątynia znajduje się kilka tygodni jazdy stąd. Ponieważ nic nie wiem o religii Orków, to wszystko jest dla mnie zupełną nowością. Przedtem nie byłem nawet pewien, czy oni się w ogóle modlą.

Zwracam się do Cyceriusza: – Czy ten dom nie jest strzeżony? – Bardzo. Pomimo to dokonano kradzieży. – Przewidywaliśmy, że podczas naszego pobytu

mogą pojawić się trudności – odzywa się pan Rezaz. – Nie pomyśleliśmy jednak, że gdy tylko zjawimy się w Turai, chronieni przez samego króla, nasza religia zostanie obrażona, a my sami okradzeni.

Cyceriusz jest zaniepokojony. Zapewne już widzi, jak znikają kopalnie miedzi, a wraz z nimi łaska króla.

Pytam wicekonsula, czy nad sprawą pracuje jakiś mag. Cyceriusz z zakłopotaną miną przyznaje, że nie szukał jeszcze magicznego wsparcia. Boi się, że czarownik poproszony o pomoc w odnalezieniu dywanika modlitewnego należącego do Orka wyśle go do wszystkich diabłów. Prawdziwy Kościół w Turai odnosi się do sztuk magicznych z niesłabnącą podejrzliwością, dlatego Gildia Magów obawia się jakichkolwiek działań, które mogłyby zostać uznane za bezbożne. Cyceriusz obiecuje, że spróbuje załatwić pomoc jakiegoś specjalisty od czarów, tymczasem jednak lepiej będzie, jeśli sam zacznę szukać. – Kto wiedział, że pan Rezaz jest już w Turai? – Król, jego rodzina, konsul i ja. No i oczywiście batalion, który go eskortował. A to najwierniejsi żołnierze, jakich posiada król.

Niewielu jest w Turai ludzi tak lojalnych, żeby nie można ich było kupić; nie mówię tego jednak na głos, żeby nas nie pogrążyć w oczach Orka. Zwracam się do niego:

– Proszę mi podać szczegółowe informacje. Nie rozumie. – To właśnie robią detektywi. Zbierają informacje. Czy w swoim kraju nie macie detektywów? – Nie – odpowiada Ork. – U nas nie mieliby czego szukać. W moim kraju nikt nie byłby na tyle niemądry, aby ukraść dywanik modlitewny mojego woźnicy.

Otrzymuję nieco informacji. Popijam wino. To dobry rocznik. Obecność trzech Orków w tym samym pokoju zupełnie mu nie zaszkodziła. Potem żegnam się. Cyceriusz odprowadza mnie do drzwi, wygłaszając wykład o wielkim znaczeniu tej sprawy. Mam wrażenie, że Cyceriusz jest najszcześniejszy, kiedy może mnie pouczać na temat wielkiego znaczenia tego czy owego.

W Dwunastu Morzach pod moimi drzwiami czeka Kerk, z miną człowieka, który bardzo potrzebuje dwa. Nawet ulewa nie jest w stanie całkowicie zmyć z jego ubrań zapachu narkotyku.

Kerk przyniósł mi filiżankę z brązu, która właśnie pojawiła się u jednego z licznych w tej dzielnicy paserów. Sądzi, że może ona pochodzić z kolekcji Mursjusza. Tak naprawdę nie ma oczywiście pojęcia, jaki jest jej rodowód, i po prostu przyniósł mi pierwszą rzecz, która się choć trochę nadawała, aby wy dostać nieco pieniędzy. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że filiżankę zrobiono wczoraj.

Daję mu do zrozumienia, że nie jestem zachwycony, ale płacę za jego wysiłki.

Dopiero później pozwalam sobie na uśmiech satysfakcji. Pamiętam tę filiżankę.

Była w magazynie razem z obrazami i rzeźbami. – Wykonana w dalekiej Samsarynie w ubiegłym stuleciu, o ile się nie mylę – wyjaśniam Makri. – Rzeczywiście należała do Mursjusza. Przypominam sobie, że kiedyś dostałem ją w łeb, kiedy zasnąłem na służbie. – Tak, tak, Thraxasie, wiesz, że zawsze interesują mnie twoje wojenne wspomnienia.

Przeładałaś już ten spis? – Makri, błyskawicznie zmieniłaś się z surowej moralistki w demona hazardu.

Daj mi odetchnąć. – Nie ma czasu – mówi Makri. – Wkrótce muszę oddać te sześćdziesiąt guranów.

Kobiety zaczynają plotkować.

Biorę spis rydwanów przyniesiony od Moxa. Jest wilgotny, jak wszystko w mieście o tej porze roku. Takie spisy kosztują. Papier w Turai nie jest tani. Podobnie jak „Słynna i wiarygodna kronika”, spis rydwanów przygotowywany jest przez skrybę, później zaś jakiś mag – a u Moxa czeladnik – robi kopie; niczego nie pomija, nawet błędów ortograficznych. – Zobaczmy. W pierwszej gonitwie nie ma nic ciekawego. W drugiej też nie. Może w trzeciej... Miecz Zemsty, sześć do czterech. To dobry rydwan. – A co powiesz o Zamku Fatum? – pyta Makri podejrzliwie. Zamek Fatum to faworyt, ale Makri odnosi się teraz nieufnie do wszystkiego, co pachnie ryzykiem.

Potrząsam głową. Jeden z tych koni zranił się w nogę w zeszłym sezonie i nie jestem przekonany, że całkiem wrócił do formy. – Miecz Zemsty w zeszłym roku dwa razy zajął drugie miejsce i długo trenował na zachodzie. Sądzę, że wygra. –

No, mam nadzieję – mruczy Makri. – Moje życie i tak było pełne stresów, jeszcze zanim przez ciebie zaczęłam się martwić wyścigami rydwanów.

Wręcza mi osiemnaście guranów.

– Jesteś pewien, że mag ze stadionu w Juval jest uczciwy? – pyta.

– Tak myślę. W każdym razie uczciwszy niż Astrath Potrójny Księżyc. A tak na marginesie, widziałem się dzisiaj z panem Rezazem Casegiem.

Makri aż zatacza się ze zdumienia. – Co? – Przy stadionie. Zatrzymał się w willi księcia.

Makri zbiera się do wygłoszenia swojej zwykłej tyrady na temat Orków, przerywam jej jednak, aby opowiedzieć o wydarzeniach dnia. – Dobrze – komentuje. – Może wróca do domu. – Obawiam się, że nie. Oni zostają, a ja pomagam w odnalezieniu dywanika. Dość niezwykle przestępstwo. Spodziewałem się czegoś innego.

Makri uważa to posunięcie za bardzo sprytne. – Trudno wymyślić coś lepszego, żeby Orkowie nie brali udziału w wyścigu.

Gdyby ktoś uszkodził rydwan, zawsze można by go naprawić. Zakładam, że król oddałby turajskich kołodziejów do dyspozycji Rezaza. Nawet koniom trudno by było zrobić krzywdę, bo Cyceriusz mówił, że Orkowie przywieźli zapasowe. Ale dywanik modlitewny to dobry cel. Żaden orkijski woźnica bez dywanika nie pojedzie, bo jeśli zginie podczas wyścigu, nie pójdzie do nieba. A nowego nie da się przywieźć do Turni na czas, nie przy tej pogodzie. Nie wiedziałeś, jak bardzo dla woźniców Olków ważne są dywaniki modlitewne? – Nie. I nie wiedział o tym nikt w Turai, z wyjątkiem osoby, która go ukradła.

Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

Makri złości się. – Nikt mnie nie pytał. Nie zajmuję się wygłaszaniem wykładów na temat Orków.

To nie moja wina, że nie macie pojęcia o ich kulturze. – No cóż, wobec tego mamy szczęście, że ty wiesz tak dużo, Makri, ponieważ pomożesz mi go znaleźć. Nie zaczynaj protestować, wiesz, że musisz. Jeśli ten rydwan nie wystąpi, Rezaz wycofa swoje poparcie w sprawie kopalni miedzi, a Cyceriusz spadnie na nas jak

kłątwa. Ja stracę licencję, a ciebie Toariusz obleje. Po pierwsze muszę wiedzieć, kto z mieszkańców miasta nie chce, aby Orkowie brali udział w wyścigu. – Chyba wszyscy?

– Tak. To utrudnia sprawę. Musi być jednak ktoś, kto ma silniejszą motywację.

Poza tym kto posiadał wystarczającą wiedzę, aby tego dokonać? Nie ma chyba zbyt wielu osób, które znają na tyle dobrze kulturę Orków, żeby zdawać sobie sprawę, jakie skutki pociągnie za sobą kradzież dywanika modlitewnego.

Makri przestaje się złościć i smutnieje. Cała ta sprawa z Orkami naprawdę jej dokuczyla. Nie lubi wspominać czasów, kiedy była niewolnikiem-gladiatorem.

– Nie ma problemu, kiedy po prostu ich zabijam. Ale tej współpracy nie mogę ścierpieć.

Wyrażam swoje współczucie. Mnie to również nie bawi. A do rozwiązania została jeszcze sprawa zabójstwa Mursjusza. To oznacza beznadziejne włóczenie się w ulewnym deszczu i zadawanie pytań ludziom, którzy nie chcą na nie odpowiadać. Nie po raz pierwszy klnę Rycjusza za to, że wpędził mnie w ubóstwo i zmusił do pracy.

Chcę zabrać filizankę z brązu do Astratha Potrójnego Księżyca. To dobry mag, być może coś odkryje. Zanim jednak zdążyłem wyruszyć, zjawia się kapitan Ralee, który jest obecnie komendantem niedużego posterunku Straży Obywatelskiej w pobliżu portu.

Kapitan i ja znamy się od dawna. W wojsku byliśmy w tym samym oddziale, razem walczyliśmy przeciwko Niojańczykom, a potem Orkom. Obecnie, kiedy się spotykamy, zazwyczaj złości się na mnie. Uważa, że prowadząc śledztwo powinienem biec do strażników za każdym razem, gdy coś odkrywę. Rzadko to robię.

Tak na marginesie, obu nam zaczęło się źle powodzić mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy mnie wyrzucono z pracy w pałacu, gdzie byłem starszym detektywem, kapitan stracił ciepłą posadkę w Pałacu Sprawiedliwości na skutek politycznych intryg Rycjusza, który wówczas był jeszcze wicekonsulem. Kapitan skończył jako patrolowy, i wcale go to nie cieszy. Mały posterunek w pobliżu portu

to niezbyt przyjemne miejsce spędzania czasu, i z pewnością jest to właściwa nagroda dla człowieka, który bił się za swoje miasto. Ale w tym gnieździe korupcji, jakim stało się Turai, awans czeka tych, którzy mają odpowiednie znajomości, a nie tych, co dobrze służyli miastu. To, a także fakt, że Turai obecnie zmaga się z falą przestępstw wywołanych przez dwa, sprawia, że kapitan jest ciągle w złym humorze.

Zazwyczaj z przyjemnością witam starego towarzysza broni, choć jego wizyta zwykle oznacza złe wieści. – Masz kłopoty – oznajmia kapitan Ralee. – Kłopot to moje drugie imię – odpowiadam. Ani cienia uśmiechu. – Czy mówi ci coś imię Lisox? Potrząsam głową. – Drobnny opryszek. Właśnie znaleźliśmy go martwego w uliczce, niedaleko stąd.

Miał w piersi ranę zadaną sztyletem. Rzut, nie pchnięcie, jak twierdzi mój ekspert medyczny.

Niewielu ludzi potrafi tak celnie rzucać sztyletem, Thnucasio. Do tego trzeba specjalisty – świdruje mnie wzrokiem. – Wielu ludzi nauczyło się tego w wojsku – podsuwam. – Nie tak dobrze, jak ty. – Sądzę, że to sprawa Bractwa. Oni mają monopol na przestępczość w tej okolicy.

Wiesz, jak nie znoszą, kiedy jakiś niezależny bandyta wchodzi im w paradę. – Jesteś gotów poddać swój sztylet magicznym badaniom? – Byłbym gotów, ale nie widziałem go już od dłuższego czasu. Zgubiłem go podczas prowadzenia śledztwa i nie sprawiłem sobie jeszcze nowego. – Może więc powinniśmy ściągnąć z Pałacu Sprawiedliwości maga, aby sprawdził aurę trupa i zobaczył, czy nie ma w niej jakichś śladów z twojego biura. – Niech pan się dobrze zastanowi, kapitanie. Pałac Sprawiedliwości nie wysłał dobrego maga tylko po to, aby badał jakiegoś włóczęgę, którego ciało znaleziono w Dwunastu Morzach. – Prawdopodobnie nie – przyznaje rzeczowo kapitan Ralee. – Dlaczego więc po prostu mi nie powiesz, o co poszło?

Milczę. – Co to za pomysł, żeby zgłaszać obecność Orków w Ferias? – zaskakuje mnie. – Spotkałem ich tam. Nie oczekuje pan chyba, że będę ignorował obecność Orków? – Nikt inny ich nie widział. Słyszałem, że zajął się tym sam Kemlath Zabójca Orków. Jeśli on twierdzi, że ich nie było, to ich nie było.

Kapitan pogrąża się w myślach. Wiem, że ogarnęły go wspomnienia podobne do moich, z czasów, kiedy wraz z młodym Kemlathem walczyliśmy przy murze. – Panie kapitanie, sam pan jednak wie, że nie zmyśliłbym takiej historii. Nie wiem, dlaczego Kemlath nie odkrył żadnych śladów. Ktoś musiał ten teren magicznie oczyścić. Miło było znów spotkać się ze starym Kemlathem. Pamięta pan ten dzień, kiedy powalił bojowego smoka, a Gurd był wściekły, bo smok zgniółł jego namiot? – Daruj sobie opowieści wojenne. Co robiłeś w Ferias? – Pracowałem dla senatora Mursjusza. Ale Ferias to nie jest pański rewir. – Senator został zamordowany w porcie. To już jest mój rewir. Driniusz myśli, że ty go zabiłeś. – Co ci prefekci mogą wiedzieć? – Driniusz jest znacznie bystrzejszy od Galwiniusza. Jak to się stało, że nagle masz po swojej stronie wicekonsula? – Cycleriusz zawsze gotów jest przyjść z pomocą uczciwemu obywatelowi. – Dlaczego zatem pomaga tobie?

Nie zniżam się do odpowiedzi. Proponuję kapitanowi piwo, ale odmawia. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, ale on lepiej się trzyma: wysoki, silny, o szerokich ramionach. Długie włosy wiąże w kucyk z tyłu głowy. Ja też tak wiązę swoje, ale moje są brązowe i zaczynają już siwieć, podczas gdy czupryna kapitana nadal lśni złotem.

Kobieciaz – a przynajmniej był taki, zanim próby utrzymania kontroli nad narastającą folą przestępstw nie zmęczyły go tak, że potrafi już tylko pracować i spać. – Kiedy ostatnim razem strażnicy natknęli się na Lisoxa, pracował dla Gliksjusza Pogromcy Smoków. Pamiętasz go? Może więc wpadłeś w kłopoty, Thraxasie. Czy teraz zechcesz mi o tym opowiedzieć? – Nie mam nic do opowiadania. – Wobec tego, kiedy Gliksjusz dobierze się do ciebie, nie przylatuj do nas po pomoc.

A jeśli zobaczę, że wykraczasz poza granice prawa, spadnę na ciebie jak zły czar. Mam dość problemów bez twojej pomocy.

Narzuca na ramiona ciężką pelerynę przeciwdeszczową.

– Nienawidzę gorącej pory deszczowej. Bez przerwy leje, a ja pocę się jak świnia. Nie licz na mój dobry humor, jeśli znów będę musiał brnąć przez ulicę Kwintesencji, aby cię odwiedzić.

Pogoda nie powinna być taka okropna. Trzynasty dzień gorącej pory deszczowej. Jeszcze siedemnaście dni. Makri miała rację – co za głupie miejsce na budowanie miasta.

Zastanawiam się nad nowymi informacjami. Gliksjusz Zabójca Smoków. Gliksjusz to wielki mag. Nie należy do elity, ale jest o wiele potężniejszy ode mnie.

Najprawdopodobniej to on groził mi śmiercią. A potem jeden z jego bandytów wkrada się do mojego mieszkania.

Powiązania Gliksjusza z przestępczą organizacją pod nazwą Towarzystwo Przyjaciół są powszechnie znane, ale nigdy za nic go nie skazano. Jest zbyt sprytny, ma zbyt wiele znajomości. Zjadam śniadanie i zastanawiam się, o co w tym wszystkim chodzi.

Ostatnio miało miejsce kilka dziwnych wydarzeń. Najpierw Orkowie w Ferias. Potem Carilis wskazuje mi magazyn, a Mursjusz traci życie. Odnajduję skradzione dzieła sztuki, a one zaraz znikają. Z pewnością użyto tam magii, chociaż strażnicy nie odkryli żadnych jej śladów. A teraz ktoś grozi mi śmiercią. Dotykam amuletu chroniącego przed zaklęciami.

Wykonano go z Czerwonej Tkaniny Elfów, która tworzy barierę dla magii. Mam nieodparte wrażenie, że za wszystkim stoi właśnie Gliksjusz Pogromca Smoków. Jeśli tak, zamierzam go przyskrzynić.

Zastanawiam się, czego Hanama chciała od Makri. Nie mam czasu, żeby o tym myśleć, nie w sytuacji, gdy muszę się zajmować kradzieżą dywanika. Od czego zacząć?

Praktycznie całe miasto jest gotowe sabotować Orków. Nikt jednak nie miał prawa wiedzieć, że już tu są. Wygląda na to, że trzeba poszukać osoby, która o tym wiedziała.

Szukam pomocy w kuriyU ale bezskutecznie. Kuńya, ciemny płyn z dalekiego zachodu, to tajemnicza substancja, w której zdolny mag potrafi czasem dostrzec wydarzenia z przeszłości. Jest bajecznie droga i długo się zastanawiałem, zanim ostatnio uzupełniłem swoje zapasy. Okazało się to jednak stratą pieniędzy, bo niczego się nie dowiaduję.

Może nie ma nic do zobaczenia a może przy tych wszystkich problemach nie jestem w stanie wprowadzić się w odpowiedni trans. Niezależnie od przyczyny chociaż koncentruję się najlepiej jak potrafię, patrząc w spodeczek pełen płynu widzę tylko spodeczek pełen płynu.

Tej samej porcji kuriyi nie można używać dwa razy. Wylewam ją i klnę na wydatek.

Wyrzucam z pamięci zakłęcie snu, wykorzystuję swoje czarnoksięskie umiejętności do odświeżenia przeciwdeszczowego płaszcza i wychodzę na ulicę.

Nadal leje deszcz. Najpierw chcę znaleźć Carilis i dowiedzieć się, skąd wiedziała, że rzeczy Mursjusza były w magazynie. Potem złożę wizytę Astrathowi Potrójnemu Księżycowi i pokażę mu filizankę.

Jakiś chłopiec na rogu sprzedaje „Słynną i wiarygodną kronikę wszystkich wydarzeń światowych”. Spisującąskryba, a etatowy mag powieliła w tysiącach kopii. Zajmuje się ona rzekomo wszystkimi ważnymi wydarzeniami w mieście, ale w rzeczywistości koncentruje się głównie na skandalach, szczegółowych opisach potajemnych spotkań synów senatorów z aktorkami i tym podobnych bzdurach. Dostrzegam, że gazeciarz kładący gazety na stoisku jest szczęśliwy jak Elf w drzewie.

Chłopak przechyla głowę w tył i krzyczy:

– OikowiepizybywajądoTurailOrkijskirydwanbędziebrał udział w wyścigu ku czci Turasa!

Nieczęsto okrzyk gazeciarza wywiera tak dramatyczny efekt. Nawet kiedy kronika mylnie oznajmiła, że książę Frisen-Akan zmarł po przedawkowaniu dwa, nie widziałem, żeby ludzie biegli przez deszcz po swój egzemplarz. Nic dziwnego, że sprzedawca się cieszy.

Kiedy zaczyna się rozchodzić wieść, że Rezaz Rzeźnik naprawdę wystawia rydwan, natychmiast podnosi się wrzawa. Ignorując deszcz ludzie wybiegają ze swoich domów i miejsc pracy, aby zmanifestować złość. Wkrótce zbiera się gniewny tłum i rozlegają się głosy gwałtownego protestu. Wśród tłumy dostrzegam zwykłą kolekcję podżegaczy i przestępców, ale obok nich stoi wielu uczciwych

obywateli, rozwścieczonych tą szokującą wiadomością. Z wyjątkiem ambasadorów ukrytych w Pałacu Imperialnym, żaden Orknie wjechał jeszcze do Turai. – Śmierć Orkom! – Zabić ich! – Żadnych Orków w Turai!

– Na miasto spadnie klątwa!

Osobą, którą można uznać za przedstawiciela króla w Dwunastu Morzach jest prefekt Driniusz. Jego dom stoi w pobliżu posterunku strażników na ulicy Spokoju, ludzie maszerują więc w tamtym kierunku. Zakładam, że wiadomość przeciekła bez wiedzy władz, bo strażnicy nie są przygotowani na kłopoty i nie reagują od razu.

Biedota Turai nie ma nic przeciwko zamieszkom, ale niełatwo je zorganizować pośród ulewy. Kiedy strażnicy wreszcie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji i przybywają tłumnie na teren zajść, na szczęście nie ma jeszcze płonących budynków, które mogłyby im przeszkodzić.

Jak każdy normalny człowiek z chęcią oglądam bijatyki, ale teraz powinienem zająć się śledztwem. Jeśli strażnicy zabarykadują okolicę, będę uwięziony w Dwunastu Morzach, a muszę się przedostać do bogatych dzielnic miasta, skoro chcę znaleźć Carilis.

Zaczynam przepychać się przez tłum. Moja tusza daje mi tutaj zdecydowaną przewagę. Jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. Zaledwie poprzedniego lata odbywały się tu rozruchy kiedy Horm Martwy, pół-Ork i wyjątkowo złośliwy czarownik, rzucił na miasto zaklęcie zwane Ośmiomilowym Terrorem. Dotąd nie usunięto jeszcze wszystkich powstałych wówczas zniszczeń. Robotnicy wrócą do pracy, kiedy tylko skończy się deszcz.

Martwi mnie refleksja, że skoro ujawniono już zgodę konsula na to, aby Orkowie wystawili rydwan podczas wyścigów w Turai, mój udział w całej sprawie może dojść do publicznej wiadomości wcześniej niż się spodziewałem. To znacznie mi utrudni poszukiwanie dywanika. Lepiej zapytani Astratha Potrójnego Księżyca, czy zna jakieś dobre zaklęcie, które mogłoby ochronić tawernę „Pod Mściwym Toporem” przed spaleniem przez wściekły motłoch.

Zaczynają lecieć cegły. Tłum robi się coraz groźniejszy i wyraża swój gniew tak hałaśliwie, że mógłby obudzić nawet starego króla Kibena. Wreszcie dochodzę do ulicy Kwintesencji, skąd skręcam na Bulwar Księżycy i Gwiazd. Bulwarem docieram do Pashish, biednej, ale zazwyczaj nieco spokojniejszej dzielnicy miasta. Jednak nawet tutaj wzburzeni ludzie wylegli na ulicę. Strażnicy stoją z tarczami w dłoniach i nastawionymi włóczyniami, przygotowani do powstrzymania napastników. Słyszę ludzi głośno krytykujących konsula Kaliusza za to, że pozwala na przyjazd Olków. Niektórzy nawet obrażają króla, co każe mi wątpić w sens całego tego przedsięwzięcia. Przypuszczam, że potrzebna jest mu miedź, ale wskutek tej decyzji zwiększy się tylko poparcie dla Popularów, którzy chcą obalić monarchię.

Przypadkiem znajduję się obok Deriexa, młodego pontyfika opiekującego się tutejszym kościołem. Ze względu na swoją pozycję nie bierze udziału w zamieszkach, ale niewątpliwie ta wiadomość go rozjuszyła. – To hańba! – krzyczy. – Absolutnie – zgadzam się. – Orkowie w mieście, co za wstyd. Prawdziwy Kościół nie jest zachwycony, jak sądzę? – Oczywiście, że nie! Wypędzimy ich stąd. – A jednak – dodaję. – Kto wie? Być może oni modlą się do tego samego Boga co my?

Derlex aż sapie z przerażenia, słysząc to straszliwe bluźnierstwo, i wrzeszczy, że Olkowie nie modlą się do żadnego znanego mu Boga.

Przepraszam za swoją głupotę. Pontyfik odchodzi. Oto człowiek, który najwyraźniej nie wie nic o dywanikach modlitewnych.

Przepycham się dalej. Kiedy docieram do dzielnic handlowych i targowych nie widzę już aktów przemocy, ale nawet tutaj atmosfera jest napięta i gniewna. Wiadomość rozeszła się już po całym mieście i bogatym kupcom nie podoba się to w równym stopniu, co biednym robotnikom. Wszyscy Turajczycy nienawidzą Orków.

Upał, który narastał przez ostatnich kilka dni, teraz daje początek straszliwej burzy.

Błyskawica po błyskawicy rozdziera niebo; grom huczy nad miastem. Deszcz pada tak gęsto, że nie widzę drogi przed sobą i muszę schronić się w bramie.

Okazuje się, że dołączyłem do dobrze ubranego mężczyzny, prawnika, co można wynioskować z kroju płaszcza i tuniki.

– Spadła na nas klątwa – mówi potrząsając głową, podczas gdy burza szaleje ponad nami. – Nie wolno zapraszać Orków do miasta i oczekiwać, że nie stanie się nic złego.

– Może król ma swoje powody? – sugeruję. Prawnik patrzy na mnie z wściekłością.

– Kochanek Orków – s pluwa i wychodzi na deszcz. Wybiera ulewę zamiast towarzystwa człowieka, któremu nie przeszkadza, kiedy kilku Orków wpada sobie w odwiedzinę.

Ponuro wpatruję się w deszcz. Już widzę, że następne tygodnie będą ciężkie.

10

Carilis wróciła do willi Mursjusza w Thamlinie, w pobliżu pałacu. Niegdyś mieszkałem w tej okolicy. Mój dawny dom zajmuje teraz pałacowy mag. Jest uzależniony od dwa, ale utrzymuje to w tajemnicy i zarabia na wystawne życie stawiając horoskopy dworakom. Wielu magów z Turai posiada własne majątki. Ci, którzy muszą pracować, zdobywają zazwyczaj drobne sumy, spełniając zachcianki bogaczy. Niewielu działa dla dobra miasta, z wyjątkiem starego Hazjusza Wspaniałego, głównego maga-detektywa w Pałacu Sprawiedliwości, i Melusy Bez Skazy, zatrudnionej na Stadionie Superbiusza.

Kiedy wchodzę, wprowadzony przez służącego, Carilis śmieje się na mój widok. – Co cię tak śmieszy? – Ty. Jesteś okropnie gruby i masz mokre nogi. – Liczę na to, że wyjaśnisz mi pewne rzeczy, których jeszcze nie wiem. – Na przykład? Żaden służący nie proponuje mi wina, nikt nawet nie zabrał mojego płaszcza.

Rzucam go na krzesło. Nadal jest suchy. Dobre zakłęcie. – Na przykład: kto zabił Mursjusza? – O ile wiem, ty jesteś głównym podejrzanym.

– Tylko w oczach stróżów prawa. Ale kto naprawdę to znoził? Carilis nie wie i twierdzi, że jest zbyt rozstrojona, aby o tym rozmawiać. Martwi się utratą ukochanego, czy też szansy zdobycia jego pieniędzy, trudno powiedzieć.

– Skąd wiedziałaś, że dzieła sztuki były w magazynie? Nie chce powiedzieć. – Miałaś romans z senatorem Mursjuszem? – pytam, żeby nią wstrząsnąć. – Nie – odpowiada i nie wydaje się wtrząśnięta. – Sarija myśli, że tak. – Co ta narkomanka może wiedzieć? – Nieładnie tak mówić o swojej chlebodawczyni. – To Mursjusz mnie zatrudnił, nie Sarija. A opieka nad jego żoną wcale nie sprawiała mi przyjemności.

Jestem pewien, że to prawda. Żadnej młodej arystokratce nie spodobałaby się rola służącej. To okropna utrata pozycji społecznej, a pozycja jest dla tych ludzi bardzo ważna.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, kto zabił Marsjusza, lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz. Strażnicy niczego nie odkryją.

– I ty najprawdopodobniej też nie, grubasie.

Jak na elegancką damę, ma bardzo złe maniery. Dzielę się z nią podejrzeniami, że wrobiła mnie w zabójstwo. To doprowadza ją do furii.

– Twierdzisz, że byłam w to zamieszana? Staralam się pomóc Mursjuszowi. Gdybyś wykonał swoją robotę, on nadal by żył.

Obraca się na pięcie i wychodzi z pokoju. Rozmowa jest zakończona. Biorę brzoskwinię z misy pełnej owoców i wpycham ją do ust. Niech ta wizyta nie będzie zupełną stratą czasu. Niewiele się dowiedziałem, oprócz tego, że Carilis nadal mieszka w domu Mursjusza, chociaż teraz, gdy zmarł jej chlebodawca, Sarija na pewno niedługo ją wyrzuci.

Burza osłabła, ale deszcz wciąż leje. W Thamlinie nie wywołuje on tak opłakanych skutków, większość wody spływa bowiem z brukowanych ulic i chodników do rynsztoków.

Tutejsze domy nie zawałają się, kiedy grunt pod nimi się osunie, co w Dwunastu Morzach zdarza się co roku.

Płaszcz mam nadal suchy, ale buty mi przemokły. Krzywię się, kiedy deszcz smaga mnie po twarzy. Z powodu upału potoki potu spływają mi po plecach. Zbliża się jakiś wóz; jego koła turkoczą głucho na brukowanej nawierzchni. Z wozu wysiada prefekt Driniusz, a z nim trzech strażnicy. – Jesteś aresztowany – oznajmia prefekt. – Świetnie-odpowiadam.-Już miałem dość deszczu. O co jestem oskarżony? – O morderstwo. Znaleźliśmy nóż, którym zabito senatora Mursjusza. I zgadnij, czyją aurę odkryto na rękojeści? – Arcybiskupa Kseriusza? – Pudło. Twoją.

Gwardziści wpychają mnie do wozu.

– Obserwujcie go uważnie. Jeśli spróbuje wypowiedzieć jakieś zaklęcie, użyjcie mieczy.

Nie mają pojęcia, że całe swoje magiczne umiejętności wykorzystuję na walkę z deszczem. Strażnicy pilnują mnie, kiedy jedziemy na zachód przez Thamlin. Droga do pałacu wspina się na łagodne, zalesione zbocze, a tuż za terenami należącymi do Pałacu Imperialnego wznosi się Pałac Sprawiedliwości, kwatery główne Straży Obywatelskiej.

Nie rozumiem tego nowego obrotu sprawy i nawet nie staram się zrozumieć. Obecnie – przynajmniej na kilka tygodni – jestem w naszym mieście ważną osobistością.

Wicekonsul potrzebuje mnie do opieki nad Orkami, i uwolni mnie od każdego oskarżenia, które tym razem wysmażyli Rycjusz i Driniusz.

Pałac Sprawiedliwości to duży budynek, zapewne imponujący, choć w deszczu tego nie widać. Jako starszy detektyw w Pałacu Imperialnym znałem tu wszystkich, chociaż Ochrona Pałacowa i Straż Obywatelska rywalizują ze sobą, i zazwyczaj nie są w stanie współpracować. Dostanie się do środka zabiera nam kilka minut. Czarownik, który nas wpuszcza, potrzebuje wieków na wygłoszenie zaklęć otwierających drzwi. Ze względu na niepokoje w mieście zaostrzyli środki bezpieczeństwa.

Często trafiam do celi, ale dwa razy w ciągu dwóch dni to już przesada. W tym tempie niczego nie załatwię. Do diabła z tym Rycjuszem, naprawdę się na mnie uwziął.

Myślę o tym, jak bardzo chcę się napić piwa, i jak dużo czasu minie, zanim będę mógł to zrobić. Kiedy już strażnicy wsadzą cię do celi nie śpieszą się z przesłuchaniami, zgodnie z teorią, że szybciej się załamiesz, jeśli dadzą ci najpierw trochę czasu na przemyślenia. Teoria ta sprawdza się zapewne wobec większości ludzi, ja jednak przebywałem już w zbyt wielu celach, żeby się tym przejmować. Na dodatek mam szczęście, bo w mojej siedzi już ktoś, kto okazuje się wielkim amatorem wyścigów. Kiedy informuje mnie, że Miecz Zemsty wygrał bez problemów, z zadowolenia prawie zapominam, że siedzę w więzieniu. Podobnie jak Makri postawiłem osiemnaście guranów, co oznacza, że przy stawce sześć do czterech oboje wygramy po dwadzieścia siedem. Makri jest coraz bliżej sześćdziesięciu, które są jej potrzebne. Jeszcze kilka wygranych i będę miał jaż głowy. Co więcej, mam już niezłą sumkę na wyścig ku czci Turasa.

Wkrótce już jestem pochłonięty rozmową o nadchodzącym wyścigu z moim współwięźniem, Drazjuszem. To bankier, który miał pewne trudności w przekonaniu klientów, że uczciwie prowadzi księgi rachunkowe. Dopiero co usłyszał wieści o rydwanie Olków, i jest przekonany, że będzie on dla Elfów godnym przeciwnikiem.

Po raz pierwszy dociera do mnie, że szykuje się ciekawe sportowe widowisko. Tak byłem zdruzgotany rolą, jaką niechętnie odgrywam w całej sprawie, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Rzeka w Świetle Księżycy to na pewno wspaniały czterokonny rydwan; w innym przypadku pan Lisith-ar-Moh nie przysyłałby go aż z Wysp Południowych.

Widziałem wiele rydwanów Elfów i nie znalazł się wśród nich żaden, który nie byłby w stanie pokonać wszystkich ludzkich zespołów. Ludzie mówią, że Elfy potrafią rozmawiać z końmi, i to daje im taką przewagę. Ale Orkowie? Nie dawałem im żadnych szans, jednak bankier Drazjusz zauważa, że Rezaz Caseg nie przysyłałby rydwanu, który nie potrafi wygrać.

– Bo i po co? Ork chce się zemścić na Elfie. Nie wystawiałby zespołu, z góry zakładając jego przegraną. Sądzę, że warto zainwestować w ten rydwan u bukmacherów.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Drazjusz narobił sobie kłopotów u klientów. Ale to, co mówi, ma sens. Jak dotąd jedyną reakcją, z jaką się zetknąłem, była otwarta wrogość wobec Orków, okazywana przez biorących udział w rozruchach obywateli. Jestem nieco zaskoczony, że znalazłem kogoś, kogo bardziej interesuje aspekt sportowy. To sprawia, że i we mnie budzi się ciekawość. No dobrze, Orkowie to nasi zniechęceni wrogowie, jedyny dobry Ork to martwy Ork, ale z drugiej strony wyścig rydwanów to wyścig rydwanów, ja zaś kocham wyścigi bardziej niż senator łapówki.

– Za Orków będą dobrze płacić – dodaje Drazjusz. – Nawet jeśli bukmacherzy wysoko ocenią rydwan, niewielu Turajczyków go obstawi. EMy będą mocnymi faworytami.

Bukmacherzy mogą nawet podwyższać cenę, żeby zachęcić ludzi do stawiania na Olków.

To prawda. Orkowie nie są lubiani, ich cena będzie więc wysoka. Bukmacherzy ustalają stawki na podstawie tego, jak oceniają szansę rydwanu, ale poparcie widzów również się liczy. Popularny woźnica może przyciągnąć wiele zakładów, nawet jeśli nie powozi najlepszym rydwanem, a w takim wypadku bukmacherzy muszą ograniczać straty na wypadek, gdyby wygrał. Z drugiej strony za dobry rydwan, który ma szansę wygrać, ale na który nikt nie chce stawiać, będą płacili dużo. Zazwyczaj to mało prawdopodobne – dlaczego rydwan, mający szansę na wygraną, miałby być niepopularny? Ale Orkowie mogą stanowić wyjątek. Nawet jeśli ich rydwan ma jakieś szansę, wątpię, aby stawiali na niego nienawidzący tej rasy Turajczycy. To może być świetna okazja. Mówiąc wprost, może rzeczywiście warto postawić na Orków. Nienawidzę ich nie mniej niż pozostali Turajczycy, ale w takich sprawach człowiek musi być realistą. Z pewnością zwiększa to moją motywację do odnalezienia tego dywanika modlitewnego.

– Sądzę, że jakaś liczba osób z sentymentu wybierze rydwan senatora Mursjusza, ale tylko głupiec postawiłby na niego w starciu z Elfami – ciągnie Drazjusz.

Nie wiedziałem, że rydwan Mursjusza ma brać udział w wyścigu.

– Nie słyszałeś? Jego żona przejęła stajnię.

Ciekawe. Trudno jej za to nie podziwiać. Rydwan Mursjusza jest najlepszy w Turai.

Publiczność byłaby zawiedziona, gdyby nie wystartował. – Przynajmniej teraz wszystko odbędzie się uczciwie – mówi Drazjusz. – Co masz na myśli? – Słyszałem plotki, że Towarzystwo Przyjaciół planowało jakieś oszustwo, ale wątpię, żeby odważyli się na to w tej sytuacji. Wyścig przyciąga zbyt dużo uwagi.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mogliby w ogóle dokonać oszustwa – protestują.

Matactwa, narkotyzowanie koni i różne inne niegodziwe zachowania, mające na celu oszukanie uczciwych hazardzistów takich jak ja, nie są rzadkością podczas spotkań poza miastem, ale na Stadionie Superbuisza są niemożliwe, bowiem znajduje się on pod ścisłą kontrolą. Melusa Bez Skazy, niech ją Bóg błogosławi, czarownica zatrudniona na stadionie, pilnuje, żeby wszystko odbywało się jak należy. Potężna, mądra i nieprzekupna, Melusa jest jedyną osobą w całym mieście, z wyjątkiem Cycleriusza, której ufają wszyscy.

Odkąd zajęła miejsce Astratha Potrójnego Księżyca, nikt nawet nie pisał o żadnym skandalu.

Drazjusz przyznaje mi rację.

– Na pewno sytuacja się polepszyła. Straciłem fortunę, kiedy ten oszust Astrath miał tam utrzymywać porządek. Do diabła z nim.

Astratha Potrójnego Księżyca oskarżono o to, że po otrzymaniu łapówki nie zawiadamiał o użyciu magii podczas wyścigu. Pomagałem mu w obronie. Nie udowodniłem jego niewinności – trudno byłoby to udowodnić, skoro był winny jak diabli – ale tak namieszałem w dowodach, że mógł ustąpić bez sprawy sądowej. Mnie również, tak jak wszystkich, oburzyły oszustwa na stadionie, ale Astrath był moim przyjacielem.

No i nieźle mi zapłacił. Nie wspominam o tym jednak Drazjuszowi.

– Wszystkie wyścigi odbywają się uczciwie, odkąd to stanowisko objęła Melusa. Pomimo to słyszałem, że Towarzystwo coś knuje.

Towarzystwo Przyjaciół opanowało całą północną część miasta. Niewykluczone, że rzeczywiście spróbujajakiegoś oszustwa, chociaż naprawdę nie wyobrażam sobie, jak mogliby zamydlić oczy Melusie Bez Skazy.

Kiedy przychodzi strażnik i zabiera Drazjusza, żegnam go z żalem. – Świetnie dzieliło mi się z tobą celę – mówię mu. – Zapamiętaj moje imię. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, wpadnij do mnie.

Niedługo później prowadzą mnie do pretora Samiliusza. Jak na małe miasto, Turai ma zbyt rozbudowaną biurokrację. Rządzi nami król, ale oprócz niego jest jeszcze cała zgraja urzędników wybieralnych, z których wszyscy walczą o władzę. Drugi po królu jest konsul, za nim wicekonsul, potem czterech pretorów, z których jeden, pretor Samiliusz, jest naczelnikiem Straży Obywatelskiej i ma swoją siedzibę w Pałacu Sprawiedliwości.

Potem jest jeszcze dziesięciu prefektów i cały Senat, który ma im doradzać, a do tego jeszcze potężne grupy nacisku jak Czcigodne Stowarzyszenie Kupców, Czcigodna Federacja Gildii, Prawdziwy Kościół, nie wspominając o armii, Straży Obywatelskiej i Ochronie Pałacowej.

Kiedyś było inaczej. Pięćdziesiąt lat temu mieliśmy króla, kilku urzędników i cały tłum lojalnych obywateli gotowych walczyć za Turai. Byliśmy biedni, ale silni.

Teraz jesteśmy bogaci i słabi. To tylko kwestia czasu, zanim Nioj zetrze nas z powierzchni ziemi.

Jak na turajskiego urzędnika, pretor Samiliusz nie jest bardzo skorumpowany. To twardy facet. Nie ma zbyt wiele współczucia dla mas i słynie ze snobizmu. Jak wielu przedstawicieli wyższych klas, przyjął pewne dekadencje zagraniczne obyczaje, walczyłjednak na wojnie, nie jest więc mięczakiem, pomimo rozmiarów swego brzucha i wałków tłuszczu wokół szyi.

– Czy wy, ludzie z Dwunastu Mórz, nigdy nie obcinacie włosów?

Najwyraźniej chce mnie zirytować na dzień dobry.

– W tym sezonie modne są długie.

Włosy pretora są krótko ostrzyżone, siwe i pięknie utrzymane. Paznokcie ma wymanikiowane i cały pachnie perfumami. Patrzy na mnie z obrzydzeniem.

– Naprawdę powinniśmy ich kąpać, zanim zostaną wprowadzeni do biura – mówi do swego sekretarza.

Potem bierze arkusz papieru i mica go na biurko przede mną.

– Co to jest? – Przyznanie się do winy. Podpisz. Pierwszy dobry dowcip tego dnia. – Do czego mam się przyznać?

Pretor patęy na mnie zmrużonymi oczami.

– Wiesz, do czego.

Milczę. Samiliusz poprawia się na krześle, nadgryza braoskwinię i wrzuca resztę do kosza.

– Nie chcę usięz tobą użerać, Thraxasie. Boipoco? Twoja aura była na nożu, którym zabito senatora Mursjusza. – Kto tak mówi? – Stary Hazjusz Wspaniały.

Jestem wstrząśnięty, ale nie pokazują tego po sobie. Hazjusz Wspaniały, naczelny mag-detektyw Straży Obywatelskiej nigdy się nie myli, a oszukanie go jest prawie niemożliwe. Co gorsza, to uczciwy człowiek. Zachowuję milczenie.

– Nie masz nic do powiedzenia? Nie prosisz o prawnika? Może sądzisz, że wicekonsul pośpieszy ci na ratunek? – Chichocze. – On się w to nie zaangażuje.

Zaszkodziłoby to jego reputacji. Jesteś w drodze na szubienicę, Thnocasie. Nawet Cycleriusz i jego słynny talent krasomówczy nie pomogą ci w sądzie. Nie w takiej sprawie. Nie w sytuacji, kiedy aresztowano cię na miejscu zbrodni, a Hazjusz znalazł na nożu twoją aurę.

Dlaczego nie ułatwisz nam życia i nie podpiszesz przyznania się do winy?

Zachowuję milczenie.

– No dobrze – mówi pretor.

Później demonstracyjnie podpisuje jakieś urzędowe dokumenty i informuje mnie, że mam się zjawić w sądzie jako podejrzany o zamordowanie senatora Mursjusza. Będę przetrzymywany w areszcie aż do rozprawy, kiedy to przedstawione mi zostaną zarzuty.

Gwardziści prowadzą mnie z powrotem do celi. Taki obrót sprawy niezbyt mi się podoba.

Wierzyłem, że Cyceriusz mnie z tego wyciągnie, ale Samiliusz ma rację.

Niezależnie od tego, jak bardzo wicekonsulowi potrzebne są moje usługi, nie przyjdzie mi z pomocą, jeśli będzie przekonany, że zabiłem Mursjusza. Za bardzo by mu to zaszkodziło w karierze.

Nic z tego nie rozumiem. Hazjusz twierdzi, że na nożu była moja aura. Jak to możliwe? Naprawdę dobry mag potrafi podrobić aurę, wprowadzie tylko do pewnego stopnia, ale to trudne zadanie, a poza tym Hazjusza nie da się oszukać. Chociaż ma już sto lat, w takich sprawach nadal jest chytry jak simnijski lis. Gdyby ktoś ukradł mi nóż i zabił nim Mursjusza, na nożu pozostałaby moja aura, ale i aura mordercy. Hazjusz znalazł tylko moją.

Przysięgli wydadzą na mnie wyrok na podstawie takich dowodów. Sam bym się skazał, gdybym był przysięgłym.

W całym Pałacu Sprawiedliwości rozlega się wezwanie do modlitwy. Klękam i modlę się, bo chyba powinienem tak zrobić. Kiedy kończę, drzwi się otwierają.

– Wicekonsul Cyceriusz i rządowy mag Kemlath Zabójca Orków z wizytą do Thraxasa – krzyczy strażnik i wypina pierś, stając na baczność.

Zrywam się na równe nogi.

– Kemlath! Ależ się cieszę, że cię widzę. I pana, panie wicekonsulu.

Cyceriusz patrzy na mnie surowo. – Nie potrafisz umknąć więzienia przez czas dłuższy niż jeden dzień? Nie przyszedłbym, gdyby Kemlath mnie nie przekonał. Jak mocne są dowody przeciwko tobie? – Wręcz niepodważalne – przyznaję. – Byłem na miejscu, kiedy zabito Mursjusza, a teraz Hazjusz Wspaniały twierdzi, że znalazł moją aurę na narzędziu zbrodni. – Co masz do powiedzenia w swojej obronie? – Nie zrobiłem tego. – To wszystko? – Co jeszcze mogę powiedzieć? – To zależy od tego, jak bardzo chcesz uniknąć stryczka. Cała ta sytuacja jest dla mnie bardzo niewygodna, Thraxasie. Jesteś mi potrzebny, bo trzeba znaleźć ten dywanik. – Cieszę się na samą myśl o tej robocie. Ale co mogę zrobić, kiedy Rycjusz i jego paczka dybią na moją głowę? – Twierdzisz, że to Rycjusz sfalszował

te dowody? – Ktoś musiał to zrobić. – Jestem tego pewien – potwierdza Kemlath Zabójca Orków. – Dlatego właśnie namówiłem Cyceriusza, aby tu przyszedł. Stary żołnierz, taki jak Thraxas, nie zamordowałby przecież swego dawnego dowódcy. Kto wie, co się stało z tymi dowodami?

Cyceriusz najwyraźniej ma pewne wątpliwości. Jako wicekonsul nie może sobie pozwolić na to, aby nieustannie pociągać za sznurki dla uwolnienia z więzienia człowieka, który potem okazuje się mordercą turajskiego bohatera wojennego. To by było polityczne samobójstwo. Z drugiej strony liczy na to, że znajdzie ten dywanik modlitewny.

– Biorąc pod uwagę opinią Kemlatha Zabójcy Orków, że dowody przeciwko tobie mogły zostać sfabrykowane, jestem gotów raz jeszcze wykorzystać swoje wpływy w twojej sprawie. Nakażę pretorowi Samiliuszowi, aby cię uwolnił.

Dziękuję mu wylewnie. Macha ręką.

– Tym razem spróbuj unikać kłopotów. Później zwraca się do Kemlatha:

– Bądź tak uprzejmy i przekaz mi swoje wnioski, kiedy tylko stanie się to możliwe.

Ważne jest, żebyś szybko coś znalazł. Przy tak mocnych dowodach nie będę w stanie długo utrzymać Thraxasa na wolności.

Pretor Samiliusz jest wściekły jak Troll, którego boli ząb. – Jeśli spróbujesz uciec z miasta, każę cię rozsiekać przy bramie.

Zgodnie z tradycją procesy w sprawie o morderstwo nie mogą się odbywać podczas pory deszczowej ani w czasie świąt. Ale gdy tylko deszcze się skończą, minie święto Turasa i festiwal Złączenia Trzech Księżyców, muszę się stawić w sądzie. – Cyceriusz nie będzie cię zawsze ochraniał. – Samiliuszu – odpowiadam z godnością. – Nie potrzebuję Cyceriusza, aby mnie chronił przed tobą. Jako pretor radzisz sobie jak eunuch w burdelu, a poza tym jesteś głupi jak Ork. Możesz się ze mną skontaktować w każdej chwili. A teraz do widzenia.

Kemlath wita mnie przed Pałacem Sprawiedliwości. Otulając się płaszczem dostrzega, że jestem zupełnie suchy. – Używasz zaklęcia, żeby nie moknąć? – To jedyne zaklęcie, jakim w tej chwili dysponuję. – Jedyne? Nie masz ze sobą jeszcze

paru innych, aby sobie pomóc w pracy? Kilka zaklęć bojowych i może jeszcze jakieś do czytania ukrytych dokumentów?

Przyznaję, że obecnie biorę ze sobą najwyżej jedno czy dwa.

– Całe swoje umiejętności wykorzystują do ochrony przed deszczem. Zazwyczaj nie zdradzam, jak mizerne są czary, których potrafię używać. Jak sądzisz, w jaki sposób moja aura dostała się na ten nóż?

Kemlath nie ma pewności. Doskonale zdaje sobie sprawę, że Hazjusza Wspaniałego niełatwo oszukać.

– Istnieją jednak pewne sposoby. Popracuję nad tym i zobaczę, na co wpadnę.

Tymczasem lepiej opowiedz mi wszystko. Może się domyśle, kto cię zaatakował.

Jestem wdzięczny Kemlathowi. Walczyliśmy razem, ale to było dawno temu i nic nie jest mi winien.

W Thamlinie, inaczej niż w Dwunastu Morzach, zawsze jest mnóstwo powozów do wynajęcia, ale woźnice niechętnie biorą pasażerów, którzy tam się udają.

– Do najbliższego baru – polecam woźnicy. – A potem do Królewskiej Biblioteki.

Kemlath jest zaskoczony. – Masz zamiar czytać? – Nie, mówić.

Woźnica zatrzymuje się przed elegancką restauracją u podnóża zalesionego zbocza pomiędzy terenami pałacu a Thamlinem Goście – wyżsi rangą pałacowi służący, urzędnicy, kilku senatorów ze swymi sekretarzami, nawet jacyś magowie – siedzą sącząc wino, oddzieleni przepierzeniami zapewniającymi intymność. Wkraczam do środka, łapię kelnerkę, każę sobie przynieść największy dzban piwa. Proszę też, aby robiła to dopóty, dopóki nie oznajmię, że mam dość.

– Daj mi też coś do jedzenia – dodaję.

Pożywiałem się tu, kiedy pracowałem w pałacu. Mieli wtedy dobrego szefa kuchni; mam nadzieję, że nadal pracuje. Kelnerka wręcza mi menu.

– Przynieś wszystko. I więcej chleba. – Jeden sposób na sfalszowanie aury... – zaczyna Kemlath. Gestem proszę go o ciszę. – Jestem zbyt głodny. Zaczekaj.

Opróżniam dzban jednym haustem, podnoszę do ust następny i daję znak barmanowi, aby przyniósł jeszcze jeden. Pojawiają się pierwsze dania, chleb i

jakieś wyszukane rybne zakąski. Nie mogę nabierać wystarczająco dużych porcji za pomocą małej łyżeczki, którą mi podali, jem więc palcami, pomagając sobie kromką chleba.

– Więcej piwa – mówię kelnerce, zanim odejdzie. – Szybko. Przynieś też następne dania.

Uśmiecha się. Obsługa z pewnością ceni sobie gościa z dobiym apetytem. Wewnątrz restauracji jest chłodno i przyjemnie. Od wielu tygodni nie było mi tak dobrze.

Kelnerka podtacza stolik na kółkach z sześcioma głównymi daniami i dużym wyborem przystawek.

Spogląda na mnie pytająco.

– Po prostu zostaw stolik – mówię. – I przynieś mi następne piwo. Nie macie większych dzbanków?

Kemlath przygląda się ze zdumieniem, jak pochłaniam zawartość półmisków. Sam sączy tylko wino i skubie niedużą porcję pieczeni.

– Muszę uważać na żołądek – wyjaśnia.

Oto nędza magii. Nawet nie zagwarantuje człowiekowi dobrego apetytu i dobrego trawienia. – Przynieś panu coś jeszcze? – pyta kelnerka. Mówię, żeby podstawiła kolejny stolik pełen głównych dań. – Ale nakładźcie ich więcej. I po jednej porcji każdego deseru oraz dużo chleba.

Przyniosłaś mi piwo? Lepiej biegnij po następne.

Rozpinam pas i miecz spada z trzaskiem na podłogę. Pozwalam mu tam leżeć i jem dalej. Jakiś czas później znów czuję się człowiekiem.

– Więcej piwa – polecam kelnerce.

Dostrzegam, że jakiś kuchcik patrzy na mnie z kuchni ze zdumieniem i podziwem.

– Pewnie już dawno nie mieli tutaj gościa z apetytem – mruczę do Kemlatha i zabieram się za bogaty zestaw deserów.

Później, kiedy wypijam kolejne piwo i kończę jakieś resztki, przy naszym stole pojawia się szef kuchni.

– Thraxas! – woła, machając rękami z radości. – Powinienem był się domyślić, że to ty!

Tęsknimy za tobą.

Na zewnątrz kierowca powozu jest mokry jak koc Syreny i przygnębiony jak dziwka z Nioj. Woźnice landusów znani są z przykrego usposobienia. – Do biblioteki – rzucam. – Nigdy nie widziałem człowieka z takim apetytem – mówi Kemlath Zabójca Orków z podziwem, kiedy odjeżdżamy. – Potrzebuję dużo paliwa. Czekam na poważne śledztwo. A mając na względzie to, jak często ostatnio ląduję w więzieniu, nigdy nie wiem, kiedy zjem następny posiłek.

Pociągam łyk piwa z dzbanka, który zabrałem ze sobą. Muszę je skończyć, zanim wejdziemy do wnętrza. Wiem z doświadczenia, że bibliotekarze robią się nerwowi, kiedy ktoś zbliża się z piwem do ich ksiąg i manuskryptów. – Z kim się spotykasz? – pyta Kemlath, kiedy przed nami pojawia się wielki marmurowy budynek biblioteki. – Z Makri. – Z tą pogromczynią Orków? Ona potrafi czytać? – Oczywiście, że tak. I nie pozwól, żeby się dowiedziała o twoich wątpliwościach. Makri to początkująca intelektualistka bywa bardzo nieprzyjemna wobec mężczyzn, którzy jej z tego powodu dokuczają. Oprócz mnie, ale w końcu to ja nauczyłem ją, jak przetrwać w tym mieście. – Dlaczego chcesz się z nią teraz spotkać? – Bo jest bystra. Zamierzam powiedzieć, co się stało i spytać, co o tym myśli.

Mam też dla niej dobre wieści.

O tej porze Makri zazwyczaj się uczy. Nietrudno zgadnąć, że personel biblioteki był nieco zaskoczony, kiedy młoda kobieta, mająca w żyłach krew Orków, zaczęła prosić o książki o filozofii i retoryce. Ponieważ jednak do biblioteki należą wszyscy uczniowie Kolegium Gildii, musieli ją wpuścić. Teraz, kiedy już się do niej przyzwyczaili, witają ją z przyjemnością. Powód jest zresztą ten sam, dla jakiego szef kuchni radośnie wita mnie: lubią tych, którzy doceniają ich pracę.

Zostawiam Kemiatha w powozie i umawiam się z nim, że spotkamy się za godzinę „Pod Mściwym Toporem”. Wielka Królewska Biblioteka składa się z dwóch obszernych skrzydeł i masywnej centralnej kopuły, i zawiera najwspanialszą

kolekcję książek na całym zachodzie. – Proszę zostawić mokry płaszcz w szatni – poucza mnie woźny. – Jest zupełnie suchy – pokazuję.

To robi wrażenie. Wszyscy w mieście są przemoczeni do nitki, a ja chodzę sobie suchutki i zadowolony. Co za wspaniałe zakłęcie!

Kieruję się w stronę obszernego działu filozofii, ulokowanego pod mniejszą kopułą na tyłach. Wszędzie widzę tysiące ksiąg i manuskryptów. W niszach stoją niewielkie popiersia królów, świętych i bohaterów, sufit zaś ozdabia wspaniały fresk przedstawiający świętego Kwatyniusza przepędzającego Orków, pędzla wielkiego Usaxa, największego turajskiego artysty, który twoił w poprzednim stuleciu. Sporo kultury, jak na jeden budynek. Makri się tutaj podoba. Ja sam nigdy nie odwiedzałem tego miejsca, zanim ona nie przybyła do miasta.

Dlatego właśnie wybrała Turai. Obfitość kultury. Mówiono jej też, że częste są tutaj bójkę. Potwierdziło się to w obu sprawach. Makri oświadcza jednak, iż nie spodziewała się, że jesteśmy aż tak zdegenerowani. Z drugiej strony jednak nie oczekiwała, że będzie mogła zarobić na swojej figurze. W czasach, gdy była gladiatorką nie wiedziała, jaka jest zgrabna.

Orkom nie podobają się ludzkie kobiety, więc nikt jej tego nie powiedział.

Znajduję japochniętą studiowaniem jakiegoś starego zwoju. Spogląda na mnie podejrzliwie. – Masz gdzieś schowane piwo? – Oczywiście, że nie. – Ostatnim razem miałeś. Bibliotekarz bardzo się zirytował. – Nie tym razem. – To nieładnie z twojej strony, wiesz o tym, Thraxasie? Muszę tu przychodzić, żeby się uczyć. Nie było mi łatwo, sam o tym dobrze wiesz. Ostatnią rzeczą, o jakiej maizę, są odwiedziny pijaka, który rozlewa piwo na manuskrypty. – Na Boga, Makri, właśnie wydostałem się z więzienia. Oskarżono mnie o morderstwo. Nie mogłaś znaleźć jakiejś lepszej chwili na ten wykład o pijaństwie? Zresztą mam dla ciebie dobre wieści.

Podchodzi do nas odziany w togę bibliotekarz, który każe mi być cicho i nie przeszkadzać innym. Makri rzuca mi paskudne spojrzenie, a potem wstaje i gestem zaprasza do małego pomieszczenia, gdzie możemy porozmawiać.

– Jakie dobre wieści?

– Miecz Zemsty wygrał.

Makri wydaje okrzyk radości i tańczy wokół stołu. Jestem z siebie zadowolony.

– Widzisz? Nie mówiłem, że potrafię typować zwycięzców? Dla człowieka tak utalentowanego, mam na myśli siebie, to łatwe jak przekupienie senatora. No dobra, zdarzają mi się czasem złe dni, ale jeśli chcesz znaleźć eksperta, który pomoże ci przy hazardzie, Thraxas jest tym, którego szukasz.

Makri podlicza wygraną. – Dwadzieścia siedem guranów. A już mam osiemnaście – chociaż winna ci jestem dziesięć – czyli razem trzydzieści pięć. Czy wyścigu w Juval nie odwołali? – To za parę dni. Jeśli możesz wpaść do Moxa po spis, przejrzę go dziś wieczorem. – Spis zawsze moknie, kiedy wracam od Moxa – mówi Makri sprytnie. – Pożycz mi swój magiczny płaszcz przeciwdeszczowy.

Wręczam go jej z westchnieniem. – Świetne zaklęcie – mówi Makri i owija się czarodziejską tkaniną. – A co słyhać w sprawie morderstwa?

Potem wysłuchuje mojej opowieści o ostatnich wydarzeniach. – Nadal nie wiem nic o Lisoxie, facecie, który chciał zabić Sariję. Kapitan Ralee mówi, że pracował dla Gliksjusza Pogromcy Smoków. Pamiętasz go? – Jasne. Na pewno on za tym wszystkim stoi – mówi Makri. – Nie lubi cię i jest magiem. – Być może. To świetny wojownik, ale nie jestem pewien, czy jest też wystarczająco potężnym czarownikiem, aby oszukać Hazjusza Wspaniałego w sprawie narzędzia zbrodni.

No cóż, może zrobił postępy. Oczywiście jest podejrzanym numer jeden. – Naprawdę masz kłopoty? – pyta Makri. – TaL Gwardziści z zasady pocfejraewająmnie o każde przestęstwo, jeśli nie znajdą nikogo lepszego, ale tym razem ktoś rzeczywiście mnie wystawił. Nawet Cyceriusz ma wątpliwości. Jeśli wkrótce nie rozwiążę sprawy, będę w poważnych tarapatach.

Nie mogę się połapać, czy to wszystko jest związane z morderstwem, czy też jest to kolejna kampania Rycjusza, który chce mnie pogrążyć.

Makri chce wiedzieć, czy znalazłem jakiś trop. Przyznaję, że nie. Po rozmowie z Carilis nie posunąłem się naprzód. Sądzę, że następny krok to rozmowa z Sariją. – Pewnie znów będzie naszpikowana dwa. Dobija mnie, kiedy muszę wyciągać sensowne odpowiedzi od narkomanów. – Może teraz, gdy wzięła na siebie

odpowiedzialność za wystawienie rydwanu Mursjusza w wyścigu ku czci Turasa, przestanie brać tak dużo.

Słowa Makri zaskakują mnie. – Skąd o tym wiesz? – Całe miasto o tym mówi. Studenci w szkole nie rozmawiają niczym innym.

Wszyscy myślą o tym wyścigu, o Elfach i Orkach. Czy rydwan Sariji ma szansę wygrać? – Absolutnie nie. Nie chciałaś chyba na niego postawić, co? – Może. – Postaw na Elfy. No, chyba że rydwan Orków okaże się lepszy niż sądzimy. To znaczy, jeśli w ogóle wystąpi. Nie znalazłem jeszcze tego dywanika. Mam nadzieję, że Cyceriusz przekona jakiegoś czarownika, żeby go poszukał. A tak w ogóle, jak Orkowie radzą sobie z rydwanami wyścigowymi? Na wojnie wydawali się dobrzy. – Są dobrzy – mówi Makri. – Niektórzy z nich świetnie obchodzą się też z końmi.

Nie byłabym zaskoczona, gdyby Rezaz Rzeźnik przywiózł do Turai jakiegoś mistrza.

Dostrzegam, że pomimo nienawiści do Orków nawet Makri zaraziła się gorączką wyścigów. Przed odejściem pytam, czy przychodzą jej do głowy jakieś sugestie, jak mógłbym znaleźć ten dywanik modlitewny. Nie przychodzą.

Odwiedzam swego przyjaciela Astratha Potrójnego Księżyca, ale i to spotkanie jest bezowocne. Mag nie potrafi mi nic powiedzieć o filizance, przyniesionej przez Kerka.

– Została oczyszczona.

Ostatnio każda rzecz, o której muszę się czegoś dowiedzieć, zostaje magicznie spreparowana. Przekłęci magowie.

Pytam Astratha, czy potrafiłby spojrzeć w przeszłość i dowiedzieć się czegoś o trzech Orkach, których spotkałem w Ferias, ale i to mu się nie udaje.

– Ktokolwiek oczyścił ten teren, jest zbyt potężny jak dla mnie, Thraxasie – wyjaśnia.

Minę ma ponurą, bo musi siedzieć w mieście razem z nami wszystkimi, zamiast mieć przyjemną willę w Thamlinie, gdzie mógłby się schronić jak inni czarownicy. – Jak wiele magowie z Turai wiedzą o Orkach? Szczególnie o ich religii? –

Orkowie mają religię? – dziwi się Astrath. – Być może. No wiesz, świątynie, biskupów, te rzeczy. I dywaniki modlitewne.

Astrath chichocze.

– Wątpię. Są zbyt dzicy, aby marnować czas na modlitwę.

Wygląda na to, że nawet magowie nie znają orkijskich obyczajów religijnych. A jednak ktoś w mieście musi je znać. Skoro wiedział o nich wystarczająco dużo, aby ukraść ten dywanik.

W Dwunastu Morzach nadal panuje paskudna atmosfera. Straż Obywatelska spacyfikowała teren, ale wszędzie wyczuwa się ponury sprzeciw. Pijacy „Pod Mściwym Toporem” rzucają przekleństwa na głowę króla i konsula.

– Nie po to ryzykowałem życiem walcząc z Olkami, żeby teraz mogli wystawiać rydwany w wyścigu ku czci Turasa – warczy stary szewc Paraks, a jego kumple potakują ze złością.

Nie przypominam sobie, żeby Parax wówczas ryzykował życiem – o ile pamiętam, spędził wojnę ukryty na strychu u swojej matki – ale szewc zaraził się atmosferą panującą „Pod Mściwym Toporem”. Gurd jest zdezorientowany. Jako barbarzyńca nigdy nie pojmował wysokiej strategii i jest upartym zwolennikiem zasady zabijania Orków, kiedy się tylko pokażą.

– Może po prostu wciągamy Rezaza w zasadzkę – mówi z nadzieją.

Makii wbija się w bikini, ale nastrój, jaki zapanował w tawernie, jest zbyt ponury, aby chciano dawać jej napiwki. Goście po kolei pojawiają się w drzwiach, przeklinają deszcz, przeklinają Orków i siadają, ponuro zadumani, nad dzbanami piwa. Nawet kiedy Makri stosuje swoją taktykę na specjalne okazje, polegającą na usunięciu z bikini kilku kółek, dzięki czemu staje się ono tak małe, że równie dobrze mogłaby biegać na golasa, nie daje to żadnych rezultatów.

– Królewski skarbiec zapewne skorzysta na tych kopalniach miedzi, ale mnie one rujną dochody – skarży się, z rozmachem stawiając kilka piw na stole, wokół którego siedzą pracownicy portowi. Ci ledwie na nią zerkają i znów zaczynają mamrotać między sobą.

Kilka osób pyta o moje poszukiwania zabójcy Marsjusza. Wiedzą, że gwardziści podejrzewają właśnie mnie, ale przynajmniej tu, „Pod Mściwym Toporem”, nikt nie uważa mnie za mordercę. Mówię wszystkim, że śledztwo posuwa się naprzód.

– Mursjusz wiedział, jak traktować Orków – oznajmia Parax. – Pozrzucić ich z murów – oto, co należy zrobić z Orkami!

Zrywa się na nogi i wali pięściami w stół. – Zabiłbym każdego, kto pomaga Orkom! – ryczy. – Staniemy się bardzo popularni, kiedy wieść się rozniesie – szepcze Makii, przechodząc obok mnie.

Zjawia się Kemlath. Jego wspaniałe tęczowe płaszcz wywołuje sensację, bowiem do tawerny „Pod Mściwym Toporem” nie przychodzi zbyt wielu znakomitych magów.

Potęźnie zbudowany, śmiejący się jowialnie, obwieszony złotymi naszyjnikami, Kemlath bardzo rzuca się w oczy. Sama biżuteria wystarczyłaby, żeby przyciągnąć uwagę, bo normalnie nikt nie jest na tyle głupi, aby chodzić po Dwunastu Morzach w tak cennych ozdobach. Kemlath oczywiście jest zupełnie bezpieczny. Nikt nie będzie próbował obrabować maga.

Nawet narkoman nie jest na tyle otumaniony, żeby coś takiego zrobić. Zasady Gildii Magów pozwalają jej członkom bronić się przed atakami z taką siłą, jakiej wymaga sytuacja, a wściekły mag mógłby akurat uznać, że sytuacja wymaga usmażenia napastnika na skwarę.

Kemlath przyszedł, aby usłyszeć pełną wersję ostatnich wydarzeń i po to, żeby zobaczyć, co mógłby odkryć za pomocą magii.

– Dobra tawerna – mówi, kiedy prowadzę go na piętro. – Czujesz spaleniznę?

Czuję. Korytarz jest pełen dymu, który wydobywa się spod drzwi mego biura.

Wpadam do środka – pali się moje biurko. Moje biurko?!

Biegnę po wiadro ustawione pod zlewem, aby zalać ogień. Wiadro jest puste. Przez ostatnich kilka dni nie przynosiłem wody do mycia. Nie było potrzeby, ze względu na deszcz.

– Ja to załatwię – mówi Kemlath i wypowiada jakieś magiczne słowo. Ogień natychmiast gaśnie. Kolejny raz żałuję, że nie nauczyłem się więcej, kiedy byłem

czeladnikiem. Otwieram zewnętrzne drzwi i dym powoli ulatnia się z pokoju; miesza się z parą, która unosi się nad ulicą, rozgrzaną przez słońce podczas chwilowej przerwy w deszczu.

Na blacie dostrzegam patykowate, poczerniałe litery. „Nie próbuj szukać tych dzieł sztuki” – czytam.

Patrzę na napis. Dość dziwne ostrzeżenie. – Niełatwo jest przesłać płonąca wiadomość – rozmyśla na głos Kemlath Zabójca Orków. – To musi być jakiś potężny mag. Albo czarownica. – No cóż, on lub ona przeżyją nieprzyjemny wstrząs, kiedy ich odnajdę – warczę. – Nikt bezkarnie nie pali mojego biurka. „Nie próbuj szukać tych dzieł sztuki” – akurat! Znajdę je i wepchnę mu do gardła.

Kemlath rozgląda się i sprawdza, czy nie znajdzie jakiejś wskazówki, skąd przyszedł atak. Czy mógłby to zrobić Gliksjusz Pogromca Smoków? Jeśli tak, jest o wiele potężniejszy niż kiedyś. Makii mówi, że w zeszłym tygodniu widziała go w bibliotece. Może się uczył.

Dym się ulatnia. Wypijam nieco klee i zauważam z niezadowoleniem, że to moja ostatnia butelka. Zostało mi niewiele pieniędzy, a co chwila czyhają na mnie groźby, ataki, aresztowania i ogólnie upierdliwości. W żadnym kierunku nie posunąłem się zbyt daleko, a Sarija przysłała mi listy z pytaniem, co robię aby odnaleźć mordercę Mursjusza.

Odpowiadam, że robię, co mogę. A to oznacza, że powinienem wziąć się do roboty.

12

Niestety, przez cały następny tydzień niewiele udaje mi się osiągnąć. Nadal leje deszcz, ulice zmieniają się w rzeki błota, a ja co i raz zapędzam się w ślepy zaułek. Pada już od dwudziestu dwóch dni, a ja nie jestem bliżej ani odnalezienia mordercy Mursjusza, ani dywanika modlitewnego Orków. Cyceriusz ciągle chce wiedzieć, kiedy wreszcie coś odkryję, a mnie szybko zaczyna brakować wymówek.

Pytałem przedstawicieli wszystkich możliwych grup ludności w Turai, co wiedzą o religii Orków. Okazuje się, że zupełnie nic. Czcigodne Stowarzyszenie Kupców,

magowie, Straż Obywatelska, Bractwo, Cech Przewoźników, Prawdziwy Kościół, złotnicy – nikt w Turai nie wie o Orkach wystarczająco dużo nawet żeby się domyślić, czy wyznają oni jakąś religię, nie mówiąc już o celowej kradzieży dywanika modlitewnego. Zaczynam się zastanawiać, czy to nie był po prostu zbieg okoliczności. Może ktoś zabrał dywanik, żeby sobie nie zamoczyć stóp. Ponadto zadawanie takich pytań psuje mi reputację, bo mieszkańcy miasta są obecnie bardzo wrażliwi na punkcie Orków.

Nie miotałbym się teraz tak bezyżytecznie, gdyby Cyceriusz mógł mi powiedzieć coś przydatnego, ale on też nic nie wie. W willi księcia nie widziano nikogo, kogo nie powinno tam być. A kiedy stary Hazjusz Wspaniały zabiera się wreszcie do zbadania miejsca, gdzie dokonano kradzieży, niczego nie potrafi odkryć. – Jak to jest, że ci magowie nigdy niczego nie potrafią odkryć? – skarżę się Makri. – To cholerne miasto aż roi się od czarowników, a jednak za każdym razem, kiedy popełnione zostaje przestępstwo i przydałaby mi się ich pomoc, nic nie mogą zrobić. Albo księżyce są w niewłaściwej koniunkcji, albo cały teren został w tajemniczy sposób oczyszczony.

Czy ma sens posiadanie tylu magów, skoro jedyną rzeczą, jaką umieją, jest sporządzanie horoskopów dla pokojówek? Ale kiedy to ja zostaję oskarżony, nagle odzyskują czarodziejską moc. Wtedy słyszymy: „Znaleźliśmy aurę Thraxasa na nożu, więc wsadźmy go do pierdła”. Mówię ci, Makri, oni są zupełnie do niczego. Przeklęci magowie. Nienawidzę ich. – A Kemlath?

Przyznaję, że nie czuję nienawiści do Kemlatha. Ten przynajmniej próbuje mi pomóc.

To znaczy kręci się w pobliżu, chociaż podejrzewam, że chodzi o coś więcej, niż tylko wspieranie mnie.

– Myślę, że on podkochuje się w Sariji – mówię. – W Sariji? Przecież ona jest z niższej klasy społecznej. Czy on nie patrzy na nią z góry? Tylko proszę, nie zrób z tego jednego ze swoich pieprzonych dowcipów. – Kto wie? Magowie nie są tak zacofani w tych sprawach, jak inni arystokraci.

AKemlath pochodzi z dalekiego zachodu, podobnie jak Astrath. Niewątpliwie spędza z nią dużo czasu. TWierdzi, że pomaga jej uwolnić się od nałogu.

Makri przyznaje, że to chyba działa. – Ale być może dlatego, że przez ciebie uzależniła się od piwa. – To znacznie zdrowsze. Piwo wzmacnia. A Sarija będzie potrzebowała energii, jeśli chce wystawić Szturm na Cytadelę w wyścigu ku czci Turasa.

Ponuro wyglądam przez okno. Pomimo magicznego płaszcza trudno mi się zmusić, aby znowu wyjść na deszcz. Wczoraj akwedukt, który doprowadza wodę do Dwunastu Mórz zawalił się pod jej ciężarem. Pracownicy wysłani przez lokalny oddział Czcigodnej Federacji Gildii męczą się teraz przy naprawach. Cechy oskarżają prefekta Driniusza o to, że nie dopilnował konserwacji. Prefekt z kolei oskarża gildie o domaganie się zawyżonych opłat dla pracowników. Obie strony grożą strajkami i sądem. Podczas gorącej pory deszczowej takie wydarzenia to normalka. Zwiększają tylko ogólny marazm.

Paser Kerka twierdzi, że nie wie nic o filizance. Nie ma żadnych innych dzieł sztuki i nie chce się nawet przyznać, że filizanka pochodzi z jego sklepu. Sklep ten znajduje się pod ochroną Bractwa, więc pogroźki nic tu nie pomogą. Proszę Kerka, aby mnie poinformował, jeśli coś jeszcze pojawi się na rynku.

Ani Astrath, ani Kemlath nie zdołali odkryć żadnych śladów na filizance, a ja nie posunąłem się dalej w sprawie morderstwa Mursjusza. Chociaż Sarijajestmojąklientkająteż sprawdziłem, zasięgnąłem także języka co do Carilis, ale nie znalazłem niczego, co mogłoby mi się przydać. Wypytywanie służących, krewnych, miejscowych sklepikarzy i różnych innych osób nie dało odpowiedzi na pytanie, czy Carilis miała romans z senatorem Mursjuszem. Niektórzy sądzą, iż to możliwe, inni, że nie. Nikt nic nie wie na pewno. A nawet jeśli romansowali, co z tego? Nie ma nic niezwykłego w tym, że senator spotyka się z jakąś kobietą. Jeśli ta kobieta jest młoda, atrakcyjna i opiekuje się jego wyniszczoną przez dwa żoną, miłostka staje się całkiem prawdopodobna, ale nie wygląda na powód do morderstwa.

Jeżeli nawet Sarija czuła zazdrość, wątpię, czy byłaby w stanie utrzymać się na nogach wystarczająco długo, aby dokonać zbrodni.

Carilis ukrywa się i odmawia rozmowy ze mną. Nie chce mi powiedzieć, skąd wiedziała, gdzie były dzieła sztuki. Myślę, że się boi.

Nie mam pojęcia, dlaczego Mursjusz znalazł się w tym magazynie. Nikt nie zauważył, żeby zachowywał się dziwnie, a jego osobisty służący nie wie, co senator robił tamtego dnia.

– Senator dał mi wolne – wyjaśnia. To bardzo wygodne dla niego, ale nie dla mnie.

Jevoks donosi, że Straż Obywatelska nadal uważa mnie za winnego. Strażnicy, naciskani przez Rycjusza i Samiliusza, prowadzą własne śledztwo, próbując zdobyć kolejne dowody, aby mnie przygwoździć. Nic nowego jednak nie znaleźli. To daje Wiarygodnej Kronice powód do narzekań, chociaż najwięcej miejsca zajmuje w niej ostatnio marudzenie z powodu zbliżającego się przybycia orkijskiego rydwanu. Miasto nadal kipi.

Prawdziwy Kościół jest szczególnie wzburzony, a jego pontyfikcy podburzają przeciwko Orkom ze swoich ambon. Nawet arcybiskup Kseriusz, zdecydowany poplecznik króla, prywatnie daje do zrozumienia, że nie jest zachwycony.

Odkrywam jednak interesujący fakt. Bankier Drazjusz to nie jedyna osoba, która słyszała plotkę, jakoby Towarzystwo Przyjaciół planowało jakieś oszustwo w wyścigu ku czci Turasa. Informacja taka rozeszła się w gronie turajskich hazardzistów. To niczego nie dowodzi – podobne plotki są częste wśród ogarniętych paranoją graczy – ale sprawa jest ciekawa, choćby tylko ze względu na powiązania, jakie ma z Towarzystwem Gliksjusz Pogromca Smoków. Osobnik o takich talentach czarnoksiężskich na pewno zostałby wciągnięty w spisek. Otrzymałem dwa następne magiczne ostrzeżenia, najprawdopodobniej od Gliksjusza, więc teraz interesuje mnie wszystko, co on robi.

Myślę o wyścigu ku czci Turasa. Chociaż senator Mursjusz wiedział, że Elfy wezmą w nim udział, radził mi, abym postawił na Szturm na Cytadelę. Skąd taka pewność siebie?

Czy to możliwe, że on też był zamieszany w spisek? Czy Towarzystwo Przyjaciół zamierzało umożliwić jego rydwanowi wygraną? Wątpię, ale nie mogę tej ewentualności pominąć. Nie mogę też pominąć innego przypuszczenia – że Mursjusz po prostu natknął się na ludzi Towarzystwa i został przez nich zamordowany, aby ich nie wydać. Nic jednak na to nie wskazuje.

Siedzę w tawernie nad dzbanem piwa.

Makri, chociaż skończyła już zmianę, przynosi mi następny i dostrzega, że moja twarz nie rozjaśnia się na ten widok. – Żadnych postępów? – Żadnych. – Czy mogę pożyczyć magiczny płaszcz, kiedy będę dziś szła do szkoły? – Dobrze. – Naprawdę? – Nie jest mi potrzebny. Przeprowadziłem śledztwo i nic nie znalazłem. Będę teraz siedział tu i pił, dopóki nie przyjdzie pretor Samiliusz, żeby mnie zaarrestować za morderstwo. – Kiedy przyjdzie? – Zapewne na chwilę przedtem, jak Gliksjusz spróbuje mnie zamordować w jakiś magiczny sposób. – Rozchmurz się, Thraxasie – mówi Makri. – Nie ma powodu, żebyś siedział tu ponury jak niojska dziwka. – Świetnie – odpowiadam. – Znakomicie podniosłaś mnie na duchu. Jestem teraz szczęśliwy jak pijany najemnik. – Nie złość się na mnie – prosi Makri.

Makri łatwo się ostatnio irytuje. Nieustanna ulewa, stres związany ze studiami i liczba godzin, które musi przepracować, męczą ją. Nadal też nie zebrała sześćdziesięciu guranów, które obiecała Minarixie. Wyścigi w Juval dobiegły końca, zanim znaleźliśmy rydwan, na który warto by postawić. Makri poprosiła Gurda o pożyczkę, ale jemu ostatnio też źle się powiodło. W dodatku musiał jeszcze zapłacić za naprawę dachu, który zaczął przeciekać podczas zeszłotygodniowych burz. Tak przynajmniej twierdzi – chociaż podejrzewam, że Gurd po prostu nie chce pożyczać pieniędzy na rzecz Ligi Kobiet Wyzwolonych. W barbarzyńskich krainach na północy, skąd pochodzi Gurd, kobiety mają niższy status niż konie, i trudno mu się przyzwyczaić do naszych bardziej cywilizowanych zwyczajów.

Dla Makri jedyną nadzieją na zebranie pieniędzy w terminie są kolejne wyścigi odbywające się w Simni, dalej na południe. Prawdę mówiąc, sześćdziesiąt guranów

nie pomoże zbyt Lidze Kobiet Wyzwolonych. Chcą wstąpić do Czcigodnej Federacji Gildii, ale natrafiły na trudności. Potrzebują pieniędzy, aby przekupić pretora zajmującego się sprawami cechów, i muszą zebrać je szybko, bo inaczej cały proces zostanie wstrzymany na rok. Członkinie tutejszego oddziału chodziły po całej dzielnicy z puszkami na datki, ale ich wysiłki nie na wiele się zdały. Może bogatym kobietom w Thamlinie idzie lepiej.

Członkinią Ligi jest Lisutaris, Kochanka Niebios. To bardzo potężna czarownica. – Poproś Lisutaris, aby ci wyczarowała trochę pieniędzy – proponuję Makri. – Czy ona potrafi zrobić coś takiego? – pyta Makri z nadzieją w głosie. – Oczywiście, że nie – odpowiadam i śmieję się z jej naiwności.

Makri odchodzi obrażona. Nawet jednego dnia nie jestem w stanie przeżyć bez nastąpienia komuś na odcisk, jak mawiała moja była żona. Biorę kolejne piwo i osuwam się na krzesło.

Przez drzwi wtacza się szewc Parax.

– Do diabła, jestem cały mokry – mówi. – To przez tych Orków.

Parax to głupiec. Mamy dwudziesty drugi dzień gorącej pory deszczowej. Wie równie dobrze jak wszyscy, że ulewa potrwa jeszcze osiem dni, niezależnie do Orków.

Gurd zwraca mu na to uwagę.

– Ale pada bardziej niż zwykle – odburkuje Parax i dalej upiera się, że ciąży na nas klątwa. Zastanawiam się, co by powiedział, gdyby wiedział, że Rezas Rzeźnik już jest w mieście.

Patrzę na spis rydwanów startujących w zbliżającym się wyścigu w Simni. To upalna kraina, leżąca daleko na południe od Turai. Zbyt upalna – ale przynajmniej nie mają tam gorącej pory deszczowej. Żałuję, że w tej chwili nie przebywam w Simni, daleko od tego mokrego, śmierdzącego, przeżartego korupcją i przestępczością miasta.

Odwracam spis, aby zobaczyć rydwany wymienione na dragej stronie, ale widzę na niej jedynie wiadomość wypisaną czerwonym tuszem: „Uważaj, Thraxasie, zostało ci niewiele czasu”.

Z wściekłością rzucani papier. Tym razem mój wróg posunął się za daleko. Nie mogę nawet przeczytać spisu rydwanów, żeby nie pojawiło się na nim magiczne ostrzeżenie.

Później tego samego dnia przychodzi Kemlath Zabójca Orków. Pokazuję mu kartkę.

– Potrafisz coś na niej wykryć?

Jak dotąd Kemlath nie był w stanie stwierdzić, skąd pochodziły magiczne ostrzeżenia.

Przez dłuższy czas wpatruje się w kartkę.

– Chyba ten ktoś staje się nieostrożny – mówi wreszcie. – Nie postawiłbym na to swej reputacji w sądzie, ale wydaje mi się, że wyczuwam na papierze aurę Gliksjusza Pogromcy Smoków.

Walę pięścią w stół.

– Aha! A więc to jednak Gliksjusz! Chce mnie przestraszyć, żebym nie kontynuował śledztwa.

Kemlath jak zwykle nosi wiele biżuterii: złote łańcuchy, srebrne bransolety, a na palcu unikalny antyczny pierścień z pięknym niebieskim kamieniem. Kupuje mi piwo i pyta, jak posuwa się śledztwo. Przyznaję, że stoi w miejscu. – Z jakiegoś powodu nie mogę się w to wgryźć. Ciągle jednak mam nadzieję, że pojawią się kolejne przedmioty z kolekcji Mursjusza. Skoro próbowali upłynnić filiżankę, nie ma powodu, żeby kolejne rzeczy nie trafiły na rynek. A kiedy tak się stanie, może znajdę jakiś punkt zaczepienia. – Myślisz, że ta sama osoba, która ukradła dzieła sztuki, zamordowała Mursjusza? – Prawdopodobnie. Albo przynajmniej wie, kto to zrobił.

– Uważasz, że to Gliksjusz? Kiwam głową. – Nigdy go nie skazano. Wydaje mi się, że jest bezpieczny ze względu na swoje magiczne umiejętności i znajomości wśród arystokracji. Myli się. Jeśli zabił Mursjusza, ja go przygwożdżę. – Jako żołnierz też byłeś uparty – mówi Kemlath. Uznaję to za komplement i biorę następne piwo.

Trzy dni później zaczynam się zastanawiać, czy Parax nie miał racji mówiąc, że ciąży na nas klątwa. Nikt nie pamięta tak ulewnych deszczów. Zazwyczaj na jakiś czas przestaje padać, wychodzi słońce i miasto ma szansę odetchnąć. W tym roku ulewa nie popuszcza. Życie w Dwunastu Morzach staje się nie do zniesienia. Ulica Kwintesencji zmieniła się w morze błota, a niektórymi odchodzącymi od niej uliczkami nie sposób przejść.

Kilka domów z tanimi mieszkaniami do wynajęcia zawaliło się, bo woda podmyła fundamenty. Gdzie nie spojrzeć, widać ludzi desperacko próbujących podeprzeć budynek, reperujących dachy lub wydostających się z błota. Handel w mieście prawie zamarł, a wściekłość wywołana wieścią o bliskim przybyciu Orków wisi nad Turai jak wrząca chmura.

Przez cały czas upał rodzi burze tak przerażające, że co bardziej nerwowi obywatele zaczynają przeglądać proroctwa, zastanawiając się, czy nie nadchodzi koniec świata. Makri, która ćwiczy swe bojowe umiejętności na podwórku za tawemą, ze złością grozi niebu mieczem, jakby rzucała wyzwanie żywiołom.

Otrzymuję kolejne ostrzeżenie. Tym razem zostało one magicznie wyrzeźbione na moim własnym dzbanku, co uznałem za bardzo osobisty afront. Spóźniam się z komornym, ale teraz Gurd rozumie, że niewiele mogę zrobić. Nie tylko ja mam trudności z zarobieniem na życie.

Uliczni sprzedawcy, posłańcy, dziwki, woźnice – wszyscy porzucają walkę z żywiołom, chowają się pod dachem i czekają, aż miną deszcze. – Obszedłem pół miasta w poszukiwaniu tego przeklętego dywanika – mówię do Makri. – To jedna z najbardziej frustrujących spraw, na jakie kiedykolwiek trafiłem. – A co z morderstwem Mursjusza? – To również jedna z najbardziej frustrujących spraw, na jakie kiedykolwiek trafiłem. Czy wiesz... – Tak, tak – przerywa Makri. – Kogo obstawimy w pierwszym wyścigu w Simni? – Dzięki za moralne wsparcie. No dobrze, ten pierwszy wyścig w Simni. Sądzę, że drugi faworyt w pierwszej gonitwie to nienajgorszy wybór. – Tylko „nienajgorszy”? Brakuje mi już wymówek dla Minarixy. Na ostatnim zebraniu wszystkie kobiety na mnie patrzyły. Jak sądzisz, czy one wiedzą, że przegrałam te pieniądze na wyścigach?

– Wątpię. Któż podejrzewałby ciebie, niegdyś niewolnicę-gladiatorkę i w jednej czwartej Orka, o to, że nie zachowujesz się z nienaganną uczciwością?

Wschodzimy i ruszamy do Moxa. – Mógłbyś mi pożyczyć ten magiczny płaszcz.

– Nie. Płaszcz jest mój. Kto musi nad nim codziennie powtarzać zaklęcie?

Mnie też potrzebna jest wygrana. Zaczynam odczuwać brak pieniędzy i wkrótce nie starczy mi na codzienną dawkę piwa. – Nie potrafię funkcjonować bez piwa. – Czy to nie ty zawsze wyśmiewasz się z narkomanów, którzy marnują życie dla głupiego narkotyku? – To zupełnie co innego – informuję moją przemądrzałą towarzyszkę. – Piwo to normalny, zdrowy element diety każdego mężczyzny, szczególnie tak aktywnego jak ja. To część naszej kultury i naszego dziedzictwa. Dwa z kolei jest dla degeneratów.

Chodźmy już.

Wychodzimy na bagna, które niegdyś były ulicą Kwintesencji. Porywisty wiatr przywiał znad morza burzę. Deszcz chłoszcze mnie po twarzy, błyskawica rozdziera niebo nad nami. Zaciskam zęby i prę naprzód. Biuro Moxa znajduje się blisko przystani, obok lombardu Prisoxa, kolejnego miejsca, które jest mi dobrze znane. Pomimo złej pogody, nadal załatwiane są tam interesy. Prisox ma zawsze wielu klientów próbujących zdobyć nieco gotówki na życie.

Makri, początkowo gotowa ryzykować i stawiać na rydwany, za które dużo płacą, przyjęła w końcu ostrożną strategię i bez protestów akceptuje moją sugestię, aby wybrać Wabiciela Niedźwiedzi. Stawia na niego piętnaście ze swoich trzydziestu pięciu guranów.

Ponieważ za Wabiciela płacą dwa do jednego, ma szansę wygrać drugie tyle, dzięki czemu zbliży się do celu. Ja stawiam podobną sumę.

Wychodząc natykamy się na zbiorowisko ludzkie. Tłum wydaje się dość wesoły, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe, kiedy błyskawice osmalają dachy domów, a deszcz i wiatr przyciskają cię do ściany. – Co się dzieje?! – wołam do najbliższego przechodnia. – Przyjeżdżają Elfy! – tyczy, przekrzykując hałas.

Oczywiście. Dzisiaj ma przyplłynąć rydwan Elfów. Wszyscy podążają w stronę przystani. Nie mogę tego przegapić. Jak każdy prawdziwy hazardzista chcę

zobaczyć rydwan i konie, aby wyrobić sobie opinię na temat ich szans w wyścigu. Nie tylko jednak zamiłowanie do hazardu ściąga tu ludzi. Wszyscy lubią Elfów, a pan Lisith-ar-Moh jest nadal bohaterem w Turai.

Na przystani tłumy ludzi wytężają wzrok, aby zobaczyć statek Elfów; ustawiono już podium do przemówień powitalnych. Najwyraźniej nikt się nie martwi, że Elfy mogą, nie przybyć na czas. Słyną one ze swoich żeglarskich umiejętności, i najprawdopodobniej po drodze wykorzystywały czary, aby uspokoić morze. I rzeczywiście, wkrótce ktoś woła, że na horyzoncie pojawił się żagiel. Przyjemny dreszcz podniecenia przebiega przez tłum. Wszyscy zapominają o mokrych ubraniach i smutku, i patrzą, jak zielone żagle powoli rosną i statek Elfów zbliża się do przystani.

Kiedy Elfy opuszczają żagle i wpływają do przystani, rozlegają się okrzyki radości.

Jeszcze głośniejsze wrzaski słyhać, kiedy na pokładzie tłum dostrzega samego Lisitha-ar-Moha. Elf ma na czole srebrną obręcz, a jego zielony płaszcz trzepocze na wietrze. Otaczają go służący, wszyscy wysocy i przystojni. Kiedy statek przybliży się do mola, żeglarze machają do tłumy.

Elfy są zawsze wysokie, przystojne i złotoogie. Zazwyczaj ubierają się na zielono, a ich uszy są nieco spiczaste. Nie jest trudno rozpoznać Elfa. Ich widok podnosi mnie na duchu.

Jeszcze bardziej pociesza mnie myśl, że jeśli bukmacherzy dadzą szansę rydwanowi Orków, być może warto będzie postawić na Elfów.

Konsul Kaliusz, najważniejszy urzędnik Turai, wita przybyłych w imieniu króla.

Stoi na podium, a służący trzyma nad jego głową parasolkę. Ponieważ jednak burza nadal szaleje, konsul skraca swoją przemowę i po prostu wita Elfy w mieście, dziękując im za pomoc w przeszłości i życząc powodzenia w wyścigu. Potem oddala się razem z panem Lisithem w kawalkadzie oficjalnych pojazdów. Tłum bije brawo i wyciąga szyje, aby zobaczyć wyładowywany rydwan. Konie parskają trwożnie, kiedy spuszczone są w uprzęży ze statku na molo, ale stajenni wołają do

nich uspokajająco, a potem odprowadzają do pobliskiego magazynu. Zauważam z zainteresowaniem, że to ten sam magazyn, w którym zamordowano Mursjusza.

Czy Elfy, które dopiero preybyły wiedzą, że wystartują przeciw Olkowi? – zastanawiam się. Idę za młodymi Elfami, które wprowadzają rydwan do magazynu.

Elfy są szczupłe, silne i nie widać po nich trudów długiej podróży przez wzburzone morze.

Przez cały ten czas Makii zachowywała milczenie. Wobec Elfów ma mieszane uczucia. Ciągnie ją do nich, bo ma w żyłach cząstkę ich krwi, a także dlatego, iż uważa, że mężczyźni w Turai to dranie. Z drugiej strony Elfy zawsze ją irytują, bo źle reagują na domieszkę krwi Orków w jej żyłach.

Rydwan zostaje bezpiecznie załadowany do magazynu. Staję tuż przy drzwiach i zaglądam do środka zza pleców służących, a potem prześlizguję się obok Elfa zafascynowanego widokiem Makii. Wsuwam głowę przez drzwi. Nie mogę uwierzyć, iż to przypadek, że rydwan Elfów jest ustawiony w tym samym budynku, gdzie zamordowano Mursjusza.

Strażnicy kręcą się w pobliżu, aby utrzymywać porządek i nie pozwolić nikomu dotykać rydwanu. Jeden z nich zauważa mnie i każe mi się wynosić. – Co ty tam robisz? – Nic – mruczę, chociaż to niezupełnie prawda. W rzeczywistości przyglądam się ścianie magazynu. Właśnie zauważyłem wydrapany na drzwiach znak, dwie złączone dłonie, bardzo prymitywnie przedstawione. Zwykle grafitti, często widywane w mieście.

W przypadku tego konkretnego znaku jest jednak inaczej, myślę, kiedy strażnicy przepędzają mnie i resztę rfyt ciekawskiego tłumu. Dwie złączone dłonie to znak Towarzystwa Przyjaciół, którego członkowie nie zapędzają się do tej części miasta, kontrolowanej przez Bractwo, ich śmiertelnych nieprzyjaciół. Ktokolwiek znany z Towarzystwa, pałający się po naszej dzielnicy, wkrótce skończyłby martwy. Kto jednak oprócz ich członka mógłby wydrapać ten znak? Ponieważ Bractwo jest tak potężne w południowej części miasta, nawet znudzony młodzik nie zrobiłby czegoś takiego.

Wydrapywanie znaków Towarzystwa Pnsyjaciół może się skończyć niezłym laniem albo czymś jeszcze gorszym.

Na zewnątrz Makii rozmawia z młodym Elfem w jego ojczystym języku. Ulewny deszcz przygładził jej włosy, widać więc spiczaste uszy. Elf jest zaintrygowany, ale niepewny. Wkrótce odbiega na wołanie przełożonego.

Mówię Makri o grafitti. Czy ktoś z Towarzystwa był w magazynie, gdzie zamordowano Mursjusza? W tym samym budynku, w którym teraz przetrzymywany jest elfijski rydwan wraz z końmi, zanim przeprowadzą go do stajni na stadionie? – Wracasz do domu, czy chcesz włóczyć się tutaj i czekać na pojawienie się Elfów? – Głupie Elfy – mówi Makri i szybko odchodzi. Tłum szemrze optymistycznie, że teraz, kiedy przybył pan Lisith, klątwa Orków zostanie unieszkodliwiona.

Doganiem Makri, która jest w paskudnym nastroju po spotkaniu z Elfami. Biedna Makri. Oni nigdy nie powitają jej tak, jak się wita dawno utraconą siostrę.

Na końcu ulicy Kwintesencji wyczuwam w pobliżu magię i obracam się szybko na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie zaatakować. Tuż za mną idzie wysoki mężczyzna w szarym płaszczu. Twarz ma zwróconą ku ziemi, ale i tak go poznaję. To Gliksjusz Pogromca Smoków. Chwytam go, gdy przechodzi. Wiem, że to niemądre, zważywszy na jego magiczną moc, ale nadal jestem zły, że zniszczył mi mój własny, osobisty kufel. Gliksjusz spogląda na mnie zaskoczony. – Zostawiłeś tęczowy płaszcz w domu, tak? – Thraxas! Jak śmiesz mnie dotykać?! Chcesz, żebym cię wysłał do lepszego świata? – A ty jak śmiesz wysyłać mi magiczne ostrzeżenia? – ripostuję. – Ten kufel był dla mnie bardzo cenny. Nie podoba mi się również bazgranie na moim spisie rydwanów. – Czyś ty oszalał?! – ryczy mag. – Nie mam czasu na twoje głupoty. Wynocha!

Unosi ramię, aby rzucić na mnie jakieś zaklęcie. Przygotowuję się na uderzenie, ale mam nadzieję, że mój talizman ochronny jeszcze działa. Nie zostaje on jednak poddany próbie, bo zanim Gliksjusz zdążył się odezwać, Makri wali go w tył głowy ręką miecza i mag osuwa się nieprzytomny na ziemię. – Dobra robota, Makri. – Potrzebowałam tego – mówi i wydaje się weselsza. Zostawiamy

Gliksjusza leżącego w błocie. – To go oduczy zadzierania ze mną. „Pod Mściwym Toporem” czekają na mnie czterej strażnicy i asystent pretora.

Urzędnik wręcza mi jakiś papier i informuje, że mam się zjawić w sądzie dzień po zakończeniu święta Złączenia Trzech Księżyców. – Chcesz kupić mi piwo, żeby to oblać? – pytam go. Nie chce. Odchodzą. – Oskarżyli cię o to morderstwo? – pyta Makri. – Niezupełnie. Cyceriusz postarał się, żeby to odłożono. Muszę się zjawić przed obliczem urzędnika, który zbada dowody. – I co wtedy? – Wówczas mnie oskarży.

Jeszcze tego samego dnia otrzymuję wiadomość, że Wabiciel Niedźwiedzi odniósł łatwe zwycięstwo, dzięki czemu mogę sobie kupić kilka piw, a Makri zdobyła kolejnych piętnaście guranów. Ma teraz pięćdziesiąt i potrzebuje tylko dziesięciu.

– Przystań pić piwo – mówi Makri, przerywając mój wieczorny relaks. – I zacznij przeglądać spis.

Wzdycham. Łatwiej mi się żyło, kiedy Makri była przeciwniczką hazardu. Edyl, pomocnik Cyceriusza, przybywa konno po wiadomości. Wicekonsul jest niezmiernie wzburzony faktem, że nie posuwam się naprzód w sprawie dywanika. Pan Rezas Caseg wyraża ogromne niezadowolenie z powodu tej straty i może w każdej chwili wyjechać z miasta. Mówię Edylowi, że dokładam wszelkich starań. W jednej ręce trzymam piwo, a w drugiej spis rydwanów, co może być niewłaściwie zrozumiane. Gdy odjeżdża, nie wydaje się zachwycony.

W ciągu kilku następnych dni nie posuwam się dalej. Siedzę właśnie ponurym biurku, z piwem w ręce, kiedy słyszę głosy dochodzące z korytarza. Rozpoznaję głos Makri i jakiś inny, łagodniejszy. Podkradam się i zbliżam ucho do drzwi. Drugi głos należy do Hanamy.

Kolejna towarzyska wizyta Mistrzyni Zabójców?

– Wygrałam piętnaście guranów, stawiając na Wabiciela Niedźwiedzi – mówi do niej Makri. – To faworyt w Simni. Wygrał o trzy długości po dość wolnym starcie.

Ten rydwan jednak zawsze wolno zaczyna. Nie martwiłam się. – Nie wiedziałam, że tak się znasz na hazardzie-mówi z podziwem Hanama. – Trochę się nauczyłam – kłamię Makri. – Jeśli przyjdiesz na wyścig ku czci Turasa, pokażę ci, jak to się robi.

Otwieram drzwi. – Czy możesz przestać dyskutować z Zabójcami o hazardzie koło moich drzwi?

Staram się pracować. – Co ci tak przeszkadza?-pyta Makri. – Ona – odpowiadam, wskazując Hanamę. – Dla ciebie może to jest kumpelka, ale mnie ciarki chodzą po plecach. Odkąd to Zabójcy grają na wyścigach? Nie powinna gdzieś właśnie kogoś mordować?

Hanama patrzy na mnie spokojnie i odchodzi bez komentarza. Makri idzie za nią. Przekłęci Zabójcy! Jak do tego doszło, że ostatnio tak się zaprzyjaźniła z Makri? – I to ja wybrałem Wabiciela Niedźwiedzi! – krzyczę za nimi.

Wyciągam swój magiczny płaszcz przeciwdeszczowy. Czas odwiedzić Bractwo.

Jakieś dwieście lat temu byli tylko grupką drobnych rzezimieszków grasujących wokół przystani. Teraz to jedna z najpotężniejszych grup przestępczych w całym mieście. Odkąd zaczęło do nas docierać dwa, przynosząc wysokie zyski i tworząc całą nową klasę ludzi uzależnionych od kryminalistów, ich wpływy wzrosły zastraszająco. Stojąza każdym niemal przestępstwem w południowej części miasta, ale mają też udziały w legalnych firmach. Wiele z naszych banków, na przykład, podejrzewa się o finansowanie swoich interesów z pieniędzy pochodzących z handlu dwa, a kiedy senator wygłasza mowę popierającąjakieś przedsięwzięcie, nigdy nie można mieć pewności, czy nie działa pod wpływem wielkiej fortuny i możliwości Bractwa.

Zbyt mała ze mnie płotka, abym naprawdę irytował Bractwo, nie mogę jednak twierdzić, że mnie lubią. Kasax, ich szef w Dwunastu Morzach, był ze mnie szczególnie niezadowolony, kiedy uniemożliwiłem mu ucieczkę z królewskim złotem, które zostało wcześniej skradzione przez Galwiniusza, naszego eksprefekta. Ostrzegał mnie wtedy, żebym mu więcej nie wchodził w drogą. Niektórzy mogliby więc powiedzieć, że postępuję niemądrze, gdy wkraczam do tawerny „Pod

Syreną”, najniebezpieczniejszej knajpy w dzielnicy i tutejszej siedziby Bractwa, i oznajmiam, że chcę się z nim zobaczyć.

Kilku opiyszków naradza się między sobą; potem wysyłają wiadomość na górę.

Karlox, wielki drab, z którym miałem kilka utarczek w przeszłości, pojawia się na szczycie schodów i wzywa mnie gestem. Wprowadza mnie do dużego pokoju na tyłach, gdzie za stołem siedzi Kasax. Witam go grzecznie i siadam, nie czekając na zaproszenie.

Kasax przygląda mi się w milczeniu przez kilka minut. Stół jest wielki, pięknie rzeźbiony. Na ścianach wokół nas wiszą cenne gobeliny ukazujące sceny z legendarnej przeszłości Turai. Jak na szefa gangu, Kasax nie chwali się zbyt własnym bogactwem, musi jednak przypominać gościom o swojej pozycji. – Czy nie powiedziałem ci, żebyś nie wchodził mi w drogę, detektywie? – pyta wreszcie. – Pewnie tak – odpowiadam. – Ale większość ludzi mówi mi to prędzej czy później. – Czego więc chcesz? – Pogadać o Towarzystwie Przyjaciół.

To zwraca jego uwagę. Towarzystwo działa poza moim terytorium. Nie mam tam nikogo, kto donosiłby o ich poczynaniach, żywię więc nadzieję, że dowiem się czegoś od Bractwa. Chociaż mnie nie znoszą, Towarzystwa nie lubią o wiele bardziej.

– No? – popędza mnie Kasax.

Czuję, jak spojrzenie Karloxa niemal wwierca się w moją szyję. Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, byłem konno i stratowałem go. Chętnie by mi się odwdzieczył. – Wydaje mi się, że pojawili się przy przystani. Zastanawiałem się, czy coś o tym wiecie. – Od kiedy to Bractwo omawia swoje sprawy z tanimi detektywami? – Nie proszę, abyście omawiali ze mną swoje sprawy. Mówię o Towarzystwie Przyjaciół. Rozumiem, że nic nie wiecie o magazynie, gdzie zabito Mursjusza?

Opowiadam mu o swoich podejrzeniach, że byli tam ludzie Towarzystwa. Kasax pyta, czy oprócz graffiti mam jeszcze jakieś dowody.

– Nie. Ale to wszystko układa się w jedną całość. Słyszałeś pogłoski, że Towarzystwo planuje jakieś oszustwo na wyścigach? Senator Mursjusz miał

wystawić swój rydwan w wyścigu ku czci Turasa. W tym magazynie znalazły się skradzione dzieła sztuki.

Później on sam też się tam znalazł, martwy. A teraz okazuje się, że to ten sam magazyn, gdzie przetrzymywany jest rydwan Elfów. To chyba więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

Kasax zastanawia się nad tym, co mu powiedziałem. Podobnie jak wszyscy szefowie Bractwa potrafi być brutalny, ale nie jest głupcem. Jeśli Towarzystwo działało skrycie na jego terytorium, chce wszystko o tym wiedzieć. – Czego więc ode mnie chcesz, detektywie? – Informacji. W zamian za to, co ci powiedziałem. Cokolwiek wiesz lub czego możesz się dowiedzieć o tym magazynie. A ja powiem ci wszystko, czego jeszcze się dowiem o działaniach Towarzystwa w naszej dzielnicy.

Kasax przez jakiś czas zachowuje milczenie. Jedyne dźwięki to deszcz padający na zewnątrz. Wreszcie kiwa głową.

– Dobra.

Przygląda mi się bacznie.

– Słyszałem, że niezbyt ci się powiodło na wyścigach. Kasax chce, aby jego wiedza o moich sprawach zrobiła na mnie wrażenie. Wzruszam ramionami i nie zdradzam zdziwienia.

– Nie zdobędziesz w tym mieście popularności – ciągnie. – Żaden Turajczyk nie będzie czuł sympatii do człowieka, który opiekuje się Orkami.

To grom z jasnego nieba. Klnę w duszy. No tak, kiedyś to się musiało wydać. Nie potrafię całkowicie ukryć swego zakłopotania. Kasax uśmiecha się (to lekkie drgnięcie ust miało być zapewne uśmiechem), a Karlox wyprowadza mnie na zewnątrz.

– Któregoś dnia cię zabiję, grubasie – mówi na pożegnanie. Nawet nie odpowiadam.

Zbyt często ostatnio ludzie grożą mi śmiercią, żebym zawsze miał na podorzędziu dowcipne odpowiedzi.

Deszcz pada jeszcze gęściej. To prawie koniec gorącej pory deszczowej. Na ulicy Kwintesencji stoi tyle wody, że mogłyby się w niej potopić psy i małe dzieci.

Tutaj i tak jest za dużo dzieci i psów. Sporo czasu mija, zanim docieram z powrotem do tawerny „Pod Mściwym Toporem”. Pot leje się ze mnie pod płaszczem. Gorąca pora deszczowa.

Nienawidzę jej. Dzięki Bogu, to już ostatni dzień. Jutro, według regularnego kalendarza Turai, deszcze się skończą i będziemy mieli chyba z miesiąc przyjemnej jesieni, zanim przyjdzie zima. Świadomość zbliżającego się końca pory deszczowej poprawiła nieco nastrój mieszkańcom Turai. Psuje to jednak wiadomość, że oznacza to również dzień przybycia rydwanu Orków. Ponieważ drogi lądowe ze wschodu są nieprzejezdne o tej porze roku, Olkowie przybędą morzem tak jak Elfy, chociaż nie czeka na nich podobne powitalne przyjęcie. W Dwunastu Morzach aż roi się od strażników, rozstawionych dla utrzymania porządku. Chociaż to król wpadł na ten pomysł, nie zaryzykuje on swej popularności, oficjalnie witając Orków, i nawet konsul Kaliusz będzie nieobecny. Jedyni urzędnicy, którzy ich powitają to Cyceriusz i Melusa Bez Skazy, czarownica ze stadionu.

U podnóża schodów dosłownie wpadam na kapitana Rallee. – Nie oczekuj, że strażnicy tym razem cię ochronią – oznajmia. – Rozumiem, że już pan usłyszał... – Owszem. Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, kiedy będziesz pilnował Orków, Thraxasie. – Ja też nie. – Dlaczego to robisz?

Wyjaśniam wszystko kapitanowi na piętrze w moim biurze. Rozumie, że zostałem do tego zmuszony, ale nie sądzi, żeby zwykli Turajczycy mieli dla mnie wiele współczucia. – Prasa opisze to tak, jakbyś sam się zgłosił do tej roboty. Kapitan podchodzi do okna i wygląda na deszcz. – Ostatni dzień, dzięki Bogu – mruczy.

Pytam go, czy dziś wieczorem zjawi się „Pod Mściwym Toporem”. W noc po ostatnim dniu gorącej pory deszczowej zawsze bawimy się do późna, a kapitan lubi sobie od czasu do czasu poświętować. Potrząsa głową. – Jestem na służbie. Skasowali wszystkie urlopy. Miasto jest niespokojne.

Deszcz powściągał awanturników, ale nikt się nie cieszy z przybycia Orków. Nie podoba mi się kierunek, w jakim podążają sprawy, Thraxasie. Wydarzyło się zbyt wiele dziwnych rzeczy.

Wiesz, że chodzą słuchy, jakoby Towarzystwo Przyjaciół planowało jakie oszustwo podczas wyścigów? – Tak, słyszałem. – Wiesz, że słyszałem nawet plotkę, jakoby Zabójcy stawiali zakłady? Zupełnie jakby jakaś gorączka ogarnęła miasto, kiedy ludzie dowiedzieli się, że prejeżdżają Elfy i Olkowie.

Kapitan wychyla resztę klee, zapina płaszcz i szybko wychodzi. Melusa Bez Skazy będzie musiała się dobrze postarać, żeby wszystko odbyło się legalnie. Tak na marginesie, dzisiaj właśnie wraca do miasta. Wyjechała na zachód, aby studiować magię w Samsarynie.

To ona ma powitać orkijski rydwan.

Ktoś stuka do drzwi. Otwieram z mieczem w dłoni, przygotowany na wszystko.

Okazuje się, że to obdarty posłaniec, który wręcza mi zwój, a potem odchodzi.

Rozwijam i czytam: „Znalazłem więcej dzieł sztuki”. Na dole widnieje podpis Kerka. Świetnie.

Wreszcie coś się ruszyło.

Przychodzi Makri. – Idziemy do Moxa? – Jesteś pewna, że nie chcesz iść ze swoją koleżanką, Mistrznią Zabójców? – pytam.

Makri nie reaguje na prowokację. Przemykamy się ulicą Kwintesencji, co nie jest trudne, bo szalona ulewa ogranicza widzialność niemal do zera. Chowamy się, bo piekarka Minarixa jest zła na Makri za to, że nie przyniosła obiecanych sześćdziesięciu guranów. – Naprawdę obraziłam Ligę Kobiet Wyzwolonych. Pieklą się. Ostatniej nocy Chulani znacząco oznajmiła, że z zaskoczeniem dowiedziała się o wykorzystywaniu przez niektóre członkinie pieniędzy Towarzystwa do hazardu. Spytała też, czy Minarixa zamierza doprowadzić do wypędzenia tych członkiń z Turai. – Może nie mówiła o tobie – zauważam. – Połowa miasta jest obecnie ogarnięta gorączką hazardu. Prawdopodobnie nie jesteś jedyną członkinią, która przekazała nieco funduszy bukmacherom. – Jestem pewna, że ktoś rozpuszcza plotki. – Nie patrz na mnie. Z Ligą Kobiet Wyzwolonych mam kontakt tylko

wtedy, gdy codziennie zamawiam u Minarixy dwa duże placki z mięsem i trzy bochenki chleba.

Zastanów się, Makri. Sama wcale nie byłaś dyskretna. Każdy mógł zobaczyć, jak przesiadujesz u Uczciwego Moxa.

Makri ma zrozpaczoną minę.

– Jak ja się w to w ogóle wpakowałam? – pyta i patrzy na mnie oskarżycielsko.

Idziemy, aby opłacić zakład, a potem dołączymy do komitetu powitalnego rydwanu Orków. Pięćdziesiąt guranów Makri skurczyło się do trzydziestu w rezultacie bardzo słabego biegu faworyta podczas ostatniego wyścigu w Simni. Makri spędza resztę wieczoru przeklinając wszystkie konie, rydwany i wyścigi, i chce się dowiedzieć, czy mag w Simni jest uczciwy.

– Jeśli się dowiem, że brał łapówki, pojedę do Simni i wypatroszę go jak świnie!
– wścieka się. Jest to normalne zachowanie wszystkich hazardzistów w Ttorai.

Wchodzi człowiekowi w krew. Ulice pełne są strażników; z pałacu przysłano też kilka wozów żołnierzy, aby im pomagali na wypadek poważnych problemów.

Wyczuwam pewien chłód, kiedy razem z Makri wchodzimy do Moxa. Wieści o mojej przeklętej misji najwyraźniej się rozchodzą. – Nie może się po prostu oderwać od Orków – szemrze ktoś. – Jednego przyprowadził ze sobą – szepcze ktoś inny.

Makri otwiera szeroko oczy, ręką zaś szuka miecza, przygotowując się do urządzenia krwawej jatki, ponieważ nazwano ją Orkiem. Piżypomina sobie jednak, po co tu przysła, i powstrzymuje gniew. Musi koniecznie wygrać następnych trzydzieści guranów, a nie będzie mogła tego zrobić, jeśli zniszczy biuro Moxa razem z wszystkimi klientami. I tak martwi się już zakładem, który robi. Za rydwan Zwycięstwo lub Śmierć płacą dwa do jednego, ale to tylko jeden z faworytów i nie jestem pewien jego szans. Makri jednak nie ma wyboru.

Zaczyna jej brakować czasu, musi więc teraz postawić całe trzydzieści guranów na ten rydwan i mieć nadzieję, że wygra.

– Jaka szkoda, że nie znalazłeś tego dywanika, Thraxasie. Postawiłabym na Orków.

Czekamy w kolejce. Mężczyzna stojący przede mną, wielki, brzydki osobnik, którego nigdy przedtem nie widziałem, nagle obraca się i warczy prosto w moją twarz:

– Kochanek Orków!

Podobnie jak Makri, powstrzymuję złość. Nie chcę brać udziału w bójce przed postawieniem zakładu.

– Po prostu pomagam królowi-odpowiadam uprzejmie. To go nie uspokaja. Prostuję plecy i staram się wyglądać na maga, który może wszystkich wykończyć, jeśli nie będą ostrożni. To czasem działa, ponieważ większość mieszkańców dzielnicy nie zdaje sobie sprawy, jak nędzne są w rzeczywistości moje umiejętności. Wiele wrogich spojrzeń podąża za mną, kiedy przesuвам się w kolejce. Mox przy ladzie ma ponurą minę. Mimo że od lat byłem jednym z jego najlepszych klientów, nie chce się ze mną przywitać i przyjmuje zakład w milczeniu.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, oddalam się pośpiesznie, a Makri depcze mi po piętach.

– Kiepsko. Przeklęty Cycleriusz.

Makri wścieka się, że tak ją potraktowano. Mówi, że jeśli jej rydwan nie wygra, wróci tam i pozabija wszystkich w biurze Moxa za to, że ktoś odważył się nazwać ją Orkiem. – A jak wygra? – Pozwolę niektórym przeżyć.

Dochodzę do wniosku, że mógłbym rzucić okiem na ten orkijski rydwan, który przysparza mi tylu problemów. Deszcz leje, a znad morza nadciąga kolejna burza.

Kiedy docieramy do przystani, niebo jest już czarne, tłum zaś jęczy, że ciąży na nas klątwa.

– Bóg zniszczy nas za to, że przyjmujemy ich w mieście – krzyczy młody pontyfik, i namawia ludzi, aby żalowali za grzechy, póki jeszcze mogą.

Widoczność jest tak słaba, że nikt nie dostrzega statku Orków, dopóki jego ogromne czarne żagle nie wynurzają się nagle z ciemności u wejścia do przystani. Tłum wyje z wściekłości, Strażnicy i żołnierze z trudem utrzymują porządek. Huk gromu zlewa się w jedną długotrważącą eksplozję, a krople deszczu walą niby grad

z samego piekła. Kiedy statek przesuwa się powoli wzdłuż mola, pan Rezaz Caseg i jego pomocnicy pojawiają się nagle, aby powitać przybywających Orków. Czarny płaszcz Orka rozdyma się na wietrze, jego twarz ukrywa czarno-złoty hełm. Tłum wybucha gniewem i żołnierze muszą go powstrzymywać uderzeniami kijów.

Niespodziewanie obok podium, jakie ustawiono dla komitetu powitalnego, w powietrze wystrzelają snopy zielonego i niebieskiego światła. Blask nabiera intensywności, a potem promienie zmieniają się w świetliste gwiazdy unoszące się nad głowami tłumu.

Gwiazdy wiszą przed jakiś czas w pociemniałym od deszczu powietrzu, a potem znów się zmieniają w ogromne żółte kwiaty, które powoli wznoszą się ku chmurom. Tłum przestaje się burzyć, bo całą jego uwagę zajmuje ten wspaniały pokaz pirotechniczny.

Melusa Bez Skazy wychodzi na podium z różdżką w ręce. Ja noszę przy pasie własną świetlną różdżkę, ale jest ona słabiutka w porównaniu z tą, którą ma czarownica.

Tłum bije brawo. Melusa Bez Skazy jest jego ulubienicą. Kiedy unosi dłonie, tłum prawie się uspokaja, a Orkowie bez kłopotów rozpoczynają wyładunek.

– Niezła sztuczka – mruczę do Makri. – Miejmy nadzieję, że Melusa będzie w dobrej formie podczas wyścigu.

Wszyscy pateamy, jak pan Rezaz Caseg zdejmuje hełm i maszeruje naprzód, w asyście pięciu orkijskich wojowników, aby przywitać się z Melusa. Teraz u jej boku pojawił się Cyceriusz; on też unosi rękę dłonią do góry, w formalnym geście powitania.

Zauważam, że Melusa założyła magiczny płaszcz przeciwdeszczowy, co było mądre z jej strony, ale biedny Cyceriusz bardzo moknie. Toga lepi się do jego kościstego ciała.

Tłum patrzy, na wpół z gniewem, na wpół z fascynacją. Wielu młodszych obywateli nigdy przedtem nie widziało Orka. Rezaz maszeruje z godnością, jakiej się po nim nie spodziewałem, a potem wita swoich ziomków i Melusę. Przemówienia są niezmiernie krótkie.

Wszyscy wiedzą, że nie jest to okazja, którą warto przeciągać, Pan Rezas wypowiada rozkaz, a jego pomocnicy przekazują go załodze. Wielka zakryta skrzynia zjeżdża ze statku na molo – to rydwan. Pomocnicy zakładają koniom uprzęże, jakich używa się na przystani do rozładowywania zwierząt domowych.

Ku rozczarowaniu tłumu rydwan zostaje wprowadzony do magazynu bez odkrywania.

Teraz, kiedy Olkowie już usi obył się bez kłopotów, niejedyn z gapiów chciałby zobaczyć ich rydwan, choćby tylko po to, aby ocenić jego szansę. Konie robią wrażenie – wielkie i czarne jak noc, o ognistych oczach i długich grzywach, doskonale utrzymane.

– A więc przybyli – mówi głos przy moim uchu.

Kemlath. To musi być dla niego bardzo dziwne. Jeden z najslynniejszych zabójców Orków w Turai musi teraz patrzeć, jak przybywają do miasta jako goście króla.

Melusa, Cyceriusz i Orkowie szybko odjeżdżają sznurem wozów. Żołnierze zbliżają się, aby rozpędzić tłumy. Wracamy do taweray „Pod Mściwym Toporem”. Po drodze wstępujemy do Uczciwego Moxa.

Gdy tylko wchodzę do środka wiem, że przegraliśmy. Zawsze wiem. Zerkam na tablicę, na której Mox właśnie zapisał rezultat, dopiero co podany przez maga z SimnL Rydwan Zwycięstwo lub Śmierć przegrał.

Makii pochyla głowę. Przygotowujemy się do wyjścia. – Widzieliście się z waszymi kumplami Orkami na przystani? – szyci wielki doker z ramionami jak konary drzew i dłońmi o kolosalnych rozmiarach. Makri obraca się na pięcie tak szybko, że trudno się zorientować, jakie dokładnie ruchy wykonuje, ale w rezultacie jej łokieć zagłębia się na jakieś dwadzieścia centymetrów w brzuch dokera. Drab otwiera usta, nie wydobywa się i z nich jednak żaden dźwięk i facet osuwa się na podłogę.

Makri wychodzi powoli i z godnością. Ja śpieszę za nią. Kemlath jest pełen podziwu. – Świetna sztuczka – mówi, ale Makri ma zbyt ponury nastrój, aby przyjąć komplement. Zamiast tego klnie na deszcz. – Jutro będzie słonecznie –

mówię. – Co z tego, skoro nadal nie będę miała pieniędzy – odpowiada Makri. – Nie mogę uwierzyć że przeszłam przez to wszystko tylko po to, aby wrócić do punktu wyjścia. Te wyścigi są ustawiane.

W ciemności pojawia się kobieta z koszykiem. Makri rzuca się w boczną uliczkę, aby się z nią nie spotkać. – Członkini Ligi? – pytam, kiedy kobieta się oddala. – Coxi, sprzedawczyni ryb. Bardzo bojowa.

Docieramy do domu, brnąc przez niemożliwe błoto. Oferuję Makri mój magiczny płaszcz przeciwdeszczowy, ale ona odmawia; zmokła już tak, że jest jej wszystko jedno.

14

„Pod Mściwym Toporem” czekają na mnie dwie wiadomości. Jedna, wypisana magicznymi płonącymi literami na frontowych drzwiach, głosi: „Miej się na baczności, twoja śmierć się zbliża”. Teraz będę musiał malować drzwi. Dobrze chociaż, że deszcz zgasił ogień.

Druga jest od Cyceriusza. Informuje mnie, że pan Rezaz znów grozi opuszczeniem miasta, jeśli wkrótce nie dostanie dywanika swego woźnicy. Skoro przywieziono już rydwan, chciałby poćwiczyć.

Klnę. To ostatnia noc gorącej pory deszczowej. Wszyscy świętują. Nie można człowieka zostawić w spokoju na jeden dzień? Jak mam znaleźć ten cholerny dywanik? Jeśli jest dla tych Orków taki ważny, dlaczego pozwolili go sobie ukraść? Cyceriusz informuje mnie, że dopiero za kilka tygodni księżycy ustawią się tak, żeby Hazjusz mógł spojrzeć w przeszłość. Wtedy już na nic mi się to nie przyda.

Jestem w eleganckiej części miasta i zastanawiam się, co robić dalej. Wypijam kilka piw w małej tawernie odwiedzanej przez czeladników tutejszego złotnika i postanawiam odwiedzić Makri w bibliotece. Może ona wpadnie na jakiś pomysł. Znajduję ją siedzącą nad górą starych zwojów, ale jest zbyt przybita utratą pieniędzy i nic jej nie przychodzi do głowy. – Ostatni dzień deszczu. Wieczorem wielkie świętowanie. – Nie mam ochoty świętować – odpowiada Makri. – Ani ja.

Brodaty mężczyzna przy następnym stole spogląda na nas znacząco, więc zniżamy głosy. Spoglądam na zwój leżący przed Makri. Religioznawstwo – jakiś śmiertelnie nudny wywód na temat subtelnych różnic między religijnymi praktykami Turajczyków i ich sąsiadów. W Turai modlimy się trzy razy dziennie, w Nioj modlą się sześć razy, a w Mattesh cztery. Fascynujące.

W mojej głowie kielkuje pewna myśl. Pochylam się, aby wyszeptać do Makri;

– Czy w bibliotece znajdę coś o religii Orków? Makri nie ma pojęcia. – Jeśli cokolwiek na ten temat napisano, będą to mieli. Po co ci to? – Intuicja detektywawyaśniam.

Biblioteka ma bardzo obszerny i wyczerpujący katalog. Makri zaczyna go przeglądać, bo lepiej się na tym zna. Wreszcie znajduje odpowiedni zapis.

– Jest zwój o religii Orków. Tylko jeden. Napisał go w zeszłym stuleciu jakiś uczony.

Nigdy o nim nie słyszałam.

Makri prowadzi mnie na środek biblioteki, gdzie bibliotekarze siedzą za wielką ladą ozdobioną malowidłami świętych, z których większość zdaje się czytać manuskrypty. Makri podchodzi do młodego mężczyzny i prosi go o zwój. Ten czerwieni się, potem wyrusza na poszukiwania.

– Podkochuje się we mnie – szepcze Makri. Bibliotekarza nie ma przez dłuższy czas.

Kiedy wreszcie wraca, niesie nieduży zwój, w którym zebrana jest cała wiedza o religii Orków. Zabieram go do stolika i zaczynam rozwijać. Jest zakurzony, dostrzegam jednak, że ostatnio nieco kurzu usunięto.

– Tutaj. Rozdział trzeci. Dywaniki modlitewne. Rozdział zawiera pełny opis roli, jaką w krajach Orków odgrywają dywaniki modlitewne. Czytam go w całości. – „Mają one również wielkie znaczenie dla woźniców rydwanów, którzy odmawiają jazdy, jeśli nie mogą stać na dywaniku. Gdyby tego bowiem zaniechali, to zginąwszy w wypadku zostaliby wysłani do krainy przeklętych”. No i co ty na to?

Proszę Makri, aby zapytała młodego bibliotekarza, czy ktoś ostatnio pożyczał ten zwój. Widzę, jak chłopak się rumieni, a potem przegląda jakieś zapiski. Makri wraca do stołu.

– Pontyfik Derlex – mówi. – Wziął go w zeszłym tygodniu. Bibliotekarz twierdzi, że to pierwsza osoba, która pożyczyła ten zwój od pięćdziesięciu lat.

Wstaję. – Nagły zwrot w śledztwie. – Na to wygląda – mówi Makri – Jak na to wpadłeś? – Intuicja. Zdarza się raz na jakiś czas, że jestem chytry jak simnijski lis.

Chodźmy.

Makri wychodzi ze mną z biblioteki. Nie może się skupić na nauce z powodu swoich finansowych zmartwień.

– Zapomnij o pieniądzach. Cycleriusz zapłaci mi fortunę, kiedy odniosę ten dywanik modlitewny. Dostaniesz swój udział.

Znajdujemy powóz, którego woźnica gotów jest zabrać nas do dzielnicy Dwunastu Mórz. Pytam Makri, dlaczego rozmawiała z Hanamą hazardzie, ale udziela mi wymijającej odpowiedzi, a ja nie naciskam. Jestem szczęśliwy, że wreszcie posuwam się naprzód.

Pontyfik Derlex. Człowiek, który twierdził, że Orkowie nie wyznają żadnej religii – a tu proszę, ile się o niej naczytał. Potem na pewno ukradł dywanik. To ma sens.

Członkowie Prawdziwego Kościoła od początku byli kandydatami na sabotażystów, a ten Pontyfik to ambitny młody człowiek. Jeśli biskup Gzekiusz szukał ochotników, on zgłosił się pierwszy.

Derlex mieszka w niewielkim domku koło kościoła przy ulicy św. Wóliniusza.

Idziemy tam i stukamy do drzwi. Otwierają się same. Wyciągam miecz i ostrożnie wchodzimy dalej. Dostrzegam, że dom umeblowany jest nędznie, w przeciwieństwie do wspaniałej rezydencji biskupa. Pomimo wieczornego mroku nie zapalono lamp, wyciągam więc moją świetlną różdżkę i wypowiadam zaklęcie, aby mieć więcej światła.

Z dalszej części korytarza dochodzi jęk. Kiedy zjawiamy się w salonie, Derlex właśnie próbuje unieść się z podłogi. Obok niego leży duży lichtarz; wygląda na to, że ktoś go uderzył. Sprawdzam puls i oglądam ranę.

– Przeżyjesz.

Derlex znowu jęczy i mruga oczami, aby lepiej widzieć.

– Czy to ma jakiś związek z pewnym dywanikiem modlitewnym? – pytam.

Pontyfik sięga ręką na krzesło stojące z tyłu. Nic na nim nie leży.

– Zabrali go – mówi i znów osuwa się na podłogę. – Kto ci kazał ukraść dywanik? – pytam. Derlex jednak nie jest w stanie odpowiedzieć, bo znów stracił przytomność. Pobieźnie przeszukuję pokój, ale niczego nie znajduję. – Za późno – mruczę do Makri. – Ale przynajmniej jesteśmy na tropie.

Wysłałam biskupowi wiadomość, że jego pontyfik pizez dzień lub dwa nie będzie mógł odprawiać modłów. Potem ślę kolejną wiadomość do Cyceriusza, podając mu pełny opis wypadków. Przynajmniej dowie się, że nie próżnuję. – Jak sądzisz, kto zabrał dywanik? – pyta Makri. – Nie mam pojęcia. Pomyślę o tym jutro. Teraz czas najedzenie, piwo i świętowanie.

Sądzę, że po tak udanym śledztwie należy mi się relaks. Wracam do tawemy „Pod Mściwym Toporem”, aby coś przegryźć, napić się piwa, a potem uciąć sobie drzemkę. Muszę przygotować się do wysiłków nadchodzącej nocy.

Kiedy północ kończy ostatni dzień gorącej pory deszczowej, w całym mieście świętowanie trwa już w najlepsze, a nigdzie nie jest tak wesoło jak „Pod Mściwym Toporem”. Że nie wspomnę o moim stole. Palax i Kaby, którzy siedzą na barze i grają na flecie i na mandolinie, wyglądają dziwacznie jak zwykle. Nikt inny w Turai nie ma przekłutych brwi, włosy zaś ufarbowali sobie na jaskrawe kolory. Zanim tu przybyli, nawet nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe. Przeżyłem wstrząs, kiedy ich po raz pierwszy zobaczyłem.

Muzykanci akompaniują biesiadnikom, hałaśliwie wyśpiewującym popularne pieśni, podczas gdy Gurd, Makri, Tanrose i jeszcze kilku pomocników wynajętych specjalnie na tę okazję napełniają piwem dzban za dzbanem.

Tawerna pełna jest śpiewających najemników, tańczących pracowników portowych, pijanych sprzedawców ryb i roześmianych robotników. Wszyscy, włącznie ze mną, zapominają na tę noc o swoich kłopotach. Na zewnątrz deszcz nadal leje, ale jutro chmury się rozpierzną, zaświeci słońce i rozpoczną się przygotowania do wyścigu ku czci Turasa i święta Złączenia Trzech Księżyców. Zapominam o Mursjuszu, Orkach, dywanikach modlitewnych, groźbach, i przestępczości w ogóle. Koncentruję się na wlewaniu w gardło tyłu kufli piwa zwanych „Radością mistrza cechu”, ile tylko można.

Obok mnie siedzi Kemlath, też szczęśliwy jak pijany najemnik,

– Nie bawiłem się tak dobrze od czasu, kiedy świętowaliśmy zakończenie wojny – mówi. – Już zapomniałem, jak wesołe mogą być noce w tawernie.

Młoda prostytutka siada mu na kolanach, podziwiając tęczowy płaszcz i piękną biżuterię. Kemlath zdejmuje bransoletę i wręcza ją dziewczynie. Ten wspaniały mag nie jest skąpcem. Stawia wszystkim drinki, dzięki czemu zyskuje powszechną popularność.

Jedyną osobą, która się nie cieszy, jest Makri. Nie ma pieniędzy, a piekarka Minarixa siedzi tuż przy barze, co jest nieco krępujące.

– Co się dzieje z twoją przyjaciółką? – pyta Kemlath. Wyjaśniam, że Makri popełniła błąd. Przegrała pieniądze, które zebrała dla Ligi Kobiet Wyzwolonych. Kemlath zwija się ze śmiechu.

– Liga Kobiet Wyzwolonych! – ryczy. – Stado wiedźm! Do diabła z nimi! Śmieje się jeszcze trochę, a potem łapie Makri, która przechodzi obok z tacą piw na ramieniu. Makri marszczy brwi. – Nie chmurz się! – woła Kemlath i uderza swoją świetlną różdżką w podłogę, a w tawernie rozbłyska magicznie wywołana tęcza. Wszyscy klaszczą, tylko Makri jest nieporuszona. Kemlath sięga w zakamarki swego szerokiego płaszcza i wyciąga nabitą sakiewkę. – Ile jesteś im winna? – Sześćdziesiąt guranów. – Taka kobieta jak ty nie powinna mieć długu u nikogo! – woła Kemlath i dodaje, że od czasu, kiedy on sam zrzucił trzech Orków z murów miasta nie widział tak wspaniałego pokazu walki wręcz, jaki Makri zaprezentowała

w biurze Moxa. Skończyły mu się wtedy zaklęcia. Mag bez wahania odlicza dwadzieścia pięcioguranowych monet i wręcza je Makri.

Makri jest za mądra, aby odrzucić taki podarunek. Łapie pieniądze, wpycha je do sakiewki, przeciska się przez tłum, aby dostarczyć tacę piwa, a potem przepycha się do Minarixy i jej przyjaciółek pizy barze. Pizez mgłą dymu thazis widzę, jak wręcza piekarce pieniądze.

Sądząc po reakcji Minarbcy i uśmiechu Makri, sztuczka się udała. Makri znów jest szanowaną członkinią Ligi Kobiet Wyzwolonych.

Przepycha się z powrotem do nas. – Dzięki – mówi do Kemlatha. – Zwrócę ci. – Nic przejmuj się tym – odpowiada mag.

Na twarzy Maicri pojawia się cień podejrzliwości. Zastanawia się, czego Kemlath może od niej zażądać w zamian za swoje sześćdziesiąt guranów – ale on chyba naprawdę niczego nie chce. Rozochocił się po prostu dobrą zabawą „Pod Mściwym Toporem”.

Tak to czasem bywa z ludźmi, którzy przyzwyczaili się do wyrafinowanych i raczej nudnych przyjemności klas wyższych.

Makri odrzuca wszelkie rozterki i jest szczęśliwa. W ciepłe tawerny pot spływa po jej niemal nagim ciele. Dziewczyna odkryła, że dzięki błyszczącej skórze zbiera więcej napiwków, uważa więc, że może to wykorzystać aby osiągnąć zysk. Sakiewka, która wisi na jej szyi, pęka w szwach. – Chciałam ci trochę podokuczać za to, że ten rydwan przegrał – mówi. – Teraz już nie chcę. Ale i tak nędzny z ciebie hazardzista. – Nonsens. Wskazałem ci przecież wielu zwycięzców. Nikt nie potrafi zawsze trafić wybierając. Poczekaj do wyścigu ku czci Turasa. Kiedy się zakończy, będę bogaczem.

Stadion Superbuisza nie widział jeszcze podobnej jatki, jaką urządzą bukmacherom.

Makri uśmiecha się szeroko. – A nie będziesz zbyt zajęty opieką nad Orkami? – Nie przypominaj mi. Olkowie nawet nie wystąpią, jeśli nie znajdę tego dywanika.

Ale teraz, kiedy już zrobiłem pierwszy krok, sądzą że wkrótce go odnajdę. Znasz mnie, jestem uparty.

Gurd robi sobie przerwę, aby przyłączyć się do mnie i Kemlatha, i zaczynamy opowiadać historie wojenne. Przybycie pana Rezaza przywołało wiele wspomnień, wspominamy więc, dopóki Gurd nie zostaje odwołany, aby otworzyć nową beczkę piwa w piwnicy.

Przewraca się na mnie jakaś kobieta. To Sarija. Jej płaszcz jest mokry i zabłocony, a ona sama naszpikowana dwa. – Przypuszczałam, że bawisz się w tej dzielnicy – mamrocze, a potem zsuwa się z moich kolan na podłogę. Kemlath pomaga jej usiąść na krześle. – Gdzie tu można dostać piwo? – pyta i wali w stół, dopóki nie zjawia się Makri.

– Szkoda, że nie mam twojej figury – mówi Sarija. – Ale przynieś mi piwo.

Kolejna mokra dłoń łapie mnie za ramię. To Kerk. Wygląda bardzo kiepsko. Nie traci czasu, tylko wciska mi w rękę niewielkie popiersie Elfa.

– Z kolekcji Mursjusza! – woła, aby przekrzyczeć hałas. – Znalazłem to u Axy.

Axa to kolejny paser działający w okolicach portu.

Wyciąga dłoń po zapłatę. Jego twarz przybrała ten zaszczuty wyraz, który widuje się u ludzi spragnionych dwa bardziej, niż czegokolwiek na całym świecie. Dopiero po kilku minutach orientuję się, o co mu chodzi. Kiwam głową, wyszukuję w sakiewce kilka guranów i zapewne przepłacam. Odchodzi bez słowa. Rzucam okiem na popiersie, a potem chowam je do torby. – Kolejne dowody? – pyta Kemlath. – Chcesz, abym je zbadał? – Jutro – odpowiadam. – To może zaczekać.

Kemlath wyraża zdumienie, widząc tak lekceważące podejście. Rozkładam ręce. – Wszystko w porządku. Widzisz, przyjacielu, przestępcy w tym mieście nie są tacy sprytni. Zawsze zostawiają jakieś ślady. Ludzie myślą, że skoro ich łapię, muszę robić coś cholernie mądrego. Dlatego właśnie udaję, że jestem magicznym detektywem, chociaż prawie w ogóle nie używam magii. To poprawia moją reputację. Lubię, kiedy ludzie myślą, że poruszam niebo, ziemię i trzy księżycy, aby wpakować łobuzów za kratki. W rzeczywistości po prostu podążam po śladach, aż ich wreszcie dogonię. – A co, jeśli trafisz na prawdziwego spryciarza? – To się jeszcze nie zdarzyło. Więcej piwa?

Zabawa ciągnie się przez całą noc. Kemlath pokazuje mi, jak wywoływać tęczę moją świetlną różdżką. Rozsyłam je po całej tawernie, pod nogi ludzi i do ich drinków, i ani na chwilę nie przestaje mnie to bawić. Od lat nikt nie uczył mnie nowych sztuczek.

Sarija upija się do nieprzytomności i zasypia na kolanach Kemlatha. Ja wypalam tyle thazis, że z trudem udaje mi się śpiewać żołnierskie pieśni, które intonuje Gurd.

– Jesteś świetnym facetem – mówię do Kemlatha, otaczając go ramieniem. – Jednym z najlepszych. Inni magowie to nadęte snoby. Nienawidzę ich. A ty jesteś żołnierzem. Zawsze cię lubiłem.

Makri jest szczęśliwa. Odzyskała względy Ligi i zbiera mnóstwo napiwków.

Zgrabnie prześlizguje się przez tłum, roznosząc wszystkim piwo i rozdając klapsy tym, których ręce zawędrowały tam, gdzie nie powinny. Jak na nią, klapsy są całkiem przyjacielskie – żadnych połamanych kości. Potem robi sobie następną przerwę. Preyłącza się do nas i rozpoczyna rozmowę z Kemlathem, któiy wydaje się niażafascynowany. Ponieważ wielki mag jest znacznie bardziej kulturalny niż przeciętny bywalec tej tawerny, Makri uważa go za interesującego. Opowiada mu o wszystkim, czym ostatnio zajmuje się w Kolegium Gildii i wspomina o roślinach, które przywiozła z Ferias na lekcje botaniki.

– Dziwadła – mówi. – Nawet mój nauczyciel nie jest pewien, co to takiego.

Coś mnie dręczy. Próbuję to zignorować. Nie chcę, żeby cokolwiek mi psuło dobrą zabawę. Wypijam kolejne piwo. Nic z tego, ciągle mnie męczy. Dlaczego Mursjusz miał w skrzynkach na oknie rzadkie okazy roślin? Prawdopodobnie bez powodu. Wypijam jeszcze jedno piwo. Znów nic z tego. Nie chce się odczepić. Czasami nienawidzę tej detektywistycznej intuicji. Nie zostawia człowieka w spokoju, żeby się mógł zabawić.

Zwlekam się z krzesła i idę na górę, do pokoju Makri. Umeblowany jest z wyjątkową prostotą, bo Makri ma niewiele własnych rzeczy: płaszcz, kilka książek, dużo broni. W przeciwieństwie do mnie, Makri jest bardzo porządna i jej rzeczy są ładnie poukładane.

Rośliny zasadziła w doniczkach przy oknie. Biorę jedną i zabieram na dół. Tam przebijam się przez tłum do stolika w rogu, przy którym siedzą lekarka Chiaraxi i zielarka Cospali. Obie prowadzą sklepiki w Dwunastu Morzach, co jest rzadkim zajęciem dla kobiety.

Obie są też zwolenniczkami Ligi Kobiet Wyzwolonych, być może dlatego, że nie mogą wstąpić do gildii, co źle wpływa na ich interesy.

– Czy któraś z was widziała kiedyś tę roślinę? Oglądają obie. Chiaraxi potrząsa głową, ale Cospali sądzi, że może to być odmiana rośliny coix, której na dalekim zachodzie używa się do leczenia delirium. – Jak wpływ wywarłaby na konie?

– Zapewne odurzający, jeśli to ten sam gatunek. Przepycham się z powrotem do Kemlatha i Makri. Stukam dziewczynę w ramię, być może nieco zbyt entuzjastycznie. – Co ty chcesz zrobić, złamać mi rękę? – Przepraszam. Macham doniczką. – Wiesz, do czego to służy? – Nie.

– Do odurzania koni, oto do czego! Dlatego właśnie Mursjusz tak optymistycznie oceniał swoje szansę w wyścigu. Chciał odurzyć konie przeciwników.

Sarija, żona Mursjusza, siedzi obok nas. Pytam ją o rośliny, jest jednak zbyt pijana, aby rozsądnie odpowiadać. Potrząsam ją za ramię, ale Kemlath chwyta mnie za rękę.

– Przestań!

Pili razem. Najwyraźniej mag ma lepsze maniery niż ja.

Kemlath przeprosza mnie, że odezwał się tak ostro, ale zwraca uwagę, że Sarija dużo ostatnio przeszła i należy jej się nieco odpoczynku. Jestem pewien, że się w niej zadurzył.

Werze swojej intuicji. Senator Mursjusz, bohater wojenny Turai, miał zamiar wziąć udział w bardzo podejrzanych machinacjach na wyścigach. Zastanawiam się, czy Sarija o tym wiedziała. Chce wystawić jego rydwan. Czy również zamierza oszukiwać? W tej chwili nie byłaby w stanie nawet dać dziecku cukierka, nie mówiąc o narkotyzowaniu koni na dużą skalę, ale kto wie, być może senator wynajął kogoś do tej roboty. Mógł na przykład współpracować z Towarzystwem Przyjaciół.

Zbyt wiele wypilem, żeby się nad tym zastanawiać. Jutro na coś wpadnę.

Palax i Kaby wybijają szaleńczy rytm. Grają tak głośno, że obudziliby nawet starego króla Kibena. Cała taweraa zaczyna się chwiać, kiedy pijacy walą kufkami w stoły.

Przyłączam się chętnie i uderzam w podłogę różdżką w rytm muzyki, wysyłając we wszystkie strony wielobarwne tęcze. Jutro skończy się deszcz. Wszyscy są szczęśliwi.

Dalej pamiętam tylko, jak gromiłem magów z Gildii za to, że są zbyt snobistyczni, aby przyjąć uczciwego człowieka (czyli mnie), a króla, konsula i jego zastępcą za to, że są do kitu i nie potrafią rządzić miastem. Potem wszystko mi się zamgliło i usnąłem na krześle z dzbanem piwa w jednej ręce, a pałeczką thazis w drugiej.

15

Budzą się na krześle. Bolą mnie plecy, szyja mi zeszywniała. Jestem za stary na to, aby zasypiać w ten sposób. Sarija śpi na podłodze, owinięta w tęczowy płaszcz Kemlatha, który leży obok, jedną ręką obejmując ją opiekuńczo. Dookoła rozłożyli się inni ludzie. Gurd zazwyczaj wyprasza gości na noc, ale ponieważ sam leży nieprzytomny przy barze, najwyraźniej nie miał po prostu siły.

Zaglądam do torby w poszukiwaniu statuetki, którą przyniósł mi wczoraj Kerk. Zniknęła.

Przez okna wdziera się blade światło. Z zewnątrz dochodzą odgłosy deszczu.

Dziwne.

Wczoraj przecież zakończyła się gorąca pora deszczowa.

Wlokę się do drzwi. Rzeczywiście, deszcz nadal leje się z szarego nieba. Przez wszystkie lata, które przeżyłem w Turai, nigdy nie zdarzyło się coś takiego.

Pory roku są tu nieznośne, ale regularne. Od wysiłku, jakiego wymagał ruch, rozboleła mnie głowa. Czuję się wypluty. Potrzebuję liści lesada. Idę po nie na górę.

Korytarzem wlecze się Makri; wygląda, jakby stała na progu śmierci. Kiedy się pojawia, jęczy.

– Nie powinnam była przyjeżdżać do tego miasta. Tu panuje dekadencja. Głowa mi pęka. Zostały ci jakieś liście?

Kiwam głową. Makri podąża za mną do mojego pokoju, gdzie z biurka wyciągam małą torebkę. W środku jest około dwudziestu liści lesada – to wszystko, co mi zostało.

Zabrałem je martwemu Elfowi kilka miesięcy temu. Zginął, bo próbował oszukać Hanamę.

Zanim popełnił błąd myśląc, że potrafi przechytrzyć Zabójców, był medykiem i używał liści lesada do leczenia wielu przypadłości. Ja stwierdziłem, że doskonale pomagają na kaca. To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zdobyłem od Elfa. Makri z trudem połyka liść, a potem siedzi w milczeniu obok mnie, kiedy oboje czekamy, aż to zadziała.

– Zauważyłeś, że masz na ścianie kolejną groźbę? – pyta po chwili.

Nie zauważyłem. „Zakończ śledztwo w sprawie Mursjusza” – czytam. Wiadomość wypisaną jest krwią lub jej magiczną imitacją. Mam nadzieję, że to się da zmyć.

Pod spodem widnieje litera G. Najprawdopodobniej to Gliksjusz Pogromca Smoków.

Zastanawiam się, dlaczego po prostu nie zaatakuje, zamiast zostawiać te głupie wiadomości.

Mówię Makri, że popiersie Elfa zniknęło w nocy. – To moja wina. Nigdy nie zasypiam z nadmiaru piwa, kiedy masz pizy sobie ważne dowody. To pierwsza rzecz, jakiej nauczyłem się jako detektyw, – Myślisz, że Gliksjusz wkradł się tu w nocy i zabrał je? – Być może. To właśnie taki wredny typ, który nie świętowałby jak wszyscy inni.

Znów zapada milczenie. – Dzięki Bogu za te liście – mówi Makri jakiś czas później, kiedy jej twarz znów nabiera kolorów. – Powinieneś je oszczędzać.

Kończą ci się. – Wiem. Będę musiał się wybrać na Wyspy Południowe po następne.

Bajkowe Wyspy Południowe, kraina Elfów, leżą bardzo, bardzo daleko, i trudno do nich dotrzeć. Potrzebny jest dobrze wyposażony statek, aby przepłynąć ocean, a na dodatek Elfy niechętnie udzielają pozwoleń na wizyty. Jako jeden z niewielu Turajczyków odwiedziłem je dawno temu. Pomyśl, żeby tam pojechać jedynie po lekarstwo na kaca, budzi nasze uśmiechy. – Zauważyłaś, że nadal pada? – O nie! – jęczy Makri i biegnie do drzwi. Patrzy z wściekłością na deszcz i zaczyna narzekać, jakby to była moja wina. – Obiecałeś, że to się skończy. Nie wytrzymam więcej deszczu. Co się dzieje z tym miastem?

Sam chciałbym wiedzieć. Nigdy przedtem się to nie zdarzyło.

Radość ulatnia się natychmiast i całe miasto na powrót pogrąża się w depresji i niepokoju. Nieprzerwany deszcz jest uważany za poważny omen. Nikt nie musi szukać przyczyny.

– To przez Orków! – krzyczy biskup Gzekiusz.

Biskup zastępuje swego podwładnego, Derlexa, który przez jakiś czas nie pojawi się na ambonie.

– Ten deszcz zmyje nas do morza!

Było to dosadne kazanie, wygłoszone z większą pasją niż to zazwyczaj bywa w kościele św. Woliniusza... Przynajmniej tak sędzę, chociaż nienajlepszy ze mnie sędzia.

Nigdy nie chodzę do kościoła, a dziś przyszedłem tylko po to, aby zapytać biskupa, co właściwie sobie myśli, organizując kradzież orkijskiego dywanika modlitewnego.

Rozmowa nie przynosi zadowalających rezultatów. Biskup nie chce się przyznać, że miał jakikolwiek udział w kradzieży dywanika. – To śmieszne twierdzić, że Pontyfik Derlex mógł ukraść dywanik z dobrze strzeżonej willi. – Ma pan wpływy w całym mieście, biskupie. To wystarczy, żeby kilku strażników w razie potrzeby przymknęło oko na kradzież.

Gzekiusz zaprzecza. Twierdzi, że nic nie wie o religii Orków, a kiedy wspominam mu, że pontyfik Derlex czytał o niej w Królewskiej Bibliotece wyjaśnia, że nic mu do tego, co robią młodzi pontyfikicy w chwilach wolnych od pracy.

Pytam go, kto ogłuszył Derlexa i uciekł z dywanikiem, ale biskup znów nie ma nic do powiedzenia. Nie wiem, czy zorganizował ten sabotaż jako element szerszej gry politycznej, czy też tylko z powodu wiary. Zdarzało się, że przedstawiciele Prawdziwego Kościoła zaskakiwali mnie, postępując wyłącznie z czystych pobudek. Aczkolwiek niezbyt często.

Tak czy siak, biskup nie wie, gdzie teraz podziewa się dywanik. Mówi też, że jeśli dalej będę się zajmował tą sprawą, dopilnuje, żeby postawiono mnie przed sądem za włamanie do domu Derlexa. Wyjaśniam mu, że jeśli chce mi grozić, będzie musiał zaczekać w kolejce.

– Rzeczywiście, ostatnio masz kłopoty – przyznaje Biskup złośliwie i wręcza mi kopię Słynnej i wiarygodnej Kroniki Wszystkich ffydarzeń Światowych. Składająca się z jednej kartki kronika poświęca całą stronę szokującemu wydarzeniu, jakim jest nadal padający deszcz. Przyłącza się też do ogólnej opinii, że przyczyną tego jest przybycie pana Rezaza i jego przeklętego rydwanu. „Tylko Prawdziwy Kościół wyraża wolę ludu” – oznajmia Kronika, chwając niezłomność lokalnego biskupa. Dobra reklama dla Gzekiusza.

Zericam na drugą stronę. Niestety, druga strona jest poświęcona wyłącznie mnie.

– Jak to się stało – grzmi kronika – że główny podejrzany o morderstwo turajskiego bohatera, senatora Mursjusza, został zatrudniony przez rząd do ochrony rydwanu Orków? Czy korupcja w tym mieście nie ma granic? Przecież w każdej uczciwej społeczności detektyw Thraxas wspinałby się teraz na stopnie szubienicy, gdzie otrzymałby właściwą zapłatę za swoje zbrodnie, zamiast brać pieniądze od króla za pomaganie tym obrzydłym przeciwnikom ludzkości. Jakby nie wystarczyło, że Straż Obywatelska, która ma za sobą całą potęgę państwa, nie zdołała jeszcze uzyskać wyroku skazującego. W cywilizowanym społeczeństwie byłoby nie do zniesienia, żeby główny podejrzany, Thraxas, człowiek, którego

charakter – to trzeba otwarcie powiedzieć – pozostawia wiele do życzenia...” I tak dalej, i tak dalej. Artykuł jest bardzo wyczerpujący. Ja sam już zapomniałem, że kiedyś ciągnano mnie po sądach za kradzież bochenka chleba podczas porannych modłów.

Byłem wtedy bardzo młody i skończyło się na ostrzeżeniu.

Wygląda na to, że i bez naprzykrzanie się biskupowi Prawdziwego Kościoła masz wystarczająco dużo kłopotów – oznajmia Gzekiusz i wzywa służącego, aby mnie wyprowadził.

Wszędzie, gdzie idę, spotykam się z ponurym gniewem. Nawet Minarixa wydaje się ziiytowana, kiedy wpadam do niej po prowiant, choć może jest to rezultat balowania poprzedniej nocy. Strażnik Jewox jest zaskoczony moim widokiem.

– Dziwiłem się, dlaczego wypuścili cię z więzienia, a ty pracowałeś dla Cycleriusza.

– Właśnie. Czy dowiedziałeś się czegoś o tym magazynie? Nie dowiedział się. W razie czego da mi znać.

– Wiecie może, kto włamał się zeszłej nocy do domu pontyfika?

Nie zgłoszono żadnego przestępstwa popełnionego w domu pontyfika. Cóż, mogłem się tego spodziewać. Dla mnie to jednak kłopot. Już i tak trudno mi było znaleźć jedyną osobę, która wiedziała wystarczająco dużo, aby ukraść ten dywanik modlitewny.

Jak to się stało, że nagle znalazł się kolejny ekspert, który zabrał go Derlexowi? To niemożliwe, żeby nagle całe miasto zaczęło badać religię Orków. W bibliotece jest tylko jeden zwój.

Idę do tawerny „Pod Syreną”. Szef Kasax prawie cieszy się na mój widok.

– Miałeś rację, detektywie. Towarzystwo Przyjaciół wtargnęło do naszej dzielnicy.

Czterej jego członkowie kręcili się w tym magazynie przez tydzień, udając zwykłych pracowników.

Kasax nie jest pewien, co tam robili, ale zakłada, że ich zadanie miało jakiś związek z przybyciem rydwanów, elfijskiego i orkijskiego, bo oba przez jakiś czas były tam przetrzymywane.

– Sam do tego doszedłem. Wydaje mi się też, że wiem, co planowali. Odurzanie koni.

Kasax jest sceptyczny. – Odurzanie? Podczas wyścigu ku czci Turasa? Niemożliwe, detektywie. Królewski Mistrz Koni ogląda wszystkie, a Melusa Bez Skazy szuka narkotyków, nie tylko magii. Żaden odurzony koń nie umknie ich uwagi. – Zazwyczaj nie. Ale wydaje mi się, że tym razem Towarzystwo wymyśliło coś specjalnego. Roślinę coix.

Wyciągam fragment rośliny, którą Makri przywiozła z willi Mursjusza, i wręczam mu.

– Pochodzi z dalekiego zachodu. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego, wiem.

Domyślam się jednak, że na konie zadziała jak potężny narkotyk, a jest zupełnie nieznaną tutaj, w Turai. Jak sądzę, istnieje duża szansa, że gdyby Towarzystwo zdołało nakarmić odpowiednią ilością tej rośliny konie Elfów i Orków, oba zespoły sprawiłyby się kiepsko, i ani Melusa Bez Skazy, ani Mistrz Koni nie potrafiliby nic wykryć.

Kasax patrzy na liść.

– Sprawdzę to – mówi.

Bractwo woli pizemoc od magii, w razie potrzeby korzysta jednak z pomocy czarowników.

– Jak myślisz, kto za tym stał?

Przyznaję, że nie jestem pewien, ale sądzę, że senator Mursjusz. W końcu roślinę znaleźliśmy w jego domu.

– I to ma sens. Jeśli Towarzystwo planowało coś takiego, kto bardziej nadawałby się na wspólnika, niż właściciel najlepszego ludzkiego rydwanu? Mursjusz był bardzo pewien swoich szans, o wiele za bardzo jak na człowieka rywalizującego z Elfami. Wiem, że macza w tym palce Gliksjusz Pogromca Smoków. Być może on jest zabójcą. Może pokłócili się o udziały. Tacy ludzie zawsze się kłócą.

Kasax smutno potrząsa głową. Nawet gangster nie lubi, kiedy okazuje się, że turajski bohater oszukuje na wyścigach. – Może nie był przy zdrowych zmysłach – podsuwam. – Miał ostatnio problemy z żoną. – Słyszałem, że jego żona wystawia jednak ten rydwan. Mówiono mi też, że ciągnie dwa jak gąbka. Sądysz, że kontynuuje operację? – Nie wiem. Wątpię. No cóż, przekażę ten liść Melusie Bez Skazy. Kiedy pozna tę roślinę, nie pozwoli się oszukać.

Kasax uśmiecha się. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przedtem widział jego uśmiech.

– Gratulacje, detektywie. Najwyraźniej uniemożliwiłeś Towarzystwu jakieś manipulacje. To mi się podoba. Powiem moim ludziom, żeby rozglądali się za Gliksjuszem.

Upewnimy się, że już się tutaj nie pokaże.

Opuszczając tawernę „Pod Syreną” dochodzę do wniosku, że nigdy jeszcze żadne moje spotkanie z Bractwem nie okazało się tak owocne. Być może Kasax sądzi nawet, że jest mi coś winien.

Udaję się do Cyceriusza. Ulice w Dwunastu Morzach są już rnie do przebycia dla pojazdów kołowych, muszę więc iść piechotą Bulwarem Księżycy i Gwiazd, aż znajdę powóz, który zabierze mnie do Pałacu Imperialnego. Pomimo potopu pałac nadal wygląda wspaniale, ale nawet tutaj ogrodnicy przegrywają bitwę z deszczem i duży obszar ogrodu znajduje się już pod wodą. Liczni urzędnicy kręcący się w pobliżu chodzą szczerze otuleni w płaszcze, z pochylonymi głowami, i nie wydają się szczęśliwsi niż mieszkańcy Dwunastu Mórza. Cycenusz wita mnie energicznie. Wicekonsul to prawdopodobnie jedyna osoba w całym mieście, na którą pogoda nie wywarła żadnego wpływu. Natychmiast przechodzi do rzeczy. – Za godzinę mam być w sądzie. Bronię senatora oskarżonego o korupcję, nie mogę więc poświęcić ci wiele czasu. Znalazłeś dywanik? – Prawie. – Prawie to za mało.

Opowiadam mu o Derlexie i Gzekiuszu. Cyceriusz kiwa głową. – Trzeba będzie nauczyć Prawdziwy Kościół, żeby nie wtrącał się do spraw państwa. Jak sądzisz, kto zabrał dywanik od Derlexa? – Nie mam żadnych podejrzanych. To bardzo dziwne, panie wicekonsulu. Nie to, że ludzie chcą zniweczyć plany Orków, tego się

spodziewaliśmy. Ale kto jeszcze mógłby sobie zdawać sprawę ze znaczenia dywanika?

Cycenusz i konsul muszą znosić coraz większe naciski ze strony króla. Wicekonsul jest na tyle uczciwy, iż przyznaje, że robię co mogę, ale to mu nie wystarcza.

– Musisz znaleźć dywanik do jutra. Jeśli ci sienie uda, utracimy kopalnie miedzi.

Przed odejściem podaję mu kilka informacji dotyczących sprawy zabójstwa Mursjusza. Ze spokojem przyjmuje wieść, że senator był zamieszany w odurzanie koni.

– Kiedyś byłbym zaszokowany. Dziś nie. Obecnie nic w Turai mnie nie zaskoczy.

Zeszłego lata pomogłem Cyceriuszowi, kiedy jego syn dostarczał dwa następcy tronu, księciu Frisen-Akan. Cyceriusz nie ma złudzeń co do stanu naszego państwa.

Zgnilizna, mówiąc krótko.

Na moją prośbę wicekonsul poleca urzędnikowi, aby zbadał stan finansów Mursjusza.

Okazuje się, że senator wpadł w poważne kłopoty. Duże sumy roztrwonił na spekulacje i poniósł wielkie straty, kiedy statki, których był współubezpieczycielem, zatoneły w zeszłym roku podczas sztormu. Większość jego włości miała obciążoną hipotekę, a on zaciągnął tyle długów, że nie mógłby ich spłacić.

Biedny senator Mursjusz. Facet walczy z Orkami i zostaje bohaterem. Piętnaście lat później jest bankrutem ożenionym z narkomanką. Nic dziwnego, że chciał oszukiwać na wyścigach.

Cyceriusz przywołuje swój urzędowy powóz i razem jedziemy na Aleję Prawda jest Pięknem, gdzie mieszkają magowie. Melusa ma tam wielką willę, luksusową, ale bez ostentacji.

Melusa to potężna czarownica z długiej linii magów. Jej kariera na arenie publicznej rozpoczęła się, kiedy otrzymała posadę na stadionie. Od tego czasu jest ulubienicą całego miasta. Wszyscy ufają Melusie. Czarownica jest mniej więcej w

moim wieku i walczyła podczas ostatniej wojny. Wszyscy magowie walczyli, razem ze swymi czeladnikami.

Melusa stała obok ojca, kiedy ten został zabity przez zionącego ogniem smoka, nie sędzę więc, żeby była zachwycona koniecznością pomagania Orkowi. Opowiadam jej o planach senatora Mursjusza i wręczam liść rośliny coix. Jest mi wdzięczna, chociaż nie chce przyznać, że dałaby się nabrać.

– Wyczułabym, że coś jest nie tak. To łatwe jak przekupienie senatora.

Magowie mają zazwyczaj bardzo wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach. – Na kogo stawiasz w wielkim wyścigu? – pytam. Śmieje się. – Nie wolno mi stawiać.

Informuję ją o ostatnich wydarzeniach i przyznaję, że nie wiem, gdzie szukać dywanika. – Zakładam, że Rezaz Rzeźnik nie jest zadowolony? – pytam. – Nie, nie jest – oznajmia pan Rezaz Caseg, wkraczając do pokoju.

Spoglądam na Melusę z wyrzutem. Powinna była mi powiedzieć, że w sąsiednim pokoju jest Ork. Gdybym wiedział, że mnie słyszy, wyraziłbym się grzeczniej. – I co, detektywie, nie udało ci się znaleźć dywanika mojego woźnicy? – Niestety. – Wobec tego jutro wyjeżdżamy z miasta. – Nie ma potrzeby – mówi Cyceriusz spokojnie. – Może pan całkowicie zaufać Thraxasowi. Znajdzie zaginiony przedmiot.

Cyceriusz mówi z całkowitym przekonaniem, chociaż wiem, że sam w to nie wierzy.

Pan Rezaz zamyśla się. Wszyscy są tak uprzejmi, jakby to było spotkanie starych przyjaciół.

Wicekonsul Cyceriusz (biała toga), Melusa Bez Skazy (tęczowy płaszcz) i pan Rezaz Caseg (czarna tunika) zachowują się z wielkim dostojenstwem. A ja muszę to wszystko zepsuć.

Starałem się zachować spokój, ale udawało mi się to, dopóki pomocnik Rezaza, niski, muskularny Ork z mieczami przy obu bokach, nie powiedział czegoś po orkijsku do swego pana.

Niewielu ludzi w Turai rozumie ten język. Odkąd przybyła Makri, poznałem go całkiem dobrze. Uwaga pomocnika wywołuje cień uśmiechu na twarzy pana Casega.

Zjeżony z gniewu, odwracam się do Cyceriusza.

– To koniec. Wychodzę. Odmawiam pracy dla Orka, który twierdzi, że jestem za gruby, aby znaleźć własne stopy.

Potem rzucam pomocnikowi, również po orkijsku, obraźliwą uwagę, której czasami używa Makri.

– Jak śmiesz tak obrażać moją matkę! – woła, wyciągając miecz.

Wyciągam swój. Mam już dość uprzejmości wobec Orków. To podoba mi się bardziej. – Proszę! – woła Cyceriusz, próbując wkroczyć pomiędzy nas. W tym momencie pizy drzwiach wszczyną się zamieszanie i do środka wkracza pan Lisithar-Moh ze swoimi adiutantami. Elf patrzy zaskoczony na mnie i na Orka, jak stoimy naprzeciw siebie z mieczami w dłoniach. – Co się dzieje? – pyta. – Czy poznał pan już człowieka odpowiedzialnego za to, żeby Orków traktowano uczciwie? – pyta Melusa.

Wszyscy patrzą na mnie. Nadal trzymam miecz w dłoni. Nagle mam wielką ochotę zniknąć.

– Ale to on zaczął – wyjaśniam.

Wicekonsul rzuca mi niezwykle wymowne spojrzenie. Wsuwam miecz do pochwy.

Cyceriusz wyjaśnia Lisithowi, co się dzieje.

Elf i Ork wymieniają formalne ukłony.

– Epicka bitwa, wtedy pod murami – mówi pan Rezaz. – Żałowałem, iż moi popiecznicy okazali się takimi głupcami, że pozwolili pańskim statkom przybić do brzegu.

Gdybym był wodzem całej naszej armii, nigdy bym do tego nie dopuścił.

Elf nie komentuje. Obaj panowie, posiadający wielką władzę, są zbyt zręczni i doświadczeni, aby zdradzać swoje emocje. Nienawidzą się, ale nie okażą tego, przynajmniej nie tutaj. – Słyszałem, że orkijski rydwan to świetny pojazd – mówi

uprzejmie Lisith. – Owszem. Moja duma i radość, zwłaszcza w czasach, kiedy wojownicy muszą szukać rozrywki gdzie indziej. Cieszyłem się na ten wyścig.

Rozpoczynają dyskusję, ale nie przysłuchuję się jej uważnie. Nadal czuję się urażony uwagami o mojej tuszy. Tak więc w tej doniosłej chwili, kiedy po raz pierwszy w historii ludzie, Olkowie i Elfy prowadzą rozmowę zamiast wojny, ja spędzam czas ponuro wyglądając przez okno i popijając wino.

Przerywa mi głośnie kasznięcie Cyceriusza. – Zgadzasz się, Thraxasie? – pyta. Nie wiem, o co chodzi. – Przepraszam, nie słuchałem. Cyceriusz powściąga gniew. – Padła propozycja, aby Melusa, Agziz i Lothlan poszli z tobą natychmiast szukać dywanika. – Agziz i Lothlan? Którzy to?

Wysoki młody Elf daje krok do przodu, kłania się i przedstawia jako Lothlan. – Mój osobisty fechtmistrz – wyjaśnia pan Lisith. Ork, który mnie obraził, również wysuwa się naprzód. – Agziz – mówi. – Osobisty fechtmistrz pana Rezaza Casega. Odwracam się do Cyceriusza. – Chcesz, żebym włączył się po mieście z Orkiem i Elfem w poszukiwaniu dywanika modlitewnego? Nie ma mowy. – Jaki mamy wybór? Doceniam to, że już prawie go znalazłeś. Podobnie myśli pan Rezaz Caseg. Gdybyś nie zajął się tak bez reszty swoim winem, usłyszałbyś, jak chwali twoje detektywistyczne umiejętności. Czas jednak nas pogania. Zarówno Melusa jak i Lothlan potrafią wyczuć przedmiot należący do Orka. Wydaje się też rozsądne, żeby towarzyszył ci Agziz. – Nie przyszło panu do głowy, że będziemy za bardzo rzucać się w oczy? Nie ma mowy, żebyśmy weszli gdzieś niepostrzeżenie. – Melusa może zdjąć tęczowy płaszcz, Agziz i Lothlan ukryją twarze pod kapturami. Żadnych więcej sprzeciwów. Nie mamy czasu. Musisz znaleźć dywanik do jutrzejszego rana.

A teraz idźcie.

Ta więc niewiele później paraduję po mieście z czarownicą ze stadionu, Orkiem i Elfem. Kolejna wspaniała, historyczna okazja, jak sądzę. Orkowie i Elfy nigdy przedtem nie współpracowali. Żaden z nich nie wydaje się uszczęśliwiony.

Mówię wszystkim, że będziemy musieli wpaść po Makri. Nie zamierzam towarzyszyć tej trójce bez wsparcia. Bóg jeden wie, co może się zdarzyć. Chcę

również ujrzeć wyraz twarzy Makri, kiedy zobaczy mnie z Orkiem. Jeśli zabije go od razu, zawsze możemy uciec z miasta. Przynajmniej wydostaniemy się z deszczu. – To wasza wina – mówię do Orka, kiedy odchodzimy. – Co? – Deszcz. Przez was klątwa spadła na miasto. – Orkowie nie boją się deszczu. – To dlatego, że są głupi – wyjaśniam.

Niezbyt wyszukana to obelga. Po kilku piwach na pewno wymyśliłbym coś lepszego.

16

Nadal leje deszcz. Niektóre rejony Turai znajdują pod prawie metrową warstwą wody. Mnóstwo mieszkańców ewakuowano na wyżej położone tereny i w całym mieście żałosni uchodźcy kulą się w magazynach, chorzy, mokrzy i głodni. Liczba przypadkowych utonięć przewyższa wszelkie dotychczasowe notowania, a w wielu dzielnicach nie można zdobyć jedzenia.

Wszyscy cierpią. Nawet wyszukany system odwadniający w Thamlinie nie wytrzymuje i ogrody bogaczy zamieniają się w bagna. Wierni w modlitwach błagają o zakończenie potopu. Nawet ja się dołączam. Jeśli tak dalej pójdzie, wyścig ku czci Turasa zostanie odwołany. Wyścigi mają się rozpocząć za dwa dni, ale rydwany nie mogą wystartować w takim błocie.

Tworzymy dziwną kompanię: jeden dużych rozmiarów detektyw i trzy tajemnicze zakapturzone postacie. Melusa idzie pomiędzy Lothlanem i Agzizem, z obawy, iż naturalna antypatia, jaką odczuwają wobec siebie Orkowie i Elfy sprawi, że zapomną o naszej misji i rozpoczną bójkę. Lothlan już oznajmił, że trudno mu chodzić tą samą ulicą z Orkiem, Agziz zaś podał do powszechnej wiadomości, że on osobiście wolałby raczej zejść do ognistych głębin orkijskiego piekła niż współpracować z Elfem. Ja muszę zachowywać się najlepiej jak potrafię, Melusa bowiem obiecała, że jeśli zacznę sprawiać kłopoty, zakaże mi wstępu na Stadion Superbiusza. Kiedy wchodzimy do mojego biura, Makri gramoli się spod kozetki. – Właśnie szukałam... – zaczyna. – Zapomnij o tym. Jesteś mi potrzebna. – Po co? –

Szukamy tego dywanika. Sądzę że znasz już Melusę Bez Skazy. Pozwól, że ci przedstawię Elfa Lothlana i Orka Agziza. I nie denerwuj się, bo nie ma na to czasu.

Kiedy Ork i Elf zrzucają kaptury, Makri jest przerażona.

– To chyba żarty – mówi. Żeby jeszcze pogorszyć sprawę, Agziz wita ją przyjaźnie, podczas gdy Lothlan jest podejrzliwy.

– Widziałem, jak walczyłaś na arenie – oznajmia Ork. Potem zwraca się do mnie.

– Była niepokonana. Powszechnie uważano, że należała do najlepszych gladiatorów w historii. Tu kłania się mojej towarzyszce.

Makri nie wie, jak zareagować, koncentruje się więc na tym, na czym zna się najlepiej, i biegnie do pokoju po broń.

Dzięki swym elfijskim talentom Lothlan odgaduje pochodzenie Makri. Nie jest zachwycony. – Ork, Elf i człowiek? – mówi. – To wręcz niemożliwe. – Tak, Makri to cud.

Makri wraca z groźnym wyrazem twarzy. Przy obu bokach ma miecze, za pasem topór i sztylet, w bucie kolejny nóż. Na szyi niesie worek gwiazdek do rzucania. – Co robiłaś pod moją kozetką? – pytam, kiedy idziemy przez błotnistą ulicę. – Potrzebowałam pieniędzy. – Czy na lekcjach etyki nie wpajają wam jakichś zasad? – Zapomnij o tym. Co to za pomysł, żeby przyprowadzać Orka do tawerny „Pod Mściwym Toporem” Opowiadam jej o wszystkim.

– To potworne. Lepiej, żeby ten Cyceriusz pomógł mi dostać się na uniwersytet – mówi Makri. – Widziałeś, jak ten głupi Elf mnie ignorował?

Kiwam głową.

– Przynajmniej Ork zachowywał się uprzejmie. Powiedział, że byłaś mistrzynią wśród gladiatorów.

Makri krzywi się. Nie jest zachwycona spotkaniem z kimś, kto widział ją walczącą na arenie. Przypomina jej to o niewolniczej przeszłości.

Przybywamy do kościoła św. Woliniusza. – Śladem dywanika dotarłem do domu pontyfika. – Co teraz? – pyta Melusa Bez Skazy. Przyznaję, że nie mam pojęcia. – To dlaczego nas tu przyprowadziłeś?

– A niby gdzie miałbym was przyprowadzić? Nigdy nie twierdziłem, że wiem, gdzie teraz jest dywanik. To ty i Cyceriusz chcieliście, abyśmy tłumem ruszyli na poszukiwania. To jest ostatnie znane miejsce jego pobytu. Teraz wasza kolej.

Melusa zwraca pytające spojrzenie na Lothlana. – Najwyraźniej nie zrozumiałem, na czym polega rola detektywa – mówi Elf sucho i zaczyna wachać powietrze. Usiłuje odkryć ślad obecności orkijskich przedmiotów. – To na nic – mówi w końcu, potrząsając głową. – Niczego nie mogę wyczuć. Za dużo tu zapachu Orków – spogląda znacząco na Agziza. – Moje nozdrza wypełnia smród Elfów – odgryza się Ork. – Cicho! – rozkazuje Melusa Bez Skazy, a potem pizez dłuższy czas się koncentruje.

Do naszych uszu dochodzi daleki odgłos gromu. Zbliża się kolejna burza. – Tędy – mówi wreszcie czarownica i rusza w stronę przystani.

Idę za nią. Makri podąża obok mnie.

– To jest najgorsza sytuacja, w jaką kiedykolwiek mnie wpakowałeś, Thraxasie.

Wyciągam flaszkę Idee. Tylko Makri przyjmuje poczęstunek. Melusa kroczy przez błoto pomiędzy Orkiem i Elfem, a my wleczeni się z tyłu. Ostrzegam Makri, żeby nie straciła panowania nad sobą i nie zaatakowała Agziza.

– Melusa zagroziła, że nie wpuści mnie na stadion, jeśli zrobię coś nie tak.

Boję się, że mówi poważnie. Jak człowiek może się skoncentrować na hazardzie, kiedy dzieją się takie rzeczy? – pociągam następny łyk kiew. – W ogóle trudno o skupienie uwagi na czymkolwiek innym, kiedy połowa mieszkańców miasta stara się ustawić gonitwę – ciągnę, rozochocony tematem – to skandal. Pewne rzeczy w życiu powinny być święte, nie podlegające ludzkim machinacjom, a jedną z takich spraw jest wyścig ku czci Turasa. Kiedy byłem młody, nikt by nawet nie pomyślał, żeby go ustawiać. Mówię ci, Makri, wszystko wymyka się spod kontroli.

Jeśli będę miał podejrzenia, że ktoś oszukuje, pójdę prosto do konsula i powiem mu, co i jak.

Zażądam, żeby zwołał specjalne posiedzenie Senatu.

Makri patrzy na mnie nieomal z podziwem. – Nigdy nie widziałam cię tak zdenerwowanego. – No cóż, jak już powiedziałem, są w życiu pewne rzeczy, na

których człowiekowi zależy. – Piwo i wyścigi rydwanów? – Dokładnie. Piwo i wyścigi uczyniły mnie takim człowiekiem, jakim jestem obecnie. I jestem z tego dumny!

Melusa doprowadziła nas do samego wybrzeża, do jakichś magazynów na zachód od przystani. Pyta Lothlana, czy coś czuje, ale on potrząsa głową. Czarownica rozgląda się z powątpiewaniem.

– Wydawało mi się, że wyczuwam śladorkijskiej aury... Był jednak tak nikły, że go straciłam.

W tym momencie drzwi magazynu otwierają się i wychodzi z niego czterech wielkich orkijskich wojowników.

– Mówiłaś, zdaje się, że ten ślad był nikły?

Kolejni Orkowie wypadają na zewnątrz, machając szablami i toporami. – Świetnie – mówi Makri, która ma już dość przemykania się po mieście w tym towarzystwie. Ja szukam zaklęcia snu i zdaję sobie sprawę, że go nie wziąłem.

Nadal wykorzystuję całe swoje magiczne umiejętności do ochrony przed deszczem. Błąd taktyczny.

To żadna przyjemność być suchym trupem. A płaszcz i tak muszę zraucić, aby uwolnić ręce do walki.

Melusa Bez Skazy reaguje szybko – unosi rękę i atakuje Orków zaklęciem. Pierwszy rząd pada na ziemię, potem jednak wyczuwam wyraźny wstrząs, kiedy magiczna energia uderza w coś i rozplywa się w powietrzu. Drzwi magazynu znów się otwierają i wychodzi z niego Ork w prostym czarnym płaszczu. Na głowie ma wąski czarny diadem z czarnym kamieniem. Nie widziałem czegoś takiego od piętnastu lat. Ten diadem to atrybut orkijskiego czarownika, a kamień to znak, że osiągnął on mistrzostwo. Ork, który go posiada, potrafi burzyć mury miasta. Mój amulet chroniący przed magią zostanie za chwilę poddany poważnej próbie.

Orkijski czarownik wykrzykuje jakieś zaklęcie. Powietrze nasycza się czerwienią i coś rzuca mnie w tył, ale amulet wytrzymuje. Melusa ustawiła czarodziejską barierę pomiędzy nami a Orkiem, aby jego magia nie zrobiła nam krzywdy. Nie

powstrzymuje to jednak orkijskich wojowników, którzy ruszają do ataku poprzez iskrzące się, czerwone powietrze.

Makri, Lothlan i ja podejmujemy desperacką bitwę o przetrwanie.

Z zaskoczeniem dostrzegam obok nas Agziza. Coś tu jest nie tak. Powinien walczyć po stronie pozostałych Olków. Cieszę się jednak, że tak nie zrobił, bo i bez tego nasze szanse są kiepskie. Ork walczy dwoma mieczami – styl rzadki na zachodzie. Makri jest w nim mistrzynią, chociaż tym razem korzysta z miecza i topora, z fatalnym skutkiem.

Lothlan i ja używamy jednocześnie miecza i sztyletu. Bardziej przydałaby mi się tarcza, nie jest to jednak przedmiot, który się nosi po mieście. Nie jest nam łatwo. Orkowie przyparli nas do muru magazynu i choć odparliśmy pierwszych napastników, wkrótce jesteśmy w tarapatkach, gdy inni zachodzą nas od flanki.

Odbijam uderzenie miecza jakiegoś Orka, a potem dźgam go sztyletem. Jednocześnie on boleśnie zacina mnie w ramię; przed upadkiem ratuje mnie tylko Lothlan, który wali Orka mieczem w rękę, a następnie odrzuca go kopniakiem.

Nagle rozbłyśka światło. Melusa użyła zaklęcia, aby otworzyć nam drogę ucieczki.

Część ściany za nami wali się i wbiegamy do wnętrza magazynu. Melusa nie może wykorzystać całej swojej mocy, bo już jest zajęta powstrzymywaniem orkijskiego czarownika, zdołała jednak puścić za nami strumień ognia, dzięki czemu mamy dość czasu, aby dotrzeć do drzwiczek po przeciwnej stronie. Drzwiczki się otwierają i do środka wbiegają kolejni Orkowie. – W tym mieście podobno mieszkają ludzie? – warczę. – Wozy! – woła Lothlan.

W rogu magazynu stoi kilka pustych wozów, czekających na załadunek. Biegniemy tam i wytaczamy jeden z nich.

– Patrzcie – woła Agziz – Dywanik modlitewny! Rzeczywiście. Znaleźliśmy dywanik, ale wygląda na to, że nigdy nie oddamy go właścicielowi.

Kiedy ustawiamy się plecami do ściany, wóz stojący przed nami daje nam przynajmniej jakąś osłonę przed przeważającymi siłami wroga. Proszę Melusę, aby sprowadziła pomoc, a ona sapie, że już magicznie skontaktowała się ze swoją

czeladniczką i kazała jej przyprowadzić pomoc. Pozostało około dwudziestu Orków. Kiedy się zbliżają, Melusa atakuje i wielka eksplozja wyrzuca pięciu z nich w powietrze. Niestety, ich czarownik korzysta z okazji i bez żadnego ostrzeżenia wóz, którego używamy jako barykady, bucha płomieniem.

Makri wydaje dziki okrzyk wojenny i wyskakuje, aby po raz ostatni zmierzyć się z Orkami. Płomienie liżą drewno wokół nas i nie mamy innego wyjścia, jak pójść w jej ślady.

Widzę, jak rzuca się w wir walki, tnąc Orków na prawo i lewo, i podążam za nią.

Agziz staje obok mnie i wspólnie radzimy sobie z kilkoma, jest ich jednak po prostu zbyt wielu. Agziz pada, a ja desperacko staram się go chronić. Widzę, jak Lothlan celnie wbija miecz w wielkiego orkijskiego wojownika, za chwilę jednak i on pada od uderzenia topora.

Makri skacze do niego i odpędza napastników, ale wkrótce jest otoczona. Wciąż jeszcze stoimy, lecz tylko sekundy dzielą nas od śmierci. Otrzymuję uderzenie maczugi i padam na kolana.

W tym momencie rozlega się gwizdek i do magazynu wpada szwadron królewskich żołnierzy, a za nimi strażnicy. Wiadomość, którą Melusa wysłała swojej czeladniczce, dotarła do celu. Gramolę się na nogi.

– Wszystko w porządku, Thraxasie?

To Makri, pocięta i poobijana, ale nadal w jednym kawałku. Kiwam głową i dostrzegam, że śmierdzą Idee.

– Zbili moją butelkę.

Zarówno Lothlan, jak i Agziz leżą na ziemi. Melusa klęczy przy Olku, chroniąc go przed żołnierzami i strażnikami, którzy pozbywają się ostatnich napastników.

Nagle czuję, że jest mi słabo na skutek otrzymanego udereenia, siadam więc ciężko obok jakiegoś wozu.

Orientuję się, że usiadłem na czymś niewygodnym. Wyciągam ten przedmiot. To mała srebrna statuetka Syreny, dziwne znalezisko, jak na opuszczony magazyn.

Na kolanach wczółguję się pod wóz. – Patrz, Makri-mówię, wynurzając się z kolejną statuetką i obrazem. – Właśnie znalazłem resztę skradzionych dzieł sztuki

Mursjusza. – Po prostu nie potrafisz przerwać śledztwa, co? – Wiem. Czasem mnie samego to zdumiewa. – Ostrożnie – ostrzega Makri. – Brudzisz je krwią. To prawda. Oboje krwawimy.

Wołam do Melusy: – Może ktoś by się nami zajął?!

Później jest jeszcze dużo zamieszania, kiedy strażnicy wysyłają patrole za Orkami, którzy uciekli, a do dygnitarzy w całym mieście rozsyłane są wiadomości. Jakiś czas później siedzę już wygodnie w pokoju przyjęć w oficjalnej rezydencji prefekta Driniusza i piję wino.

Ola odmiany jestem tu jako jego gość. Po naszej desperackiej walce zostaliśmy bohaterami.

Makri i ja trzymamy się stosunkowo dobrze, bowiem zajęła się nami zarówno Melusa Bez Skazy, jak i lekarka Chiaraksi. Lothlan i Agziz są poważniej ranni i powrót do zdrowia może im zająć kilka dni.

– Lepiej od nich radzę sobie w walkach ulicznych – wyjaśniam kapitanowi Rallee. – Ten Elf jest niezłym wojownikiem i w lesie na pewno trudno go pokonać. Ale kiedy zaczyna się uliczna rozróżba, to ja jestem mistrzem. A tak na marginesie, co tam robili ci wszyscy Orkowie?

Kapitan nie wie.

– Masz ostatnio dużo zajęć. Jeszcze kilka bohaterskich wyczynów i być może pozwolą ci uniknąć kary za zamordowanie senatora Mursjusza. – Bardzo śmieszne. Ja go nie zabiłem. – A kto? – Gliksjusz Pogromca Smoków. – Masz jakieś dowody? Potrząsam głową. – Ale znajdę je. Tym razem mi się nie wymknie.

W rezydencji Driniusza aż roi się od kapitanów straży, oficerów, magów z pałacu i różnych ważnych urzędników miejskich. Tajemnicze pojawienie się w mieście tak wielu Orków zmusiło rząd do działania. Kiedy rozmawiam z kapitanem Rallee, przybywa konsul i jego zastępca. Cyceriusz wita się ze mną, ale natychmiast nawiązuje rozmowę z Meiusą Bez Skazy i starym Hazjuszem Wspaniałym.

Kapitan nie wie, skąd się wzięli Orkowie. Sądzę, że ja niedługo będę wiedział.

Wołam służącego i proszę o piwo. Wyjaśnia, że piwa nie mają, i oferuje mi wino.

– Potrzebuję piwa. Zamówcie je. Pamiętaj, właśnie ocaliłem was przed bandą Orków.

Do pokoju wkracza majestatycznie pan Lisith-ar-Moh ze swoimi adiutantami. Mija konsula i zbliża się do mnie i Makii – Lothlan opowiedział mi o bitwie – wyjaśnia. – Wiem, że broniłaś go, kiedy upadł.

Gdyby nie ty, z pewnością zostałabyś zabity. Poprosił mnie, abym ci w jego imieniu podziękował, co właśnie czynię. Przyjmij też moje osobiste podziękowania.

Kłania mi się lekko, a potem, uprzejmym gestem typowym dla wysoko postawionych Elfów, bierze dłoń Makii i całuje ją. Makri gapi się na niego zdumiona i bąka podziękowanie.

Lisith odchodzi, aby porozmawiać z Kaliuszem i Cycleriuszem. Nasza pozycja towarzyska właśnie poszła w górę. Nie każdemu w tym mieście elfijski dygnitarz osobiście składa podziękowania. Wszyscy są pod wrażeniem.

Młody Elf, być może ten sam, który przyglądał się Makri ze zdumieniem, kiedy rozładowywano statek, również podchodzi, aby nam podziękować. Jeśli chodzi o mnie, załatwia to szybko i formalnie. Podejrzewam, że tak naprawdę nagle poczuł pragnienie, aby również pocałować Makri w rękę. Robi to, chociaż elfijska etykieta tego nie wymaga. Makri czerwieni się. Nigdy przedtem nie widziałem u niej takiej reakcji. Elf wyraża nadzieję, że zobaczy ją podczas wyścigu ku czci Turasa, a potem odchodzi za swoim panem.

Makri zostaje, zmieszana, nie przyzwyczajona do tego, aby Elfy całowały ją w rękę. – Rumienisz się. – Co? – Rumienisz się.

Makri twierdzi, że nie wie, co znaczy to słowo. Wyjaśniam jej.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam – odpowiada. – Nie wierzę, że tak jest.

W zatłoczonej sali przyjęć pojawia się figura otulona w czarny płaszcz. Niewielu jeszcze ważnych dygnitarzy Turai zostało przedstawionych panu Rezazowi Casegowi i kiedy zrzuca on kaptur, przez tłum przechodzi dreszcz. Wśród obecnych tu urzędników, komendantów i magów niejeden był młodym żołnierzem

podczas ostatniej „wizyty” Rezaza Rzeźnika i jego widok budzi u nich podobne wspomnienia jak te, które ostatnio zalewały mój umysł. Konsul Kaliusz przygotowuje się, aby go powitać, ale Ork idzie prosto do mnie. – Agziz chciał, abym ci podziękował za ocalenie mu życia – oznajmia Ork. – Nie ma za co – odpowiadam.

Rezaz zwraca się do Makri i jej również dziękuje. Zaglądam do torby i wyjmuję dywanik modlitewny.

– Proszę powiedzieć swojemu woźnicy, że obchodziłem się z tym tak ostrożnie, jak tylko mogłem.

Oczy Rezaza rozbłyskują. Bierze dywanik z wyraźną przyjemnością, a potem wyciąga ręce w geście, który obejmuje zarówno mnie, jak i Makri.

– To świetne! Teraz wyścig może się odbyć. Jestem waszym dłużnikiem i niniejszym uznaję was oboje za przyjaciół orkijskiego narodu Soraz!

Potem odchodzi z dywanikiem w rękę, rozmawiając z ozywieniem ze swoimi adiutantami. Dostrzegam, że wszyscy mi się przypatrują. Nie jestem pewien, czy moja pozycja towarzyska poszła właśnie w górę czy w dół. Status przyjaciela orkijskich narodów to niekoniecznie taka wielka rzecz.

– Nie wytrzymam tego dłużej – mówi Makri. – Przyniesiono ci piwo? Daj mi trochę. – Pociąga duży łyk z mojego pucharu. – Co ci Oricowie tam właściwie robili?

Nikt tego jeszcze oficjalnie nie wyjaśnił, ale wydaje mi się, że już wiem. – Myślę, że byli agentami księcia Kalazara, który rywalizuje z Rezazem o tron Soraz, a przyjechali tu, aby go zabić. Właśnie pomogliśmy ocalić życie orkijskiego monarchy.

Powinnaś być z siebie dumna, Makri. Ja jestem. – Czy to żart? – Tak. Wychodzimy. Nadal leje. – Wyścig się odbędzie? – pyta Makri. – Jeśli deszcz się nie skończy, to nie. Makri jest zaniepokojona.

– Co za głupie miejsce na zbudowanie miasta – mówi, zresztą nie po raz pierwszy.

Budzę się wcześnie. To dzień wyścigu ku czci Turasa. Nadal leje deszcz. Zaczynam podejrzewać, że wyścig może zostać odwołany.

Rozlega się lekkie pukanie do drzwi. To Kasax w obszernej pelerynie, która chroni go przed żywiołem. Rzadko się zdarza, żeby szef Bractwa udał się gdziekolwiek bez kilku osiłków z osobistej ochrony. Zazwyczaj taka wizyta wzbudziłaby lęk, ale teraz chyba ze sobą współpracujemy.

– Postanowiłem podzielić się z tobą paroma informacjami, detektywie. To prywatna wizyta. Gdyby ktoś pytał, nic ci nie powiedziałem.

Kiwam głową. – Dowiedziałem się paru izeczy od Axilana, tego faceta, którego złapaliśmy wczoraj w nocy i który próbował sprzedać nam informacje. Miałeś rację co do tego magazynu.

Wykorzystywało go Towarzystwo Przyjaciół. Ukryli tam ludzi, którzy czekali, aby odurzyć konie Elfów rośliną owe. Ku ich zdumieniu zaoferowano im kilka dzieł sztuki na sprzedaż. – Mówisz o rzeczach Mursjusza? – Dokładnie – Kasax zerka na stos przedmiotów w rogu pokoju. – Widzę, że odzyskałeś te buble. – Niektóre są dużo warte. – Nigdy nie byłem koneserem. No cóż, w każdym razie Axilan twierdzi, że ukrywali się tam, kiedy nagle pojawił się ten mag. – Jaki mag? Gliksjusz? – Dokładnie. Powiedział im, aby wykorzystali swoje kontakty do sprzedania łupu.

Byli zaskoczeni, wiedzieli jednak, że Gliksjusz ma kontakty z Towarzystwem Przyjaciół i bierze udział w operacji odurzania koni. Wsadzili więc łupy na górę, zamierzając je zabrać, kiedy będzie po wszystkim. Nie mieli pojęcia, dlaczego Gliksjusz nie próbował upłynnić tego chlamu w północnej części miasta, gdzie sam ma wiele kontaktów. Zanadto jednak się go bali, żeby dyskutować. Poza tym rzeczy były cenne i mogli na nich dużo zarobić. – Tak więc Axilan siedział tam i czekał na Elfy. Aż tu pewnego dnia usłyszał straszną kłótnię w pokoju na górze. Zaskoczyło go to, bo myślał, że jest sam.

Poszedł tam i znalazł martwego senatora. Sądzę, iż do tego momentu mówi prawdę, bo twierdzi, że widział, jak wszedłeś do magazynu mniej więcej w tym czasie. – Co się stało potem? – Ludzie Towarzystwa wpadli w panikę. Nie chcieli,

aby ich znaleziono w magazynie razem z martwym senatorem, chwycili więc kilka cennych rzeczy i dali nogę.

Sprzedali je, kiedy tylko mogli, aby zdobyć pieniądze na ucieczkę z miasta, bo nie chcieli wracać do siebie po spartaczeniu operacji. Dlatego właśnie znalazłeś tych kilka drobiazgów u okolicznych paserów.

Mówię Kasaxowi, że rzeczy, które uciekający pozostawili w magazynie, zostały stamtąd później magicznie usunięte. – Znalazłem je potem w pobliskim magazynie. – Słyszałem o tym – mówi Kasax. – Wtedy, gdy dokonywałeś bohaterskich czynów walcząc z Orkami. Czy to oni maczali palce w tej kradzieży? – Nie. To tylko zbieg okoliczności, że reszta dzieł sztuki tam trafiła. To był najbliższy pusty magazyn.

Pytam, czy mogę porozmawiać z Axilanem. Kasax potrząsa głową. – Ostatnio go nie widzimy. – Chcesz powiedzieć, że pływa w porcie twarzą w dół? – Nie mam pojęcia. Mówił jednak, że chce szybko opuścić miasto.

Dziękuję Kasaxowi za informacje.

– Nie będzie wyścigów w tym deszczu. Pewnie przeszkadza ci to w pracy.

Kasax wzrusza ramionami.

– Kiedy ludzie nie stawiają zakładów na stadionie, nadal piją w naszej tawernie albo odwiedzają nasze dziwki.

Odchodzi. Zapalam kolejną pałeczkę thaxis i rozmyślam o Gliksjuszu. W jaki sposób położył łapę na rzeczach Mursjusza? Zastanawiam się, czy Sarija sprzedała mu je bezpośrednio. Kiedyś była tancerką „Pod Syreną”. Kto wie, jakie kontakty ma jeszcze w mieście. Dlaczego jednak Gliksjusz zabrał je do magazynu w Dwunastu Morzach?

Zapewne istnieje mnóstwo innych miejsc, gdzie mógłby się ich pozbyć. To nie ma sensu.

Potwierdza jednak hipotezę, że to on zabił Mursjusza.

Gliksjusz Pogromca Smoków. Groził mi śmiercią, planował oszustwo na wyścigach, kradł cenne rzeczy, zamordował turajskiego bohatera. I jeszcze, o ile dobrze pamiętam, umieścił moją aurę na narzędziu zbrodni. Ten facet to problem.

Postanawiam, że tym razem się nie wykręci. Wyślę go do sądu, nawet jeśli ma to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Wizja odwołanego wyścigu pozbawia mnie apetytu na śniadanie. Wyciągam butelkę piwa i wypijam ją, patrząc ponuro na deszcz. Pojawia się Makri. – Jak leci? – pyta. – Lepiej niż niewolnikom na galerze. Nie, cofam to. Nie leje. – Rydwany nie mogą ścigać się w deszczu? – Nie wtedy, gdy tor jest pod wodą.

Makri krzywi się. Cieszyła się na te wyścigi, chociaż nie ma dużo pieniędzy, które mogłaby postawić. Mówię jej, żeby wzięła trochę z tych obiecanych Lidze, ale ona nie chce. – Nie mogę tego zrobić. To by była kradzież. – A jak nazwiesz grzebanie pod kozetką w poszukiwaniu mojej rezerwy na czarną godzinę? – To co innego.

Podjeżdża wóz. Wysiada z niego wicekonsul i brnie ku nam przez błoto. Kiedy wchodzi do środka, jego toga jest nadal lśniąco biała, choć nieco wilgotna.

– Ważne wiadomości – oznajmia.

– Będzie wyścig? Cyceriusz potrząsa głową.

– Niestety, nie. To rzeczywiście nieco obniża wartość wysiłków, jakie włożyliśmy, aby umożliwić występ orkijskiemu rydwanowi. Niemniej jednak pan Rezas nie może się na nas skarżyć i ugoda zostanie zawarta. Król jest bardzo zadowolony, Thraxasie, a rząd w pełni docenia rolę, jaką odegrałeś w odzyskaniu dywanika.

Zwraca się do Makri i jej również dziękuje. Wydaje się zaskoczony, że żadne z nas nie skacze z radości. Potem dostrzega kolekcję dzieł sztuki, które ułożyłem w kącie. – Własność świętej pamięci senatora Mursjusza? Znalazłeś już zabójcę? – Jestem blisko. Chociaż zapewne strażnicy nadal uważają mnie za głównego podejrzanego. – Strażnicy tak naprawdę nie podejrzewają ciebie, Thraxasie – oznajmia Cyceriusz. – Wobec tego dobrze udają. A może chodziło tylko o to, aby mnie przycisnąć, żebym się zgodził pomagać Orkom?

– Nie powiedziałbym tak – odpowiada Cyceriusz. – Istnieją jednak dowody przeciwko tobie. Twoja aura była na nożu, a to nadal trzeba wyjaśnić. Ale wątpię, czy przedstawiono by ci zarzuty.

Wyjmuje sakiewkę i wręcza mi ją. Nagroda za służbę dla miasta. – Wystarczy na kilka dobrych zakładów – mówię. – Jeśli będzie na kogo stawiać.

Czy miałem rację, że ci Orkowie zostali wynajęci przez księcia Kalazara? – Tak. Sprowadził ich tutaj jego główny czarownik, Makeza Gromowładca, w celu dokonania zamachu na pana Rezaza. To był sprytny spisek. Służby bezpieczeństwa w Soraz okazały się zbyt skrupulatne, istniało jednak prawdopodobieństwo, że uda się go zabić w Turai, gdzie będzie miał ze sobą tylko kilku adiutantów. Ponadto, chociaż nasi magowie zazwyczaj odkrywają obecność Orków na zachodzie, Makeza Gromowładca zdołał zamaskować aurę Orków Kalazara, mieszając ją z aurą świty Rezaza. Makeza to niebezpieczny przeciwnik. – Czy strażnicy złapali go w magazynie? – Nie, do tego czasu już dawno uciekł. Zapewne z powrotem na bezpieczną pustynię. – Dlaczego Orkowie ukradli dywanik pontyfikowi Derlexowi? – pyta Makri.

Wicekonsul uśmiecha się.

– Aby go oddać, co najdziwniejsze. Zabójstwa zamierzali dokonać na Stadionie Superbiusza, było więc dla nich bardzo ważne, aby pan Rezaz nie opuścił wcześniej miasta.

Makeza Gromowładca dowiedział się o kradzieży dzięki swym czarodziejskim poszukiwaniom, znalazł dywanik i wysłał Orków, aby go odebrali. Pontyfik Derlex ma szczęście, że żyje. Orkowie zamierzali oddać dywanik anonimowo. Potem wmieszaliby się w świtę Rezaza i zamordowali go w drodze na stadion.

– Nie ma szans, aby wyścig się odbył? – pytam. Cycleriusz wygląda na zirytowanego. – Powiedziano mi, że w tych warunkach to niemożliwe. Ale oczywiście to ma tylko marginalne znaczenie. Sam nigdy nie lubiłem wyścigów rydwanów. – Powinien się pan nimi zainteresować – mówię. – Poprawiłby pan swój wizerunek przed następnymi wyborami.

Cycleriusz nie jest człowiekiem, który gotów jest poprawiać swój wizerunek takim sposobem. Polega całkowicie na uczciwości i prawości. Nigdy nie będzie konsulem.

Na zewnątrz jego woźnica ma kłopoty. Pojazd utknął w błocie. W rezultacie za chwilę męczę się w deszczu, próbując uwolnić urzędowy powóz Cycleriusza, podczas gdy uliczni sprzedawcy przyglądają nam się z rozbawieniem. Połączone siły dwóch koni, dwóch pomocników, dwóch strażników, Makri i mojej skromnej osoby nie wystarczają, aby go ruszyć. – Nie można go po prostu zostawić? – pyta Makri. – Nie, jeśli chcesz, aby profesor Toariusz cię nie oblał.

To na nic. Wóz nie chce ruszyć. Sam Cycleriusz wychodzi, żeby nam pomóc. Wygląda naprawdę śmiesznie w swojej białej todze, której zieloną lamówkę wkrótce pokrywa brud.

Kiedy tak pchamy, rozlega się wezwanie do porannych modlitw, Sabam. Jestem przerażony.

Jak mogłem być tak nieostrożny? Makri wydaje jęk rozpaczy.

– Już jestem mokra jak koc Syreny, a jeszcze mam klękać w tym błocie?

Mając obok siebie strażników, asystentów i wicekonsulanie możemy się wymigać.

Nawet sam Cycleriusz, człowiek pobożny, nie wydaje się zachwycony koniecznością klękania do modlitwy w błocie i deszczu. Szepczę do Makri, aby przestała narzekać.

– Pomódl się o zakończenie deszczu, a wtedy może pójdziemy na wyścigi. Ślę ku niebu gorące prośby, jednocześnie zapadając się w bagno. Kiedy rozlega się sygnał zakończenia modłów, zagłębiłem się już na jakieś trzydzieści centymetrów i wydostaję się z niejakim trudem, utyłany w błocie. Przez cały ten bajzel, deszcz i odwołanie wyścigu jestem przybity jak niojska dziwka i nie widzę możliwości poprawy sytuacji.

– Deszcz ustał – mówi jeden z asystentów Cycleriusza. Patrzymy w górę. To prawda.

Deszcz ustał, a na horyzoncie widać niebieskie niebo.

– Deszcz ustał!

Kiedy zaczyna świecić słońce, dosłownie tańczę z radości. Wieść się roznosi i na ulicach zaczynają się pojawiać szczęśliwi ludzie.

Z tawemy wychodzi Kemlath Zabójca Orków. – Kłopoty? – pyta, widząc ciężkie położenie Cycleriusza, a potem wykonuje jakiś nich ręką. Pojazd dygocze, konie rżą i nagle wóz jest wolny. – Świetne zaklęcie, Kemlath. Szkoda, że nie zjawiłeś się wcześniej.

Zatrzymuję wicekonsula, zanim odjedzie. – W jakim stanie jest system odwadniający na stadionie? Dobrze utrzymany? – Oczywiście – odpowiada. – Sam ustalałem budżet. Wyślę dodatkowych ludzi, żeby pomogli przy oczyszczaniu. – Myśli pan, że wyścigi zaczną się o czasie? – Owszem – odpowiada Cycleriusz. W innym wypadku ucierpiałaby jego reputacja.

Powtarzamy dobre wieści Gurdowi i Tanrose.

– Odmówiłam modlitwę i deszcz ustał – wyjaśnia Makii.

Zaczyna się pełna podniecenia krzątanina, bo wszyscy przygotowują się do wyprawy na Stadion Superbiusza. Guni zamknie na ten dzień tawernę i pójdzie razem z Tanrose. Palax i Kaby będą zabawiać tłumy i być może postawią parę zakładów, jeśli zarobią wystarczająco dużo. Ja i Makri jesteśmy w niezłej sytuacji po otrzymaniu zapłaty od Cycleriusza. Dał mi sześćdziesiąt guranów. Odkładani sześć na odnowienie mieszkania po różnych magicznych ostrzeżeniach i innych takich, a resztą dzielę się z Makri, która ma teraz dwadzieścia pięć guranów. Ja mam pięćdziesiąt, co ją nieco dziwi. – Gdzie zdobyłeś pozostałe dwadzieścia pięć? – pyta podejrzliwie. – Zastawiłem swoją świetlną różdżką. To nadal niewiele, ale wkrótce będzie lepiej.

Stawiaj tak jak ja, a nie pożałujesz.

Makii zastanawia się, czy ktoś znów spróbuje unieszkodliwić rydwan Olków.

– Wątpię. Już za późno. Konsul rozstawił wszędzie strażników, a stary Hazjusz Wspaniały będzie się rozglądał na wypadek, gdyby Gromowładca znów się pojawił.

Po raz pierwszy w ciągu miesiąca nie muszę używać zaklęcia przeciwdeszczowego.

Zamiast tego wykorzystuję swoje magiczne umiejętności, aby wbić sobie w pamięć zaklęcie snu. Nie spodziewani się kolejnych kłopotów, ale chcą być przygotowani na wszystko.

Jestem w wyjątkowo dobrym nastroju.

– To zadziwiające, jak myśl o hazardzie rozwesela człowieka, Thraxasie. Zaledwie wczoraj narzekałeś, że wszystko się wali. Powiedziałeś, że twoja reputacja jest w opłakanym stanie, bo powszechnie nazywają cię przyjacielem Orków, a ponadto nie znalazłeś zabójcy Mursjusza.

Macham ręką.

– Drobnostki, Makri. Znalazłem dzieła sztuki, prawda? Wkrótce znajdę i mordercę.

Jeśli jakiś ważny mag z Pałacu Sprawiedliwości znajdzie związek między skradzionymi rzeczami a osobą Gliksjusza, to wystarczy, żeby wylądował w sądzie. Jeśli nie, cóż, trochę będę musiał jeszcze pochodzić. Tak czy siak, rozwiążę sprawę po wyścigach.

Kemlath Zabójca Orków gratuluje mi uporu.

– Masz rację, Thraxasie, niełatwo cię zniechęcić. Gliksjusz nie powinien był wchodzić ci w drogę.

Kemlath jedzie z nami na stadion. Zamierza spotkać się tam z Sariją, która wystawia rydwan w wielkim wyścigu. Chce udzielić jej moralnego wsparcia.

W moim pokoju nadal leżą rzeczy Mursjusza: fantazyjne filizanki, statuetki i obraz, na którym wyobrażono go jako młodego żołnierza tuż po wojnie z Orkami. – Jak to się stało, że nie ma cię na obrazie? – pyta Makri. – Byłem zwykłym żołnierzem. Oni malowali tylko oficerów i magów. – To kiepski obraz – stwierdza Makri. Okazuje się, że oprócz wszystkich innych zalet jest teraz również krytykiem sztuki. Ja tam nie wiem. Przynajmniej widać, kto jest kto.

Zawsze mi się wydawało, że obraz nie może być zły, jeśli udaje się rozpoznać namalowanych na nim ludzi. To właśnie ten obraz Mursjusz szczególnie pragnął odzyskać.

Przyglądam mu się uważnie. Mursjusz, Kemlath, kilku innych oficerów, których pamiętam. Znow ogarniają mnie wojenne wspomnienia, ale odpędzam je, aby zajmować się zadaniami dzisiejszego dnia.

Tanrose krząta się radośnie, pakując jedzenie na wycieczkę. – Naprawdę myślałem, że odwołają wyścig. – Po prostu się pomodliłam i deszcz ustał – powtarza Makri.

Biorę torbę pałeczek thazis, kilka piw i pięćdziesiąt guranów. Czas iść na wyścigi!

18

Stadion Superbiusza to ogromny kamienny amfiteatr wybudowany sto lat temu przez króla Warkjusza. Odbywają się tu przedstawienia cyrkowe i teatralne, ceremonie religijne, pokazy gladiatorów i – najlepsze ze wszystkich – wyścigi rydwanów. Podczas sezonu wyścigowego amfiteatr napelnia się tłumem widzów ze wszystkich warstw turajskiego społeczeństwa. Pretorzy, prefekci, senatorzy, kapłani, damy z towarzystwa, magowie i wysocy urzędnicy Gildii przychodzą tutaj wraz z masą turajskiego proletariatu, żeby nacieszyć się dniem i być może wygrać trochę pieniędzy. Dziś, podczas wyścigu ku czci Turasa, stadion będzie pękał w szwach.

Ponura atmosfera, jaka ostatnio panowała w mieście, zniknęła razem z deszczem.

Już sama świadomość, że można wyjść na spacer i nie zmoknąć wystarczy, aby rozweselić większość ludzi. Wizja wyścigu, który na pewno się odbędzie, budzi uśmiechy nawet na twarzach tych, którzy wczoraj z dużą pewnością siebie głosili, że wszyscy zostaliśmy przeklęci przez bogów. Ulga jest tak wielka, że miejsce gniewu na Orków zajmuje zainteresowanie ich zbliżającym się pojedynkiem z Elfami. Elfijski rydwan to mocny faworyt.

Niewielu Turajczyków stawia na Orków, nawet jeśli niektórzy podejrzewają, że mogą oni zwyciężyć. Sarija wystawia Szturm na Cytadelę i chociaż osobiście nie sądzę, żeby miał on szansę wygrać, jest to najlepszy z rydwanów wystawionych przez ludzi i z pewnością otrzyma znaczne poparcie.

Niełatwo jest dostać się na stadion. Moja tusza pomaga mi jednak przepchnąć się do środka. Makri podąża za mną,

– Przyznaję, że twoje rozmiary mają swoje zalety – mówi, kiedy przecieram drogę dla nas obojga przez dużą grupę dzieci, które nie śpieszą się z zajęciem miejsc.

Siadamy w dobrym punkcie – w pobliżu toru, z łatwym dostępem do bukmacherów i namiotu z piwem.

Całe Turai tłoczy się na stadionie. Akrobaci i żonglerzy popisują się przed tłumem. Wielka masa ludzi zajmuje trybuny, których rzędy biegną po wewnętrznej ścianie amfiteatru, senatorowie zaś i inne ważne osobistości siedzą w zarezerwowanych dla nich łóżach. W górze dostrzegam kilka zielonych elfich kapturów i prawdopodobnie jeden czarny kaptur Orka, daleko poza zasięgiem wzroku publiczności.

Tuż przed łóżami, doskonale widoczna, stoi Melusa Bez Skazy w swym tęczowym płaszczu. Ten widok daje wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Melusa Piękna, niech będzie błogosławione jej imię, ochroni hazardzistów przed niechcianymi ingerencjami z zewnątrz.

Mam pięćdziesiąt guranów, Makri dwadzieścia pięć. Jestem zaskoczony, że zazwyczaj ostrożna Makri zabrała ze sobą wszystkie swoje pieniądze. Spodziewałem się, że część zachowana artykuły pierwszej potrzeby.

– Nabrałam pewności siebie – wyjaśnia. – Sądzę, że już załapałam, o co w tym chodzi.

Makri jest szczęśliwa. Tutaj na stadionie wszyscy są zbyt zaabsorbowani wyścigami, aby przejmować się takimi drobnostkami, jak młoda kobieta, która w jednej czwartej jest Orkiem, ubrana w męską tunikę, z dwoma mieczami przy boku. W takich chwilach podobne rzeczy tracą jakiegokolwiek znaczenie. W całym mieście nadal jest wilgotno i w ciepłe południa zaczyna unosić się para, ale tor – dość szeroki, aby zmieściło się na nim osiem rydwanów pędzących bok w bok – jest w przyzwoitym stanie. Zapowiada się ekscytujące widowisko.

Siadamy z piwem w rękę.

– Czuję, że dziś jestem chytry jak simnijski lis – mówię i zaczynam przeglądać spis.

Faworytem w pierwszej gonitwie jest Wspaniały Wiatr Północny. Stawka wynosi sześć do pięciu. – Wspaniały Wiatr Północny w pierwszej gonitwie. Pewny zwycięzca. – Mnie się nie podoba – zaskakuje mnie Makri. – Wolę Wschodnią Piękność.

Wschodnia Piękność to drugi faworyt. Bukmacherzy płacą za nią dwa do jednego.

Nie jest to zły wybór, chociaż ja wolę głównego faworyta. Kiedy pytam Makri, dlaczego wybrała ten właśnie rydwan, odpowiada, że spodobała jej się nazwa.

– Nie możesz stawiać na jakiś rydwan tylko dlatego, że podoba ci się nazwa.

Makri nie daje się przekonać. Najwyraźniej chce pokazać, że potrafi sama podjąć decyzję, a poza tym, jak już wspomniałem, Wschodnia Piękność ma duże szansę. Na żaden inny rydwan w tym wyścigu nie warto stawiać. Żaden nie został oceniony wyżej niż szesnaście do jednego, a ja nie jestem w nastroju do podejmowania ryzyka.

Uczciwy Mox ustawił swój stragan na stadionie, a obsługuje go jego syn. Idziemy tam, aby opłacić zakłady.

Ja stawiam pięć guranów, Makri cztery, a potem siadamy w słońcu, aby popatrzeć.

Po fanfarach i przemowie konsula rydwany wytaczają się ze stajni. To jeden z moich ulubionych momentów. Osiem rydwanów, ośmiu woźniców, trzydzieści dwa konie gotowe do pokonania czterech okrążeń. Wspaniale.

Starter opuszcza flagę, rydwany ruszają, a tłum wybucha wielkim rykiem.

Wspaniały Wiatr Północny łatwo obejmuje prowadzenie i przy końcu pierwszego okrążenia znacznie wysunął się już do przodu. Woźnice bezlitośnie smagają pędzące konie. Widzę kolizję – trzy rydwany zaczepiają o siebie kołami i tym samym wypadają z gry. Zespół pracowników amfiteatru biegnie, aby usunąć szczątki, zanim pozostali znów dotrą do tego miejsca.

Przy końcu trzeciego okrążenia Wspaniały Wiatr Północny znacznie wyprzedził swoich współzawodników. Pozostałe trzy rydwany walczą o drugie miejsce.

Wschodnia Piękność, którą wybrała Makri, nie sprawia się najlepiej. Wraz ze wszystkimi zrywam się na nogi i krzykiem zachęcam faworyta.

Często przychodzi mi do głowy, że bogowie są ze mnie niezadowoleni. Może dlatego, że tak rzadko się modłę? Wspaniały Wiatr Północny, któremu pozostało już tylko pół okrążenia i prosta droga do mety, traci koło i zatrzymuje się na środku toru.

Trzy z pozostałych rydwanów wpadają na niego. Siła zderzenia wyrzuca nieszczęsnych woźniców na ziemię. Wschodnia Piękność, dotąd zajmująca ostatnie miejsce, skręca, unika kolizji i dociera do mety jako łatwy zwycięzca. Rozlega się głośny jęk tłumu. Makri wrzeszczy, później zaś prawie traktuje swoich sąsiadów na śmierć, tak bardzo jej się śpieszy, żeby odebrać wygraną.

Wraca machając pięścią pełną monet.

– Wygrałam cztery gurany!

Udaje mi się uśmiechnąć. Nie jestem uradowany, ale nie mogę żałować mojej towarzysze tej przychylności losu... pod warunkiem, że nie zdarza się to zbyt często. – Na co teraz stawiasz, Thraxasie? Studiuję spis. – Oddech Smoka – oznajmiam w końcu. Makri krzywi się. – Nie podoba mi się ta nazwa. Ja postawię na Liliowy Raj. – Liliowy Raj? Cóż to za nazwa dla rydwanu? – Mnie się podoba – upiera się Makri. – On jest zupełnie nie w formie!

Patrzę podejrzliwie na moją towarzyszkę. Jak na Makri to bardzo odważna decyzja.

Liliowy Raj to zupełny nowicjusz, za którego płacą dwadzieścia do jednego.

Wystawia go Magadis, bardzo bogata arystokratyczna wdowa. Jest ona entuzjastką wyścigów i trenuje konie od lat, nie należy jednak do tych właścicieli rydwanów, którym szczególnie dobrze się wiodło. Liliowy Raj to słaby rydwan, nawet jak na jej możliwości.

– I tak mi się podoba – powtarza Makri.

– Pięć guranów na Liliowy Raj – oznajmia Makri, wręczając pieniądze synowi Moxa.

Oddech Smoka to drugi faworyt, za którego płacą trzy do jednego. Stawiam na niego skromne trzy gurany – i dobrze robię, bo już na pierwszym zakręcie ma paskudną stłuczkę i wypada z wyścigu. Po kilku następnych kolizjach ku zdumieniu tłumów Liliowy Raj wygrywa o pół okrążenia.

Tłum narzeka, a ja wraz z nim. – Jak człowiek ma stawiać zakłady, kiedy już na pierwszym zakręcie z jego rydwanu odpadająkoła? – skarżę się i wstaję, aby obrzucać obraźliwymi epitetami woźnicę, którego wynoszą na noszach. – Kochanek Orków! – wrzeszczę. – Kto ci powiedział, że potrafisz powozić rydwanem?

Z pięćdziesięciu guranów zostały mi czterdzieści dwa. Makri, która dzięki Liliowemu Rajowi wygrała zdumiewającą sumę stu guranów, ma teraz sto dwadzieścia dziewięć.

Rzadko widywałem bukmacherów, którzy tak niechętnie wypłacali wygraną.

Właściciel Oddechu Smoka pojawia się na torze, żeby doglądać odprowadzania swego pokiereszowanego rydwanu. – Chodź tutaj, to i ciebie pokiereszuję! – wrzeszczę na niego. – Oszust! – ryczy jakaś kobieta za mną, machając kuflem. Jej towarzysz musi ją powstrzymywać przed wtargnięciem na arenę i zaatakowaniem właściciela. – Mieszkańcy Turai nie lubią przegrywać – zauważa Makri. – Jak cholera – potwierdzam.

Nie mam nastroju do słuchania jej filozoficznych uwag. Przepycham się do stoiska z piwem i kupuję sobie jedno. Dla Makri nie biorę nic. Właśnie wygrała sto guranów. Sama może sobie kupić.

– Podoba mi się tutaj – oznajmia Makri, gdy wracam. – Kogo wybierasz w następnym wyścigu?

Słońce pali. Stadion rozgrzał się już jak orkijskie piekło, a tłum jest niespokojny. To, czego nam trzeba, to popularny faworyt, który dotrze do mety jak po sznurku, a nie stado outsiderów zbierających wszystkie nagrody. Kobieta za mną jest wyjątkowo zajadła. Kiwam głową, kiedy atakuje właścicieli za uzgadnianie wyniku

wyścigów pomiędzy sobą, oszukiwanie uczciwych hazardzistów i odbieranie im ciężko zarobionych pieniędzy.

Mam wrażenie, że jażnam z Dwunastu Mórz, rozmawiamy więc o przywarach właścicieli rydwanów i czekamy, aż rozpocznie się następna gonitwa.

Dostrzegam z ulgą, że bierze w niej udział Wódz Wojowników, jeden z najlepszych rydwanów w Turai. Co prawda to pierwszy faworyt, wiele więc nie zarobię, pozwoli mi to jednak z powrotem stanąć na nogi. Wódz Wojowników to pewniak. Stawiam na niego dwadzieścia guranów przy stawce dwa do jednego.

Makri wybiera Spokój Miłości, beзуżyteczny wrak ciągnięty przez cztery stare chabety i powożony przez faceta, który ostatni raz wygrał wyścig za czasów wojny z Orkami.

To kolejny rydwan Magadisy, zupełnie do kitu. Bukmacherzy płacą za niego szesnaście do jednego, ale nawet przy takiej stawce nie znajduje się wielu chętnych, z wyjątkiem Makri. Ta nadal się upiera, że podoba jej się nazwa i stawia na niego trzydzieści guranów.

– Wyrzucasz pieniądze w błoto. Spokój Miłości nie wygrałby wyścigu nawet wtedy, gdyby wszystkie inne rydwany pożarł smok.

Kiedy Wodzowi Wojowników nie udaje się nawet ukończyć wyścigu, Spokój Miłości zaś spacerkiem dociera do mety jako zwycięzca, nie jestem jedynym, który zrywa się na nogi, wyjąc z niezadowolenia. – Oszustwo! Kanciarze! – krzyczy tłum, dodając wiele innych znacznie bardziej niegrzecznych uwag. Pięści unoszą się gniewnie, poduszki i porwane spisy sypią się na tor.

Strażnicy pilnujący porządku na stadionie powstają i zwracają się w stronę tłumy, zaniepokojeni perspektywą zamieszek. Wśród publiczności panuje wielkie niezadowolenie.

Stadion pełen jest hazardzistów, którzy widzą, jak przepada ich ciężko zarobiona gotówka, bo kiepskie rydwany jeden po drugim wygrywają gonitwy. Rzadko widziałem na wyścigach tak wściekły dum. Na szczęście Melusa Bez Skazy słynie z uczciwości, bo inaczej zrodziłoby się podejrzenie, że ktoś używa magii. I tak niektórzy izuczajaw jej stronę podejrzliwe spojrzenia, a co bardziej zdegenerowani

przedstawiciele klas niższych – na przykład ja – mamroczą obraźliwe oskarżenia. – Do diabła z Melusą, ktoś ją przekupił. – Nonsens – odpowiada Makri wesoło. – Sam mówiłeś, że dostała tę posadę z powodu swojej uczciwości. – No cóż, nie powiesz mi, że to koło spadło przez przypadek. Nawet magowie w królewskiej łoży wydawali się zaskoczeni. – Kiepsko przegrywasz, Thraxasie. – Masz cholerną rację.

Makri opływa w gotówkę. Zarobiła na Spokoju Miłości zdumiewającą sumę czterystu osiemdziesięciu guranów.

– Mam już sześćset dziewięć – mówi,

– Nie przypominam sobie, że bym cię prosił o tę informację. Ja mam już tylko dwadzieścia dwa i wygląda na to, że na ostatni wyścig nic mi nie zostanie.

Przypominam sobie, że Makri jest mi winna pięćdziesiąt – czterdzieści za opłatę egzaminacyjną i dziesięć, które pożyczyłem jej na hazard.

– Oddawaj – żądam.

Makri wypłaca mi pieniądze z wesołym uśmiechem, co jeszcze pogarsza mój nastrój.

Przed wyścigiem ku czci Turasa odbędzie się jeszcze kilka gonitw. Trąby ogłaszają przerogę.

Makri pyta, czy chcę pójść z nią po coś do zjedzenia, ale jestem w zbyt paskudnym humorze, aby jej towarzyszyć.

– Wolę posilać się w samotności – odpowiadam. Wydarzenia tego dnia doprowadzają mnie do szału. Tu dzieje się coś dziwnego, a ja poruszę niebo, ziemię i trzy księżycy, aby się dowiedzieć, co. Zostawiam Makri, aby cieszyła się swoją wygraną, a sam odchodzę w kierunku najbliższego straganu z jedzeniem.

Dumam właśnie nad wielkim plackiem z mięsem o nazwie Specjał Stadionu, kiedy nadchodzi kobieta, która przedtem siedziała za mną.

– Nie widziałam takiej niesprawiedliwości od czasu, jak odwołano wyścigi podczas wojny z Orkami – oznajmia.

Teraz ją poznaję. Była wówczas właścicielką tawerny „Pod Syreną”. Podała mi niejedno piwo, kiedy byłem spragnionym młodym żołnierzem. Kobieta mówi mi,

że poślubiła mężczyznę zajmującego dobrą pozycję w Cechu Bednarzy i przeniosła się do Pashish. – Jak idzie interes? – Dobrze. Inaczej nie byłoby mnie stać na to, żeby tyle tu stracić.

Odchodzę w nieokreślonym kierunku. Zostały mi siedemdziesiąt dwa gurany, wliczając w to pieniądze, zwrócone mi przez Makii, Moja pewność siebie została jednak poważnie nadszarpnięta. W pobliżu łóż senatorskich spotykam Kemlatha Zabójcę Orków.

Udaje się właśnie do pomieszczeń właścicieli rydwanów, aby życzyć szczęścia Sariji, której zespół niedługo będzie startował. – Nie sądzę, żeby miała szansę w starciu z Orkami i Elfami – mówi szczerze. – Trzeba ją jednak podziwiać za to, że zdobyła się na ten wysiłek. Sarija to wspaniała kobieta. – Zauważyłem, że ją polubiłeś.

Skarżę się Kemlathowi na pech, jaki mnie prześladował.

– Nie zauważyłeś, żeby ktoś używał magii? – Magii? – mówi Kemlath. – To niemożliwe. Wiesz, że Melusa by na to nie pozwoliła. – Pewnie nie. – A skoro mówimy o magii – dodaje Kemlath. – Widziałem tam Gliksjusza Pogromcę Smoków.

Macha ręką w stronę grupy ludzi. Jego wielki pierścień błyska w słońcu.

– Gliksjusz Pogromca Smoków. Naprawdę? Przypominam sobie plotki o Towarzystwie Przyjaciół i ich planach dotyczących wyścigowego oszustwa. Czy te dziwne wydarzenia są rezultatem tego planu? Czy Towarzystwo w jakiś sposób dokonuje tutaj manipulacji? Postanawiam trochę się rozejrzeć. Kemlath ostrzega, żebym był ostrożny, i przypomina mi o magicznych umiejętnościach Gliksjusza.

– Do diabła z magicznymi umiejętnościami. Jak z nim skończę, będzie żałował, że zamiast magii nie uczył się plecenia koszyków.

Na stadionie znajduje się wielu magów w tęczowych płaszczach, ale Gliksjusza łatwo dostrzec ze względu na jego wzrost. Przedzieram się ku niemu przez tłum. Kiedy się zbliżam, stoi odwrócony do mnie tyłem i rozmawia z jakimś senatorem.

– Nie rozumiem tego – mówi. – Wódz Wojowników powinien był wygrać. To niewątpliwie najlepszy rydwan startujący w tej gonitwie. Straciłem już dzisiaj dwieście guranów.

Senator kiwa głową ze współczuciem; najwyraźniej sam też dużo dziś przegrał.

– Gadki-szmatki – warczę, łapiąc Gliksjusza za ramię. – To ty za tym stoisz, ty i twoje Towarzystwo Przyjaciół.

Gliksjusz obraca się szybko, a na jego twarzy odbija się pogarda i wściekłość.

– Czy musisz mnie napastować, dokądkolwiek się ruszę? – pyta. – Gdybyśmy nie znajdowali się na stadionie, gdzie używanie magii jest zabronione, wyrwałbym ci serce z piersi, żeby je podeptać.

Powtarzam swoje oskarżenia. Senator wygląda na zainteresowanego. Gliksjusz dostrzega to i zaczyna się bronić.

– Oskarżasz mnie o ustawianie wyścigów? Mnie? Jak śmiesz? Sam osobiście poniosłem duże straty.

– I co z tego? Zapewne udajesz, żeby odwrócić od siebie podejrzenia.

Jednak kiedy to mówię, sam już nie jestem całkowicie przekonany. Mam bardzo, bardzo duże doświadczenie w obcowaniu z hazardzistami i ich reakcjami na przeciwności losu. Z niechęcią przyznają, że Gliksjusz Pogromca Smoków zachowuje się jak człowiek szczerze przygnębiony swoją przegraną, a nie jak ktoś, kto całą sprawę zorganizował.

– Masz jakieś dowody na poparcie tych oskarżeń? – pyta senator.

Dowody? Właściwie nie. Gliksjusz wraz z Towarzystwem Przyjaciół niewątpliwie planował odurzanie koni, jednak udowodnić tego nie mogę. Nie wiem nawet, czy kontynuowali operację po śmierci Mursjusza, czy też została ona odwołana. Mówiąc zupełnie szczerze, nie mam solidnych dowodów przeciw Gliksjuszowi, a wcześniej nie chcę zdradzać mu swoich atutów. Jeśli mam udowodnić, że zabił Mursjusza, nie mogę go zawczasu informować o tym, co wiem. Byłem głupi, że do niego podszedłem. Emocje wzięły nade mną górę.

– Osobie, która bezpodstawnie wygłasza takie oskarżenia, grożą surowe kary – oznajmia senator.

Odwracam się na pięcie i odchodzę, zły na samego siebie. Nic mi się dzisiaj nie udaje.

Znalazłem się właśnie w pobliżu łóż senatorów, które chroni niski mur. Melusa Bez Skazy rozmawia tam z Cyceriuszem. Podchodzę i domagam się, aby mnie wpuszczono.

Wicekonsul kiwnięciem głowy daje znak asystentowi, aby mnie wpuścił.

Podchodzę do nich. Cyceriusz wygląda na zadowolonego. – Cieszę się, że traktujesz swoją pracę poważnie – mówi. – Jaką pracę? – Uniemożliwianie sabotażu oikijskiego rydwanu, oczywiście. – Sabotaż rydwanu Orków? Raczej sabotaż mojej osoby – odwracam się do Melusy Bez Skazy. – Co tu się dzieje? Czy chce mi pani powiedzieć, że Spokój Miłości wygrał tę ostatnią gonitwę bez pomocy magii?

Kilku senatorów i pretorów kiwa potakująco głowami, gdy to mówię. Nie tylko biedacy ucierpieli na skutek wyścigowej katastrofy, która się tu wydarzyła.

Melusa uśmiecha się.

– Przyznaję, Thnucasio, że to była seria nieoczekiwanych wyników. Jednakże obserwowałam wszystko bardzo uważnie i mogę cię zapewnić, że na stadionie nie używano magii. Nie było też żadnych prób odurzania koni.

Otoczający nas senatorowie wzdychają. Wygląda na to, że musimy się pogodzić z naszymi stratami.

Jestem speszony. Skoro Melusa tak mówi, to musi być prawda. Ponadto wśród widzów znajduje się wielu magów. Wszyscy oni specjalizują się w różnych rodzajach magii, jednak gdyby działo się coś dziwnego, przynajmniej jeden musiałby to zauważyć.

Postanawiam udać się do stajni rydwanów położonej pod stadionem. Być może tam coś odkryję. Czyżby ktoś podpiłowywał osie?

Kiedy zbieram się do odejścia, Cyceriusz odciąga mnie na stronę. – Nadal pracujesz dla miasta – syczy surowo. – Oczekuję, że zamiast tracić czas na hazard, będziesz pilnował spraw Orków. – Do diabła z Orkami – warczę w odpowiedzi. – Mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

Odchodzę wściekły. Po raz kolejny zniszczyłem swą reputację w kręgach rządowych.

Do diabła z nimi wszystkimi. Biorę piwo i zaczynam znów przepychać się przez mam. Jest za gorąco. Żałuję, że zbiłem swoją butelkę Idee. Ślepy żebrak staje mi na drodze.

Odpycham go, a on przewraca się na ziemię i głośno narzeka. Ignoruję jego protesty.

Najprawdopodobniej po prostu udaje ślepego. Ci żebracy, nigdy nie można im ufać.

U stóp trybun trafiam na rząd straganów bukmacherów. Ludzie pragnący złożyć zakłady stoją przed nimi w kolejkach. Wśród nich dostrzegam Hanamę Mistrzynię Zabójców.

Jestem zdumiony. Nie wierzyłem, że przyjdzie – a jednak przyszła. Ma na sobie tanią niebieską suknię, z rodzaju tych, jakie zakładają specjalne okazje niezbyt zamożne turajskie kobiety, i zupełnie nie wyróżnia się w tłumie. Chudziutka i blada, wygląda jak uczennica, która wymknęła się na wagary.

Nie rozumiem tego. To po prostu niesłychane. Celem życia Zabójców jest właśnie unikanie zabawy. Zastanawiam się, czy nie przyszła tu w przebraniu, aby kogoś zabić. Mam nadzieję, że ofiarą padnie jakiś właściciel rydwanu. Byłbym szczęśliwy widząc, jak właściciela Wodza Wojowników wynoszą ze stadionu z nożem w plecach.

– Odkryłeś coś? – pyta Makri, kiedy wracam na swoje miejsce. Nigdy widziałem jej w tak wesołym nastroju. To naprawdę irytujące. – Nie. – Sądzę, że nie ma czego odkrywać – oznajmia Makri. – To po prostu jeden z tych dni, kiedy faworyci przegrywają. Sam mi mówiłeś, że to się czasem zdarza. Tak wynika ze statystyki.

Stawiam dwadzieścia guranów na Zabójcę Demonów, a Makri trzydzieści na Radosny Wschód Słońca. Jej rydwan wygrywa o półtorej długości i moja towarzysza zgarnia kolejne sześćdziesiąt guranów. W następnej gonitwie

wybieram faworyta, Jadowitą Żmiję, Makri zaś Czarodziejską Tęczę, nowicjusza, za którego płacą dwadzieścia pięć do jednego.

Czarodziejska Tęcza odnosi pierwsze w swej historii zwycięstwo. Nawet sam woźnica wydaje się zaskoczony. Tłum zrywa się na równe nogi, aby wyrazić protest.

Strażnicy znów muszą tworzyć kordon, aby uniemożliwić ludziom wtargnięcie na tor. Na ich głowy lecą butelki i połamane krzeselka. Ja straciłem kolejne dwadzieścia guranów.

Makri odbiera pięćset, i w ten sposób dochodzi do niesłychanej sumy tysiąca stu dziewiętnastu guranów. – Łatwe jak przekupienie senatora – oznajmia.

Nie rozumiem tego. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś odnosił takie sukcesy na wyścigach, po prostu wybierając rydwany o przyjemnych nazwach.

Syn Uczciwego Moxa wypłaca jej wygraną z ponurą miną. Interes idzie mu jednak całkiem dobrze. Zarabia krocie na każdej porażce faworyta. Nikogo to nie bawi.

Tylko pojawienie się rydwanów Oików i Elfów powstrzymuje widzów od rozpoczęcia zamieszek.

Urzednicy roztropnie wyprowadzają te rydwany wcześniej, bo wiedzą, że zainteresowany nimi tłum uspokoi się. Sztuczka się udała. Kiedy pojawia się pan Lisith-ar-Moh, rozlegają się głośnie wiwaty. Gdy za nim wtacza się rydwan Orków, słychać mnóstwo gwizdów i szyderstw. Wszyscy zapominają o swoich stratach, bowiem zbliża się główny wyścig tego dnia. Orkijski woźnica ma długie czarne włosy, splecione w warkocz i związane czarną wstążką. Pomimo otaczającej go atmosfery wrogości jedzie z pewną siebie miną.

Zakładam, że teraz, kiedy ma już z powrotem swój dywanik modlitewny, czuje się bezpieczny.

Następny wyjeżdża Szturm na Cytadelę; za nim idą Kemlath i Sarija. Tłum znowu klaszcze. Powszechna popularność spowodowała, że za ten rydwan płacą teraz dwa do jednego, tyle samo, co za elfijską Rzekę w Świetle Księżyca. Orkijski rydwan, Niszczyciela, oceniono na cztery do jednego. Niektórzy sprytni hazardziści

postawili na niego, uznali bowiem, że wygrana jest ważniejsza od patriotyzmu. Żaden inny zawodnik zbytnio się nie liczy; za pozostałe pięć rydwanów stawki wynoszą od szesnastu do osiemdziesięciu. Do jednego, oczywiście.

Nadal nie wiem, jak stawiać. Wolałbym, żeby zwyciężyły Elfy, ale nie jestem pewien, czy nie uda się to Orkom. Nie miałbym nic przeciwko temu, aby zgarnąć wygraną przy stawce cztery do jednego. Zostały mi już tylko trzydzieści dwa gurany i ruina zagląda mi w oczy. Ciągle odkładam złożenie zakładu. Stawka za orkijski rydwan spada do pięciu do jednego. Kusi mnie. W pewnej chwili doświadczam dziwnego uczucia. Jest podobne do tego, jakiego doznałem w magazynie, kiedy pojawili się Orkowie. Chyba nie powinienem się dziwić, przecież są oni i tutaj.

Jednak wyczuwam coś jeszcze. Obok mnie przechodzi jakiś mężczyzna, zupełnie normalny, w gładkiej tunice i sandałach. Dostrzegam małą bliznę na jego czole.

Nigdy przedtem go nie widziałem. Sam nie wiem, dlaczego to robię, ale ruszam za nim.

Facet idzie w górę przez trybuny. Chyba się śpieszy i znów moja tusza pomaga mi przepychać się przez tłum, abym mógł dotrzymać mu kroku. Nie zwraca uwagi ani na bukmacherów, ani na hazardzistów. Na szczycie trybun kieruje się w lewo i rusza ku łóżom senatorów. Jestem tuż za nim, chociaż nadal nie mam pojęcia, dlaczego moje zmysły wychwyciły coś niezwykłego.

Kiedy mężczyzna zatrzymuje się przed łóżami, zerkam na jego twarz. Czy mi się wydaje, czy też blizna na jego czole zaczyna się jarzyć? Przed łóżami stoi Cycleriusz. Tuż obok niego jest pan Rezaz Caseg. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, i rzucam się na nieznajomego. Łąduję na nim całym swoim ciężarem i kiedy obaj się przewracamy, ogromna błyskawica energii wystrzela w powietrze. W chwilę później walczę gołymi rękami z Makezą Gromowladeą. Ten orkijski czarownik znacznie mnie przewyższa we wszystkim za wyjątkiem tuszy. Uniemożliwiłem zamach na Rezaza Rzeźnika, ale być może nie przeżyją tego.

Zaciskam dłonie na szyi Orka i desperacko staram się odsunąć jak najdalej od kamienia na jego czole. Udaje mu się jednak odwrócić głowę na tyle, aby puścić

promień energii na moje ramię. Wrzeszczę z bólu. Amulet zachował mnie przy życiu, ale nie jest na tyle potężny, aby powstrzymać magiczny atak z bliskiej odległości.

Wołam o pomoc, strażnicy jednak nie reagują wystarczająco szybko. Przypominam sobie, że zabrałem zaklęcie snu. Korzystam z niego teraz, starając się nasycić je jak największą mocą. To zaklęcie może odebrać przytomność całej kompanii, ale na potężnego orkijskiego czarownika wywiera niewielki wpływ – tyle tylko, że Makeza nieco poluznia chwyt. Wyrywam mu się, kopię w żebra, potem przeskakuję przez murek otaczający łożę senatorów.

– Oczekujecie, że sam wszystko załatwię? – jęczę i chowam się za Melusę Bez Skazy.

Niech ktoś potężniejszy ode mnie wkroczy do akcji.

Makeza Gromowładcą wraca do swej prawdziwej postaci. Zrywa się na równe nogi i rusza ku nam z oczami płonącymi gniewem. Trzej strażnicy skaczą na niego, ale on jednym magicznym słowem wyrzuca ich w powietrze. Kiedy zbliża się do niskiego murku, nawet nie myśli przez niego przełazić – po prostu wykrzykuje zaklęcie i mur się wali.

Melusa Bez Skazy wychodzi mu naprzeciw, a ja dostrzegam z ulgą, że kilku innych turajskich magów śpieszy na ratunek. Makezy nie da się tak łatwo pokonać.

Tymczasem Rezaz Rzeźnik wyciąga miecz. Adiutanci idą w jego ślady. To powoduje dalsze zamieszanie, ponieważ senatorzy nagle znajdują się obok grupy uzbrojonych Orków i nie są całkiem pewni, co się dzieje. Obecni na miejscu strażnicy nie wiedzą, kogo właściwie mają chronić. Rezaz wysuwa się naprzód, aby stawić czoło Makezie, Gromowładca zaś natychmiast wypowiada potężne zaklęcie, które odrzuca Orka w tył. Rezaz osuwa się na ziemię.

Melusa rozkłada ramiona i koncentruje całą swoją moc na Makezie. Ten otacza ją wielką kulą żółtego światła i czarownica z trudnością się z niej uwalnia.

Wychodzi jednak bez szwanku i rzuca na Gromowładcę własne zaklęcie. On jednak również nie ponosi uszczerbku i idzie dalej, ku leżącemu na ziemi Rezazowi. Dwaj z jego adiutantów rzucają się na czarownika, ale i oni zostają

odrzućni jak muchy. Pojawia się kolejna potężna turajska czarownica, Lizutaris Kochanka Niebios, ale Makeza nadal prze naprzód.

Już przedtem widziałem tych orkijskich czarowników w akcji. Wiem, jacy bywają potężni. Nawet kiedy podbiega Harmon Pół-Elf, któremu z kieszeni wystaje kilka pokwitowań, i przyłącza się do Melusy i Lisutaris, sprawa nadal nie jest przesądzona.

Powietrze pełne jest ognia, a z metalowych barierek strzelają błyskawice.

Boli mnie ramię. Żaden z moich rydwanów nie wygrał. Straciłem mnóstwo pieniędzy i jestem w naprawdę parszywym nastroju. Jeśli Makezie Gromowładcy uda się zabić Rezaza Rzeźnika, wyścig ku czci Turasa zostanie odwołany i nigdy się nie odegram. Mam już zupełnie dosyć tych ciągłych przerw w wyścigach. Chwytam kieliszek Idee z rąk żony jakiegoś senatora, wychylamje, potem podnoszę ciężkie krzesło i zaczynam zachodzić walczących czarowników od tyłu.

Wielki wir ognistych kolorów otacza teraz większą część sektora senatorów.

Wkraczam w jego środek, modląc się, żeby mój amulet mnie ochronił. Trudno mi oddychać, ale zaciskam zęby i prę naprzód. Przestrzeń wewnątrz wiru wydaje się zakrzywiona – widzę Makezę, ale w oddali. Kiedy ruszam ku niemu, zmienia się w wielkiego bojowego smoka Orków. Smok zwraca w moją stronę głowę i obnaża Idy. W nosie ma wielki pierścień mocy, z olśniewającym niebieskim kamieniem, który wysyła trujące promienie. Coś mi to przypomina, ale nie wiem co. Z całą siłą uderzam smoka w łeb krzesłem. Bestia znika z ogłuszającym hukiem, a ja stwierdzam, że znów stoję w sektorze senatorów z połamanym krzesłem w rękach i nieprzytomnym oridjskim czarownikiem u stóp. Przed sobą widzę Melusę Bez Skazy, Lisutaris Kochankę Niebios i Harmona Pół-Elfa. Wyglądająca wyczerpanych. Melusa ociera pot z czoła. – Już od dawna nie walczyłam z Orkami – mówi, oddychając ciężko. – Przez chwilę myślałam, że będę musiała zwrócić toge. Dobra robota, Thraxasie. Skąd wiedziałeś, że to zadziała? – To sztuczka, którą zapamiętałem z wojny. Kiedy czarownik wroga jest całkowicie pochłonięty magiczną walką, często można go pokonać uderzeniem w głowę ciężkim przedmiotem. Tak na marginesie, sądziłem, że Hazjusz Wspaniały miał się

rozglądać za Makezą. – Został w domu, bo jest przeziębiony. To już starszy człowiek – wyjaśnia Melusa.

Pan Rezas Caseg gramoli się na nogi, potem dziękuje magom i mnie. Wszyscy przyznają, że wykazałem się wielkim sprytem rozpoznając Makezę, kiedy szedł przez tłum w ludzkiej postaci.

Puszczam gratulacje mimo uszu, jestem bowiem nieco oszołomiony. Nie tyle w wyniku walki – atak Makezy skoncentrował się przede wszystkim na trójce magów – ale z powodu nagłego natchnienia, które mnie nawiedziło, gdy tylko wszedłem w magiczny wir.

Często stwierdzam, że bliski kontakt z magią wprawia w ruch moją intuicję. Gdy tylko zobaczyłem smoka z magicznym pierścieniem w nosie zrozumiałem, kto zabił senatora Mursjusza. Co za głupiec ze mnie, że nie domyśliłem się wcześniej.

Senatorowie i ich żony wracają do swoich łóż. Konsul Kaliusz ma minę, jakby chciał uścisnąć mi dłoń, ale dochodzi do siebie i zamiast tego dziękuje mi sztywno.

– Nie ma za co. Czy w tym sektorze sprzedają piwo? Nie sprzedają. Dla senatorów tylko wino.

Kalusz przejmuje kontrolę i wydaje rozkaz, aby Wyścig rozpoczął się tak szybko, jak to możliwe, żeby tłum nie zaczął się niecierpliwić. Makeza Gromowładca zostaje związany i odprowadzony pod strażą magów.

Potrząsam głową, aby mi się w niej rozjaśniło, a potem w zamyśleniu wychodzę z sektora. Znajduję posłańca i daję mu małą monetę, aby zaniósł wiadomość do kapitana Rallee.

– Co się tam stało? – pyta Makri. – Thraxas po raz kolejny pospieszył z pomocą Rezasowi Rzeźnikowi. Zapewne okrzyknięto mnie już największym przyjacielem Olków na Zachodzie.

Rydwany ustawiają się za linią, Wciąż jeszcze nie postawiłem za zaden rydwan.

Nie mogę się zdecydować. W kolejce dotrzegam Hanamę i skradam się za nią. Kiedy stawia zakład, staram się usłyszeć, co mówi. Wśród hałaśliwego tłumu

niełatwo jest wyłowić jej miękki głos. Wydaje mi się, że powiedziała: Spokojne Sny o Niebie.

Spokojne Sny o Niebie to najgorszy rydwan, jaki kiedykolwiek widziano w Turai.

Bierze udział w wyścigu tylko dlatego, że trzeba było kimś zastąpić inny wóz, który siew ostatniej chwili wycofał. Kiedy zaczęły się wyścigi, płacono za niego osiemdziesiąt do jednego; teraz stawka wynosi pięćdziesiąt do jednego, ileś osób musiało go więc obstawić.

Choć niewiele. Bo i po co? To pudło nie ma szans.

Hanama znika w tłumie, prześlizgując się z łatwością przez masę ciał. Trąby ogłaszają początek gonitwy. Przelykam ślinę. To, co zamierzam zrobić, kłóci się z wszystkimi moim zasadami. – Osiemnaście guranów na Spokojne Sny o Niebie. Szybko wracam na miejsce. – Co obstawiłaś? – pytam Makri. – Spokojne Sny o Niebie.

– Tak myślałem – mówię. – Ma bardzo ładną nazwę. Wbijam w nią groźne spojrzenie.

Ona odwzajemnia mi się tym samym. Stadion Suberbiusza wybucha podnieconym zgiełkiem, rozpoczyna się bowiem długo oczekiwana rywalizacja między najlepszymi rydwanami Elfów i Orków. Kiedy rydwany docierają do pierwszego zakrętu, nikt już nie siedzi na swoim miejscu. Wszyscy zerwali się z miejsc i zachęcają woźniców krzykiem. Nie tylko skore do wybryków masy uległy nastrojowi chwili – na górze, w swoim ogrodzonym sektorze, senatorowie, magowie i urzędnicy miejscy również dali się ponieść podnieceniu.

Elfy przybyłe z panem Lisitfaem machają zielonymi flagami, a Orkowie stoją na swoich krzesłach i wykrzykują słowa zachęty w swoim chropawym, gardłowym języku.

Po raz pierwszy ja i Makri postawiliśmy na ten sam rydwan. Niestety, jest to najgorszy pojazd w mieście. Podczas pierwszego okrążenia sytuacja przedstawia sienie najlepiej. Elfjska Rzeka w Świetle Księżyca wcześniej objęła prowadzenie; tuż za nią pędzi Szturm na Cytadelę. Orkijski Niszczyciel utrzymuje się na czwartej

pozycji, a Spokojne Sny o Niebie zajmują ostatnią. Podczas drugiego okrążenia sytuacja się nie poprawia.

Wywrzaskuję kilka obelg pod adresem woźnicy. Dwa rydwany zderzają się, trzeci wycofuje się z wyścigu, bo prowadzący koń okulał. W rezultacie trzecie okrążenie rozpoczyna tylko pięć rydwanów, z których Spokojne Sny o Niebie nadal zajmują ostatnią pozycję.

Widzę, że elfijski woźnica mówi coś do koni, zachęcając je do wysiłku. Ork używa bata. Jego sposób, choć nie tak łagodny, okazuje się skuteczny, bez problemu bowiem wysuwa się na trzecią pozycję i pędzi tuż za Szturmem na Cytadelę.

Rydwan jadący za Niszczycielem próbuje go wyprzedzić, ale źle na tym wychodzi, bo orkijski woźnica wali batem w twarz swego przeciwnika i jego wóz wpada na barierkę.

Trzeba przyznać, że ten Ork ma świetną technikę. Tłum szaleje. Kiedy zaczyna się ostatnie okrążenie, Rzeka w Świetle Księżyca, Szturm na Cytadelę i Niszczyciel pędzą jeden za drugim i dobrze sobie radzą. Jedyne pozostałe rydwany, Spokojne Sny o Niebie, wlecze się niemal o całe okrążenie z tyłu. Przeklinam swoją głupotę. Nie mogę uwierzyć, że postawiłem pieniądze na ten zardzewiały szkielet i kulawe szkapy.

– Proszę, ześlij wielki karambol – mówię, wznosząc oczy ku niebu.

Makri, ogarnięta szaleństwem, o mało nie traci panowania nad sobą. Wrzaskiem dopinguje Spokojne Sny i macha mieczem, co jest zabronione na stadionie, nawet kiedy obstawiony rydwan przegrywa.

Na ostatniej prostej Niszczyciel rusza do akcji i mija Szturm na Cytadelę, jakby rydwan Sariji stał w miejscu. Zrównuje się z Elfami i oba rydwany zaczynają walczyć o prowadzenie. Orkijski woźnica wali batem Elfa, który nie pozostaje mu dłużny.

Strzelają iskry, kiedy koła obu wozów ocierają się o siebie. Konie pędzą naprzód z szybkością nigdy przedtem nie oglądaną na naszym stadionie. Hałas jest ogłuszający. W życiu jeszcze nie widziałem tak rozszalałego tłumu hazardzistów.

Młodzi czeladnicy magów, którzy postawili na Elfy zarobki całego miesiąca, machają swoimi różdżkami. Dostrzegam Gurda: stoi na swoim siedzeniu i wrzaskiem dopinguje woźniców, a pot spływa po jego potężnym karku.

Na ostatniej prostej Elf prowadzi o nos, ale wydaje mi się, że Ork ma lepszy finisz.

– To już koniec! – wołam i zwieszam głowę w rozpacz. Nagle koła obu rydwanów zaczepiają o siebie. Następuje spektakularna kolizja, oba pojazdy wypadają z toru i kończą jako wielka plątanina Orków, Elfów, drewna, metalu i koni. Szturm na Cytadelę, wpadający na ostatniąprostą, nie ma żadnych szans. Woźnica próbuje zwolnić, ale nie ma na to czasu i on również wylatuje w powietrze, kiedy jego rydwan wpada na wraki i przetacza się w bok po torze.

Spokojne Sny o Niebie, jadące daleko z tyłu, mają mnóstwo czasu na to, żeby zwolnić i ostrożnie przemknąć przez to pobojuwisko. Potem mijają metę jako jedyny rydwan, który ukończył gonitwę, i tym samym jej zwycięzca. Tłum wydaje zbiorowy jęk rozpacz.

Nie wszyscy jednak przyłączają się do niego. Makri wpada w szal, ja też. Niemal tańczę w drodze do straganu Uczciwego Moxa, gdzie odbieram swoją wygraną. Jestem szczęśliwy jak pijany najemnik. Nie, szczęśliwszy. Osiemnaście guranów przy stawce pięćdziesiąt do jednego – dziewięćset guranów!

Obok straganu Moxa jakiś zirytowany najemnik narzeka na swój los. Stracił wszystkie pieniądze i twierdzi, że wyścig był ustawiony.

– Nonsens – mówię szorstko. – Takie rzeczy się zdarzają. Przyjmij to jak mężczyzna.

Rozlega się jeszcze kilka protestów, jednak po ogromnym podnieceniu wywołanym przez ostatnią gonitwą tłum wydaje się otępiały. Większość siedzi spokojnie, kiedy pracownicy stadionu usuwają zniszczone rydwany i zapewniają opiekę medyczną ich woźnicom.

Makri wygrała niemal niewiarygodne sumy. Ma teraz tysiące guranów i musi sobie kupić nową torbę, aby je zanieść do domu. Wyciąga garście monet tylko po to, żeby się im przyjrzeć.

Proszę, aby złożyła je na jakiś czas w sejfie stadionu. – Po co? – Będzie mi potrzebna twoja pomoc. Kapitan Rallee stuka mnie w ramię. – Dostałem twoją wiadomość. Co się dzieje?

Kapitan stracił wszystkie pieniądze i daleko mu do radości.

– Nie jestem przekonany, że wszystko odbyło się uczciwie – mówi. – Czego chcesz?

– Sprowadź mi więcej strażników i kilku potężnych magów. Idziemy na dół w stronę toru, gdzie panowie Lisith-ar-Moh i Rezaz Caseg oglądają swe porozbijane rydwany i sprawdzają, jak czują się woźnice i konie. Chociaż się nie zaprzyjaźnili, najwyraźniej zawarli rozejm. – Wspaniały wyścig. – Rzeczywiście wspaniały.

Sarija też tam stoi. Elf grzecznie gratuluje jej doskonałej formy, jaką zaprezentował Szturm na Cytadelę. W odpowiedzi Sarija gratuluje im obu, Lisithowi i Rezazowi.

Pojawia się Melusa Bez Skazy, razem z Kaliuszem i Cyceriuszem. Wszyscy są wobec siebie bardzo uprzejmi. Chociaż z punktu widzenia zwykłego Turajczyka wynik wyścigu pozostawia wiele do życzenia, w kategoriach dyplomatycznych wszystko jest w porządku. Nikt nie wypowie nam wojny.

To jedna z tych rzadkich chwil, kiedy między Orkami, Elfami i Ludźmi panuje pokój.

Z niechęcią psuję dobry nastrój, ale nie chcę tego przeciągać. Podchodzę do Kemlatha Zabójcy Orków.

– Co za ekscytujący dzień, Kemlath. Zauważyłem, że nosisz swój ulubiony pierścień.

Ten, który ukradłeś senatorowi Mursjuszowi, gdy go zabiłeś.

Kapitan Rallee patrzy na mnie ostro, podobnie konsul i jego zastępca.

– Sądzę, że ma on dla ciebie duże znaczenie, Kemlath, ale biorąc go postąpiłeś nieostrożnie. – Odwracam się do kapitana. – Ten pierścień był własnością świętej pamięci senatora Mursjusza. Mogę to udowodnić. Widać go wyraźnie na obrazie namalowanym tuż po wojnie z Orkami. Sam konsul podarował mu go za męstwo.

Sarija potrząsa głową i protestuje.

– To pierścień Kemlatha. Konsul dał takie wszystkim oficerom.

Z kolei ja potrząsam głową.

– Niestety, nie. Kemlath powiedział ci to, abyś go nie podejrzewała. Ja jednak przejrzałem akta w bibliotece. Konsul wręczył tylko jeden pierścień. Kemlath zabrał go Mursjuszowi, zazdrościł mu bowiem jego wojennych dokonań i... ciebie.

Przyglądałem się temu obrazowi przez wiele dni, ale dopiero teraz to zauważyłem. Wiesz, Kemlath, zastanawiałem się, dlaczego tak się interesujesz tą sprawą. Przez jakiś czas sądziłem, że powodem są twoje uczucia wobec Sariji. Ale chodziło o coś więcej. To ty usunąłeś z magazynu kradzione dzieła sztuki. Wcześniej jednak byli tam bandyci z Towarzystwa Przyjaciół, którzy zabrali kilka rzeczy. Jedną z nich był ten obraz, ty zaś wiedziałeś, że grożą ci kłopoty, jeśli zostanie on odnaleziony i ktoś skojarzy fakty. Tak jak ja teraz.

A gdyby nawet nikt nie skojarzył tego pierścienia, pozostałe dzieła sztuki nadal mogły cię obciążyć, bo nie miałeś czasu ich porządnie oczyścić. Sprytnie postąpiłeś, trzymając się zawsze blisko mnie. Za każdym razem, kiedy pojawił się jakiś dowód, na przykład filizanka z brązu, ty usuwałeś z niej magicznie wszystkie ślady przestępstwa. Nic dziwnego, że ciągle zapędzałem się w ślepe uliczki.

Stada czarnych śmierzuszek latają nad trybunami, zbierając śmiecie pozostawione przez tłum. Nigdy nie lubiłem tych ptaków.

– Te magiczne ostrzeżenia to już była jednak przesada. Pierwsze wysłał Gliksjusz, a ty poszedłeś w jego ślady. Najprawdopodobniej po prostu się zabawiałeś. A tak na marginesie, pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że na jednym z przedmiotów odkryłeś aurę Gliksjusza?

Wymyśliłeś to, bo w rzeczywistości nigdy go nie spotkałeś. To naprawdę śmieszne, że ciągle obwinałem Gliksjusza, podczas gdy za wszystko odpowiedzialny byłeś ty.

Kemlath zachowuje spokój. Nie grozi mi ani nie protestuje. – Dlaczego miałbym zabijać mojego dobrego przyjaciela Mursjusza? – pyta. – Bo byłeś piekielnie zazdrosny. Twój dobry przyjaciel Mursjusza sprzątnął ci sprzed nosa Sariję, oto dlaczego! Rozmawiałem z dawną właścicielką tawemy „Pod Syreną”.

Obaj tam chodziliście podczas wojny, kiedy przydzielono was do obrony murów w Dwunastu Morzach. Ta kobieta bardzo dobrze pamięta, że ty pierwszy poprosiłeś Sariję o rękę, a ona ci odmówiła, żeby potem przyjąć oświadczyzny Mursjusza. Myślę, że od tego czasu go znienawidziłeś.

Kemlath, nieporuszony, nadal zaprzecza moim oskarżeniom.

Kapitan Rallee nie jest pewien, co dalej robić. Trudno ocenić, czy przedstawione przeze mnie argumenty są nie do zbiccia, a Kemlath to ważna osobistość, jeszcze jeden bohater wojenny. Kapitan prosi spojrzeniem o radę konsula Kaliusza. Kaliusz zaczyna mnie wypytywać:

– Czy ten pierścień to jedyny dowód, jaki posiadasz? Wydaje mi się bowiem, że Mursjusz w każdej chwili mógł go Kemlathowi po prostu podarować.

Zwracam się do Sariji.

– Co ty na to? Podarował? Kobieta potrząsa głową.

– Mój mąż miał go na palcu tego dnia, gdy zniknął.

Oczy ma rozszerzone przerażeniem. Uwierzyła mi. Oto kobieta, która wieczorem, a może nawet wcześniej, znacznie uszczupli swoje zapasy dwa. Kaliusz rozkazuje, aby Kemlatha tymczasowo aresztowano, do czasu przeprowadzenia dalszego śledztwa.

Kapitan Rallee nadal wydaje się zatroskany. – Dlaczego czekał z zabiciem Mursjusza aż dwadzieścia lat? – Nie wiem. Może po prostu rozmyślał o tym, aż wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać. A może nic by się nie wydarzyło, gdyby nie stanął z nim twarzą w twarz w tym magazynie. To nie było zaplanowane. Mursjusz brał udział w spisku Towarzystwa Przyjaciół, którego celem było odurzanie koni. Sądzę, że Kemlath dowiedział się o tym i zagroził, że go wyda. Niestety, Sarija wybrała właśnie ten moment na sprzedaż dzieł sztuki Axilanowi, mało znaczącemu członkowi Towarzystwa. Axilan zjawił się w willi, aby odebrać odurzające rośliny.

Kemlathowi niezbyt się to spodobało. Nie chciał, żeby w magazynie znalazły się jakiegokolwiek rzeczy, które mogłyby kogoś doprowadzić do Sariji. Chociaż zamierzał wydać Mursjusza, nie chciał, aby aresztowano również jego żonę.

Próbował więc usunąć stamtąd skradzione rzeczy. Niestety, jego wizyta zbiegła się w czasie z przybyciem Mursjusza.

Zakładam, iż Kemlath powiedział Mursjuszowi, że ma zamiar poinformować władze o oszustwie, i zaczęli się kłócić. Może Kemlath nie zaplanował tego zabójstwa, ale tak się jednak stało. Zbyt nie pewnie nie zmartwił. Dzięki temu mógł swobodnie zalecać się do Sariji.

Kapitan Rallee notuje to wszystko w pamięci. Nasz kapitan ma świetną pamięć.

Nigdy się nie zdarzyło, żeby o czymś zapomniał. – Myślę, że chyba masz rację, Thraxasie. Nie jestem jednak całkiem pewien, czy mamy dość dowodów, aby przekonać sąd. Dlaczego nie zczekałeś z tym publicznym oskarżeniem? – Bo miałem już tego wszystkiego dosyć, oto dlaczego. Aresztowano mnie, robiono ze mnie głupka i wszyscy utrudniali mi życie. Wkurzył mnie Kemlath, wkurza pogoda, a już szczególnie wkurzyły mnie wyniki wyścigów. Ja swoją robotę wykonałem. Znalazłem zabójcę. Jeśli potrzeba więcej dowodów, jestem pewien, że strażnicy potrafią znaleźć. A teraz idę do domu. – Jeszcze tylko jedno, Thraxasie. Ci Orkowie, których podobno spotkałeś w Ferias – to nie było kłamstwo? – Oczywiście, że nie! Sądzi pan, że zmyśliłbym coś takiego? Należeli do grupy zamachowców księcia Kalazara. Makeza Gromowładca ukrywał ich tam do czasu wyścigów.

Zapewne wybrał Ferias, bo tam jest lepsza pogoda.

Odchodzę. Makri rusza za mną. Kiedy mijamy Melusę, obie kobiety udają, że się nie znają.

– Nie zawracaj sobie głowy udawaniem – mruczę. – Ja wiem, co się tutaj dzisiaj działo.

W powozie wiozącym nas do Dwunastu Mórz Makri bawi się torbą pełną pieniędzy.

Ja mam dziewięćset guranów, ale kiedy minęła euforia wywołana wygraną, wpadłem w naprawdę ponury nastrój. – Miałaś dzisiaj dużo szczęścia – mówię. – Bez wątplenia – odpowiada Makri wesoło. – Dziwne, jak te wszystkie słabe rydwany zwyciężały. Bardzo dziwne. W ostatnim wyścigu wygrałem dziewięćset

guranów. Obstawiałem Spokojne Sny o Niebie, chociaż był to najgorszy rydwan biorący udział w tej gonitwie. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo zauważyłem, że Hanama na niego stawia, oto dlaczego.

Makri chyba czuje się nieswojo. – Ile z tego będziesz mogła zatrzymać? – pytam. – O co ci chodzi? – Możesz chociaż trochę wydać? Czy też obiecałaś oddać wszystko Lidze Kobiet Wyzwolonych? – Przestań gadać głupstwa, Thraxasie. – Nie gadam głupstw. Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że trzecia co do znaczenia osoba w Cechu Zabójców dla przyjemności zakłada suknię i udaje się na wyścigi, to z góry, przepraszam, ale nie uwierzę. Wszystkie gonitwy były ustawione, Makri, i ty dobrze o tym wiesz. I nie miało z tym nic wspólnego Towarzystwo Przyjaciół czy Bractwo.

Faworytom nie pękały osie, a ich konie nie stawały dęba bez powodu. Tam była w robocie magia. – Na stadionie Superbiusza nie można używać magii – mówi Makri z uporem. – Można, jeśli uda się przeciągnąć na swoją stronę zatrudnioną tam czarownicę.

Powinnaś wspomnieć Melusie Bez Skazy, że jeśli znowu będzie chciała dokonać takiej machlojki, powinna to robić nieco bardziej dyskretnie. Wiem, że Liga Kobiet Wyzwolonych na gwałt potrzebuje pieniędzy, ale Liliowy Raj jako zwycięzca? A Spokojne Sny o Niebie?

Domyślam się, że podczas pobytu w Samsarynie Melusa nauczyła się jakichś nowych zaklęć, których nikt tu nie zna, ale gdyby nadal tego próbowała, wpadnie w tarapaty.

Jeśli męska część Turajczyków dowie się kiedykolwiek, że czarownica ze Stadionu używa magii, żeby umożliwić Lidze Kobiet Wyzwolonych zdobywanie pieniędzy, rozerwą was na strzępy.

A ja im pomogę.

To obrzydliwe, Makri. Na stadionie widziałem chyba ze dwadzieścia członkiń Ligi, i wszystkie nabijały sobie kabzy. Nie przeszkadzałoby mi to tak bardzo, gdybyś nie próbowała oszukać i mnie. Wszystkie te gierki: ustawianie się pod moim drzwiami, rozmowy o hazardzie z Hanamą prowadzone donośnym szeptem...

Jakbym naprawdę mógł uwierzyć, że nagle stała się miłośniczką wyścigów. Skończy ze sztyłem w plecach, jeśli Cech Zabójców dowie się, że pracuje dla Ligi. – Wydaje mi się, że Hanama jest wystarczająco odpowiedzialna, aby pracować, dla kogo chce. – To obrzydliwa morderczyni. Pewnie dlatego potrafisz się z nią dogadać. Za kogo ty się uważasz, że oszukujesz na wyścigach? – Potrzebowaliśmy pieniędzy – protestuje Makri. – Tak jak wszyscy biedni woźnice, stolarze i marynarze, którzy myśleli, że wszystko odbywa się uczciwie. Mówię ci, Makri, nie jestem zadowolony. Czarownica ze stadionu oszukuje publiczność! I to na dodatek sama Melusa Bez Skazy! Jedyne, co mnie powstrzymuje od opowiedzenia o wszystkim „Słynnej i wiarygodnej Kronice” to obawa, że na pewno zrzucą cię wtedy z murów miasta. Ludność Turai miała już dość Orków przez ostatni miesiąc. Niezbyt by się ucieszyli, gdyby się dowiedzieli, że na dodatek jakiś Ork ich oszukuje.

Makri reaguje na to furią.

– Sugerujesz, że jestem Orkiem?

– No cóż, to pewne, że nie wyznajesz ludzkich wartości. Makri wysuwa głowę z powozu, krzyczy do woźnicy, żeby się zatrzymał, i wyskakuje na ulicę. – Nigdy się do mnie więcej nie odzywaj, ty otyły pijaku! – woła. – Ork-oszust! – wrzeszczę w odpowiedzi i Makri odbiega. Jest strasznie rozeźlona. – I nie próbuj znowu mnie okradać, Spiczaste Ucho! – rzucam za oddalającą się postacią.

Słońce pali. Upał jak w orkijskim piekle. Chociaż wygrałem dziewięćset guranów, jestem wściekły jak oszalały smok. Nie mogę znieść tego, że Liga Kobiet Wyzwolonych przechytryła wszystkich.

Miasto, bardzo ostatnio niespokojne, wraz z nadejściem święta Turasa i festiwalu Złączenia Trzech Księżyców zaczyna powracać do normalnego stanu. Temperatura obniża się, bo jesień chyli się już ku zimie.

Po wyścigach wiele było rozgoryczenia, lecz zaskakująco niewiele podejrzeń.

Wszyscy ufają Melusie Bez Skazy, niech jej imię zostanie błogosławione.

Dowiaduję się, że Lidze Kobiet Wyzwolonych udało się przepchnąć podanie o nadanie im statusu Cechu na kolejny stopień urzędowej drabiny.

Cyceriusz jest ze mnie zadowolony. Wyścig się odbył, Elfy nadal nas lubią, a pan Rezaz ochroni nasze kopalnie. Jeśli tok dalej pójdzie, być może pewnego dnia wrócę do pałacu.

Straż Obywatelska zbadała sprawę zabójstwa Mursjusza, i zdołała zbudować rozsądny akt oskarżenia przeciw Kemlathowi. Nawet kapitan Rallee przyznaje, że tym razem okazałem się chytry jak simnijski lis.

Rozprawa jednak się nie odbędzie. Kiedy w grę nie wchodzi zdrada stanu, każdemu obywatelowi o tak wysokiej pozycji jak Kemlath, nie mówiąc już o bohaterach wojennych, dawana jest sposobność ucieczki z miasta. Arystokraci rzadko stają pod szubienicą czy wiosłują na galerach. Zamiast tego udają się na wygnanie, tak jak czyni teraz Kemlath.

Sarija została w mieście i wydaje swój spadek na dwa. Gliksjusz Pogromca Smoków przesłał mi wiadomość. Teraz lubi mnie jeszcze mniej niż przedtem i zabije przy najbliższej okazji. Biorąc pod uwagę, że pomyłkowo naprzykrzałem mu się w sprawie Mursjusza, nie mogę go za to winić.

Na szczęście wygrałem na wyścigach dziewięćset guranów i przez jakiś czas nie będę musiał pracować. To jedyne światelko w moim tunelu. Teraz, kiedy nadchodzi zima, chciałbym spędzić kilka miesięcy po prostu siedząc w ciepłej tawerny, próżnując i popijając piwo. Niestety Makri uniemożliwia mi relaks.

– Ogarnęło ją jakieś szaleństwo – zżyma się Tanrose.

Gurd potwierdza skinieniem głowy. – Wczoraj o mało nie zdemolowała toporem tylnej ściany tawerny. Twierdziła, że ćwiczy sztukę walki, ale zauważyłem, że wyrysowała na ścianie twoją podobiznę, Thraxasie.

Dlaczego nazwałeś ją Orkiem? – Kłóciliśmy się.

Ponieważ nikt inny w Turai nie zdaje sobie sprawy, że Liga Kobiet Wyzwolonych ustawiła wyścigi, zdecydowałem, że ich nie zdradzę. Częściowo w trosce o bezpieczeństwo Makri, częściowo zaś w obawie, że ktoś mógłby próbować odebrać mi wygrane wówczas dziewięćset guranów. Ale nadal jestem na nią

cholernie wściekły. Może sobie posiekać tyle iysunków, ile tylko chce, nie przeproszę jej. Oszukiwanie podczas wyścigu ku czci Turasa to świństwo. Nawet Astrath Potrójny Księżyc zadowalał się oszustwami podczas mniej ważnych spotkań.

Makri wchodzi do tawerny.

– Przyszłaś na wieczorną zmianę? – pyta Gurd. Makri potrząsa głową.

– Odchodzę. Nie zamierzam mieszkać w tej samej tawernie co gruby, beзуyteczny pijak, który nazwał mnie Orkiem.

Wściekła biegnie na górę. – Dlaczego tak na mnie patrzycie? – pytam. – Dlaczego to ja zawsze muszę przeproszać? Słyszeliście, jak mnie nazwała. – Wiesz, Thraxasie, że powinniście się pogodzić. Byłoby ci smutno, gdyby Makri naprawdę odeszła. Kto by cię bronił, kiedy trzeba walczyć z bandytami? – Bronilem się doskonale sam, jeszcze zanim się pojawiła. Niech sobie idzie. I tak doprowadza mnie do szału. Jak nie ta przeklęta organizacja kobieca, to jakaś bzdura, której nauczyła się od filozofa Samanatusza. Kto kiedy słyszał, żeby barbarzynka ze wschodu uczęszczała do Kolegium Gildii? To wszystko jest śmieszne.

Gurd i Tanrose nadal patrzą na mnie oskarżycielsko. Zaczynam się czuć jak ofiara prześladowań.

– No, do diabła, jeśli to dla was dwojga takie ważne, powiem, że mi przykro, chociaż na nic się to nie przyda. Nawet Makri nie jest na tyle naiwna, aby trzy razy pod rząd dać się nabrać na bukiet kwiatów.

Już dwukrotnie, kiedy Makri zezłościła się na mnie i nie chciała się pogodzić, za radą Tanrose dawałem jej bukiet kwiatów. Uznałem to za wyjątkowo głupią receptę na przeprosiny, ale na Makri wywierały one wyjątkowy efekt: wybuchała płaczem i wybiegała z pokoju. Za każdym razem. Tanrose uważa, iż to dlatego, że dorastała jako niewolnica-gladiatorka i nigdy nie dostawała żadnych prezentów.

Makri pojawia się na dole z torbą na ramieniu. – I powiedzcie temu opasłemu ślimakowi, że jeśli znów kupi mi kwiaty, wtłoczę mu je do gardła – oznajmia i wybiega za drzwi. – Ona tylko tak mówi – wyjaśnia Tanrose. – Jestem pewna, że ta metoda znowu podziała.

Patrzę na nią zdumiony. Tanrose żywi niemal mistyczną wiarę w potęgę kilku kwiatków. To śmieszne.

– Kup jej nowy topór – podsuwa Guni. – Chyba uszkodziła swój ulubiony podczas rozwalania ściany.

Dlatego właśnie idę teraz ulicą Kwintesencji w stronę rynku, aby odwiedzić zbrojmistra. Pogoda jest przyjemna; ciepłe jesienne powietrze zaczyna się powoli ochładzać.

Zbliża się zima. Zima w Turai to piekło. Byłoby straszne, gdybym nie mógł spędzić jej wygodnie przed buzującym ogniem w tawernie „Pod Mściwym Toporem”.

Docieram do sklepu zbrojmistra. Na drzwiach wisi napis: „Zamknięte z powodu żałoby”. Zapomniałem, że jeden z jego trzech synów w zeszłym tygodniu zginął w wypadku, zabity strzałem z kuszy. Drugi syn zbrojmistra wkrótce będzie za to sądzony.

Za późno już, aby szukać innego sklepu z bronią. Muszę poczekać do jutra. Wracam na ulicę Kwintesencji, gdzie robię zakupy w piekarni. Minarixa jest wobec mnie mniej przyjazna niż zazwyczaj. Prawdopodobnie Makri rozpusza plotki na mój temat.

Zatrzymuję się na ulicy, aby coś zjeść. – Przyszedłeś po kwiaty? – pyta kwiaciarz Baxos. – Hej, Rox – woła do sprzedawcy ryb. – Thraxas znowu kupuje kwiaty! – Nadal ma przyjaciółkę, tak? – odkrzykuje Rox, dość głośno, aby usłyszała go cała ulica.

– Bądź dla niej dobry, Thraxasie! – woła Birix, jedna z najbardziej zapracowanych prostytutek w naszej dzielnicy.

Patrzę groźnie na Baxosa i rzucam mu monetę tylko po to, żeby się odczepił. W rezultacie wracam do tawerny „Pod Mściwym Toporem” z wielkim bukietem kwiatów. – Myślałem, że kupisz topór? – Sklep był zamknięty.

To brzmi jak kiepska wymówka. Wpycham Makri kwiaty, a drugą ręką sięgam po miecz, na wypadek, gdyby chciała użyć przemocy.

Makri unosi bukiet, żeby cisnąć go na podłogę. Nagle z jej oka spływa łza.

Zamiast sponiewierać kwiaty, rzuca się naprzód, obejmuje mnie szybko i wypada z pokoju zapłakana.

Nie jestem pewien, co to miało znaczyć.

– Znowu podziałało?

– Oczywiście – mówi Tanrose. Nie rozumiem tego. Guni również.

– To kobieta, która kiedyś walczyła ze smokiem. Zabiła trzymetrowego Trolla, kiedy miała trzynaście lat!

Tanrose wzrusza ramionami.

– Domyślam się, że miała smutne dzieciństwo. Jeśli chodzi o drobne podarunki, najwyraźniej zostało jeszcze dużo do nadrobienia.

Gurd prychnął, – Nie to, co kobiety w mojej wiosce. Żeby im zaimponować, potrzebny był co najmniej nowy pług.

– Zapewne właśnie dlatego nigdy się nie ożeniłeś – oznajmia Tanrose. – Należało zapomnieć o pługach, a pomyśleć o kwiatkach.

Jednocześnie spogląda na niego znacząco. Gurd jest zażenowany. Tanrose podoba mu się od dłuższego czasu, ale jakakolwiek wzmianka o tym sprawia, że czuje się niepewnie.

Ach, ci barbarzyńcy z Północy. Ani krzty romantyzmu. Zostawiam ich samych.

Na górze sprawdzam swoje zapasy. Potrzebuję dużo Idee i thazis, aby przetrwać zimę.

Przydałoby się też kilka nowych derek. Mam dziewięćset guranów. Wystarczy na wiele grubych koców. Może nawet kupię jeden dla Makri. Nie zostało jej wiele pieniędzy, bo całą wygraną oddała Lidze Kobiet Wyzwolonych. Według mnie postąpiła niemądrze, ale tak to jest z idealistami. Robią głupstwa. Ja z pewnością zatrzymałbym te pieniądze – do ostatniego gurana.